Przyszłość Macierewicza ▪ Koniec Scholza ▪ Kto nie chce być biskupem
Sprawa „Skóry” ▪ Jak zjeść za 30 zł ▪ Królowa Blanchett ▪ Na basen do Paryża

Kraków 13 – 19 listopada 2024 nr 46 (3932) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Era Trumpa

CO CZEKA POLSKĘ, UKRAINĘ I EUROPĘ

17 EKSTRA STRON O KSIĄŻKACH

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

wydawnictwo
biblioteki śląskiej

POLECA

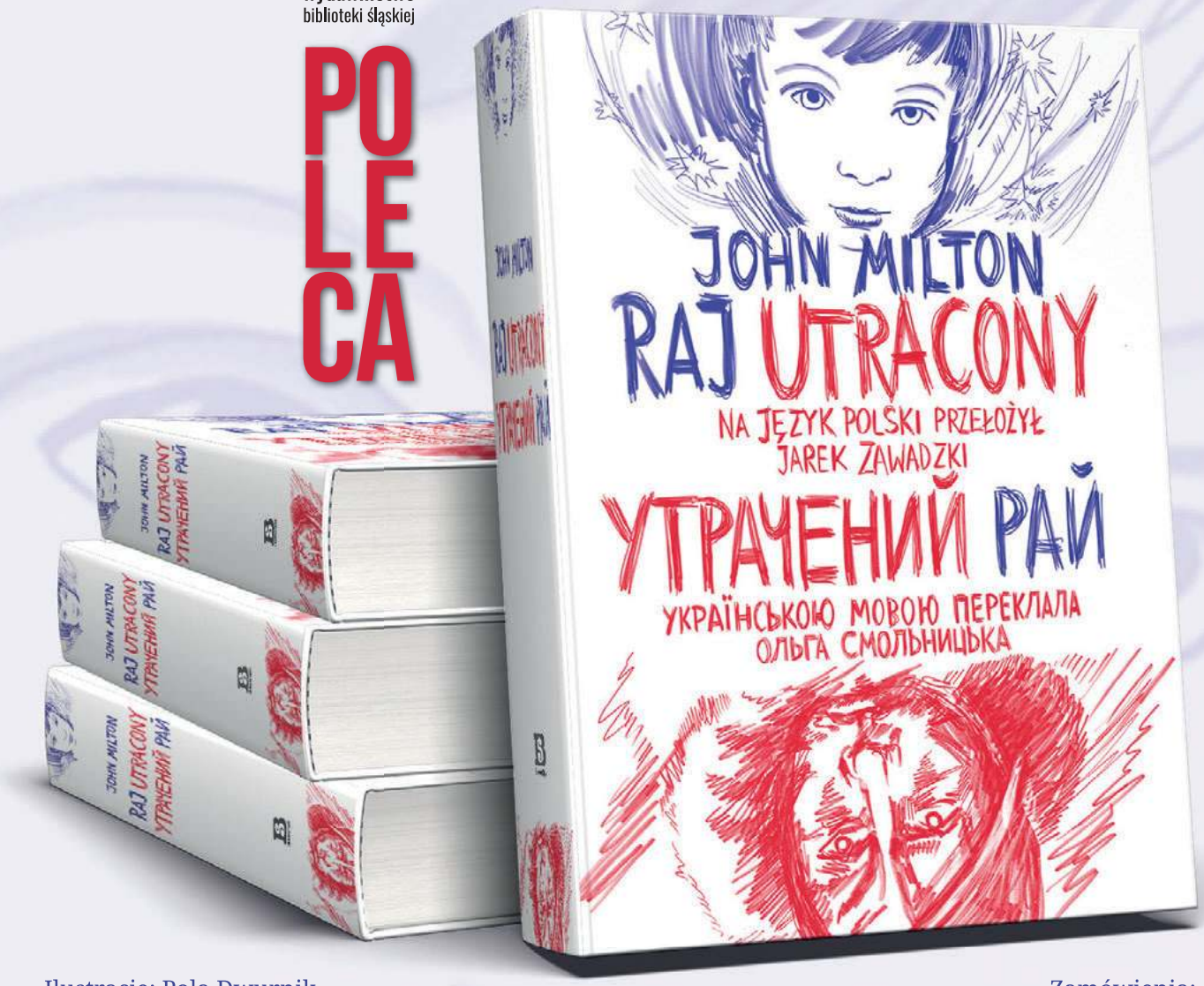

Ilustracje: Pola Dwurnik
Wstęp: Małgorzata Grzegorzewska

Zamówienia:
http://bs.katowice.pl/raj-utracony

Pierwszy od półwiecza nowy, współczesny, dwujęzyczny przekład *Raju utraconego*, jednego z najwybitniejszych, uniwersalnych i aktualnych dzieł kultury europejskiej

Od ukazania się ostatniego polskiego przekładu „Raju utraconego" mija w tym roku pięćdziesiąt lat (w Biblii to symboliczna miara życia człowieka), dlatego tak cenna jest inicjatywa tłumacza Jarka Zawadzkiego i Wydawnictwa Biblioteki Śląskiej, by Milton przemówił do kolejnego pokolenia czytelników współczesną polszczyzną. Nie pozostaje zatem nic innego niż wsłuchać się w głos poety.

prof. dr hab. Małgorzata Grzegorzewska

Olga Smolnytska podjęła próbę, moim zdaniem bardzo udaną, zrozumienia tego, co Milton chciał powiedzieć o świecie. Pojawienie się nowego przekładu „Raju utraconego" na język ukraiński to wielce znaczący fakt literacki, ale nie tylko. Nie sposób bowiem nie wspomnieć, że każdy przekład tekstu artystycznego z chwilą zaistnienia wzbogaca kanon literatury narodowej. A tego literatura ukraińska bardzo potrzebuje.

dr hab. Jolanta Lubocha-Kruglik, prof. UŚ

seria
BIBLIOTHECA TRANSLATA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego

Województwo Śląskie
Biblioteka Śląska
Instytucja kultury Samorządu Województwa Śląskiego

wydawca: Biblioteka Śląska w Katowicach
plac Rady Europy 1
40-021 Katowice
Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej
tel. 32 208 38 87
e-mail: wydawnictwo@bs.katowice.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Nie chcę być biskupem*

To tylko tytuł. Chcieć biskupstwa, przynajmniej w głębi duszy, można. Można na przykład mieć świadomość posiadanych talentów, znajomość sytuacji czy po prostu umiejętności potrzebne biskupowi. Od kandydatów na to stanowisko nie oczekujmy głębokiej nieświadomości własnych cech. Nie wszyscy i nie zawsze muszą być nominacją zaskoczeni.

Oczywiście, jest też mnóstwo motywów niezbyt pięknych, poczynając od ambicji, a skończywszy na... szkoda gadać. Cóż, ludzkie słabości są udziałem nas wszystkich. A słabości mogą się stawać wprost spektakularne, kiedy natrafią na sprzyjające warunki i wymkną się spod kontroli. To temat sam w sobie. Zostawmy go i zastanówmy się nad tymi, o których mowa w tytule. Nad duchownymi, którzy nie chcą, choć św. Paweł powiada, że kto pożąda biskupstwa, dobrej rzeczy pożąda. Ale oni akurat nie pożądają...

Nie wiem, czy kiedykolwiek przeprowadzano ankiety: „dlaczego nie chcę zostać biskupem?", ale myślę, że gdyby tak było, to szczera odpowiedź zawierałaby lęk przed odpowiedzialnością, lęk przed mądrzejszymi konfratrami, świadomość nieumiejętności czy wręcz niezdolności do kierowania tak dużą jednostką jak diecezja i pewnie inne szlachetne powody. Jakąś rolę mogłaby też odgrywać zwykła niechęć do zajmowania tak eksponowanego miejsca. Można się jednak zastanawiać, czy wszystko, co jest nakładane na człowieka jako biskupi obowiązek, rzeczywiście jest biskupim obowiązkiem. Wreszcie, nie przypadkiem biskupi odwołują się do pomocy nadprzyrodzonej.

Według Ignacego Dudkiewicza, który pisze o tym w dziale Wiara, wielu księży odmawia przyjęcia sakry biskupiej, choć jednocześnie wielu jest przekonanych o powołaniu do biskupstwa. To prawda, są ludzie obdarzeni zdolnościami do kierowania innymi i ludzie tych zdolności raczej pozbawieni, ale uważam, że odmowa przyjęcia sakry biskupiej – pomijając obiektywne przeszkody, jak choroba – nie jest, bez urazy, reakcją dobrą. Owszem, to wyróżnienie (a jest to wyróżnienie) będzie się coraz bardziej wiązało z podjęciem większej odpowiedzialności, nie zaś z przywilejami i korzyściami. W tym kierunku idą zachodzące zmiany.

Nie znam historii poszczególnych biskupich nominacji. Wiem, że byli ludzie, którzy do tych nominacji dążyli, którzy zaszli, gdzie chcieli zajść, i ludzie, którzy nie doszli. Nawet jeśli tym się specjalnie nie interesuję, widzę, jak różne są dążenia konkretnych ludzi i jak różne są ich biografie. „Model biskupa" u nas jest odmienny niż – to widziałem – w interiorze brazylijskim czy wielu krajach. Biskupi są sukcesorami Apostołów, a jednocześnie przez stulecia ich styl życia, a nawet funkcja coraz bardziej się, w zależności od miejsca na świecie, zmieniały i nadal będą zmieniać. Można pragnąć i nieśmiało przewidywać, że szczęśliwie będą coraz bardziej przypominać styl życia Apostołów.

Niedobory ewentualnych kandydatów na biskupie stolice są częścią większej całości. I zresztą okazują się relatywne. Stopniowo ten problem będzie znikał, jak znikać będzie stary model duszpasterstwa. Już dziś widać biskupów, którzy są odpowiedzią na potrzeby naszych czasów. Mam nadzieję, że to oni będą niebawem nadawać ton sprawowaniu tej funkcji we wspólnocie wiary. Kościół, może dlatego, że jest instytucją nie z tego świata, zmienia się powoli, ale gruntownie. My mamy poczucie, że fatalnie trafiliśmy na szczególnie krytyczny moment w jego dziejach. Ale przecież takich momentów było już sporo. Zawsze okazywały się początkiem gruntownej odnowy.

Więc tylko spokojnie patrzmy, gdzie płynie nurt. I ostrożnie, bo nie każda nowość jest odnową – żebyśmy się nie nabrali. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

13 listopada 2024 r. w Muzeum Polin KS. ADAM BONIECKI odbierze nagrodę Warszawskiego Klubu KIK „PONTIFICI – Budowniczemu mostów". Nagroda przyznawana jest „za zasługi w szerzeniu wartości dobra wspólnego, dialogu i poświęcenia na rzecz bliźnich".

Uroczystość odbędzie się tuż przed **spotkaniem autorskim z Laureatem** wokół jego ostatniej książki **„TESTAMENT"**, rozpoczynającym się o godzinie 18:00.

FOT. MICHAŁ DĄBSKI // // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W środę 6 listopada rano, gdy w USA trwało liczenie głosów w wyborach prezydenckich i było coraz bliżej wygranej Donalda Trumpa, dwoje dzieci z piątej klasy podstawówki w Krakowie rozpłakało się. Chłopiec z amerykańsko-polskiej rodziny i jego koleżanka Ukrainka. W czasie lekcji klasa dowiedziała się o zwycięstwie kandydata Republikanów. Tę scenę opowiedziała naszemu redakcyjnemu koledze jego córka, uczennica tej klasy. Emocje dzieci odzwierciedlają emocje dorosłych.

Nadchodzi era Trumpa. Co to oznacza?
Dla Ukraińców sprawa jest prosta: ludzie w Donbasie i Charkowie pytają dziś, czy powrót Trumpa to wyrok dla ich kraju. „Na pewno zacznie się od tego, że będzie mniej dostaw broni" – mówi naszej autorce **ANTONINIE PALARCZYK** kobieta na bazarze w mieście Konstantynówka w obwodzie donieckim. „Trump powiedział, że tę wojnę może zakończyć w dobę..." – kobieta nie ukrywa drwiny.

A Polacy? 40 procent z nas obawia się, że wojna przeniesie się do Polski – tak wynika z podanych przez „Rzeczpospolitą" badań prof. Piotra Długosza z UKEN w Krakowie, kierownika Interdyscyplinarnego Laboratorium Badań nad Wojną w Ukrainie. Teraz te nastroje może wzmocnić nieprzewidywalność przyszłej prezydentury. Najwyraźniej tylko Amerykanie uwierzyli, że Trump zapewni światu pokój. A może – przede wszystkim im samym spokój od spraw światowych.

„W Stanach mamy do czynienia z rewolucją, z zakwestionowaniem dotychczasowego *status quo* związanego z samoidentyfikacją Ameryki" – mówi w tym numerze „Tygodnika" **SŁAWOMIR DĘBSKI**, politolog. Z kolei amerykanista **ANDRZEJ KOHUT** prognozuje, że z wypowiedzi Trumpa można wnioskować, iż faktycznie będzie próba zakończenia wojny w Ukrainie, i że będzie presja na europejskich sojuszników w NATO, by troszczyli się bardziej o swoje bezpieczeństwo. Trump „powróci do polityki America First, stawiając w centrum potrzeby Amerykanów, kosztem mniejszego zaangażowania USA na świecie" – mówi nam z kolei **ANDREW SMITH**, politolog z New Hampshire. Idzie więc nowy porządek świata. Albo: nieporządek.

Jeśli miałabym polecić Państwu jeszcze jeden tekst z numeru, byłyby to „Motyle i żabki" **DOROTY MALINY**. Autorka przekonuje, że warto pływać, i przywołuje książkę „The Swimmers" Julie Otsuki, gdzie „seledynowa podziemna kraina pozwala zapomnieć o kłopotach". Na chwilę. ©℗

ANNA GOC
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu" oraz „Głuszy", za którą otrzymała Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego i Nagrodę im. Beaty Pawlak.

22 Metoda Macierewicza
PIOTR ŚMIŁOWICZ
Kłamstwo jest wpisane w naturę polityki, ale on doprowadził tę zasadę do perfekcji. „Antoni wierzy, że kłamie w słusznej sprawie. Przecież nikt nie miał pretensji do tych, którzy kłamali na Gestapo" – mówi jego wieloletni znajomy.

58 Glej na nowo odkryty
DANIEL KOZŁOWSKI
W cieniu neuronów swoją cichą pracę wykonują komórki glejowe. Budują ich osłonki, karmią je i czyszczą. Okazuje się jednak, że mają one więcej do powiedzenia w mózgu, niż sądziliśmy.

81 Maestra
ANITA PIOTROWSKA
Kiedy pojawia się na ekranie, piekło zamarza. Nie chodzi nawet o fizyczny wizerunek, kojarzący się z Królową Śniegu – w łączeniu inteligencji i instynktu, kreatywności i rzemiosła, talentu i charyzmy ta aktorzyca nie ma sobie równych.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MICHAŁ DYAKOWSKI // NATIONAL INSTITUTES OF HEALTH / EAST NEWS // MATERIAŁY PRASOWE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Rosną szanse Sikorskiego
PIOTR ŚMIŁOWICZ

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

20-21 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

22 Metoda Macierewicza
PIOTR ŚMIŁOWICZ

26 Ślady na duszy
ROZMOWA Z MONIKĄ GÓRĄ, DZIENNIKARKĄ ŚLEDCZĄ
o finale sprawy „Skóry”

29 Mizeria
MAREK RABIJ:
Czy w Warszawie, Krakowie lub Wrocławiu da się jeszcze zjeść smacznie i w miarę tanio?

■ ■ OPINIE

32 Poza fakty
ADRIAN STACHOWSKI:
Jak głęboko należy sięgać, by najważniejszy polski reporter XX wieku mógł powracać do obiegu czytelniczego z „nowością”?

■ ■ WIARA

36 Krótka ławka w episkopacie
IGNACY DUDKIEWICZ:
Niełatwo dziś znaleźć kandydata na biskupa

40 Zakodowane wspomnienia
BEATA SZADY:
Po co są kody QR na nagrobkach

42 Lekcje z Herrnhutu
PAULINA MODEL
o ekumenicznym miasteczku na styku trzech granic

TEMAT TYGODNIKA

JIM WATSON / AFP / EAST NEWS

12 Era Trumpa
ANDRZEJ KOHUT

15 Prezydentura Trumpa szansą dla Polski?
ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM DĘBSKIM, POLITOLOGIEM

17 Demokraci są odklejeni
ROZMOWA Z ANDREW SMITHEM, DYREKTOREM OŚRODKA SONDAŻOWEGO NA UNIWERSYTECIE NEW HAMPSHIRE

■ EKSTRA STRONY ■

63 MAGAZYN LITERACKI KSIĄŻKI W TYGODNIKU

■ FELIETONY ■

35 TOMASZ STAWISZYŃSKI
45 WOJCIECH BONOWICZ
92 OLGA DRENDA **93** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: DONALD TRUMP, LISTOPAD 2024 R.
FOT.: CHIP SOMODEVILLA / GETTY IMAGES

■ ■ ŚWIAT

46 Poniżej zera
ANTONINA PALARCZYK Z KONSTANTYNÓWKI:
Czy powrót Donalda Trumpa do Białego Domu to wyrok dla Ukrainy?

48 Czas wilków
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA:
Koalicja rządowa Olafa Scholza długo trzeszczała, aż w końcu się rozsypała

50 Czerwona wieś na mapie Hiszpanii
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ANDALUZJI

■ ■ HISTORIA

54 Ze Lwowa do Donbasu
STANISŁAW CALIK *o nieznanej historii uciekinierów sprzed 85 lat*

■ ■ NAUKA

58 Glej na nowo odkryty
DANIEL KOZŁOWSKI

■ ■ KULTURA

81 Maestra
ANITA PIOTROWSKA

84 W każdym polskim domu
PIOTR KOSIEWSKI
zaprasza na wystawę Józefa Chełmońskiego

88 Na ślepym torze
PIOTR PAZIŃSKI:
Groza rodzi się w głowie, czyli o Stefanie Grabińskim

91 Jest poeta
LEKTOR *o książce „Hulanki & swawole” Tomasza Różyckiego*

■ ■ ZMYSŁY

94 Motyle i żabki
DOROTA MALINA *odwiedza paryskie pływalnie*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ... ... NA STRONIE 71

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ROSNĄ SZANSE SIKORSKIEGO

Decyzja KO w sprawie kandydata na prezydenta ma być ogłoszona 7 grudnia, ale zapadnie wcześniej: w wąskim gronie, przy decydującym głosie Tuska, który zresztą jest sprawcą całego fermentu.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA zmieniło sytuację w globalnej polityce i jest nie bez wpływu na planowane na maj 2025 r. wybory prezydenckie w Polsce. Przede wszystkim umocniło PiS, który jest coraz bliżej wskazania Przemysława Czarnka jako swojego kandydata. Jeśli nowy-stary prezydent USA skorzysta z zaproszenia Andrzeja Dudy i wiosną odwiedzi Polskę, będzie to ewidentna pomoc dla nominata głównej partii prawicy, być może właśnie byłego ministra edukacji i nauki, czyli „polskiego Trumpa".

WYGRANA TRUMPA postawiła też w nowej sytuacji obóz Koalicji Obywatelskiej. Coraz większa liczba jej polityków zaczyna przyznawać, że być może w nowej rzeczywistości na świecie Radosław Sikorski, ze swoim doświadczeniem międzynarodowym, byłby lepszym prezydentem niż Rafał Trzaskowski. W KO za zwolenników Sikorskiego uchodzą m.in. tacy posłowie jak Marcin Bosacki, Tomasz Kostuś, Tomasz Głogowski, Grzegorz Napieralski, Joanna Kluzik-Rostkowska, ale ich szeregi rosną. Nad poparciem Sikorskiego zastanawia się np. jedna z posłanek dotąd kojarzona z obozem Trzaskowskiego.

Sam szef MSZ nie ukrywa prezydenckich aspiracji. W niedawnej rozmowie w TVN24 przekonywał, że w drugiej turze ma postawiony wyżej „sufit poparcia" niż kojarzony z lewicą Trzaskowski. Może bowiem zyskać głosy np. wyborców Konfederacji. Z kolei w czwartkowej rozmowie w TVP podkreślał, że po zwycięstwie Trumpa świat „skręca w prawo", zaostrza się też sytuacja międzynarodowa, potrzebny więc będzie prezydent lepiej do takich warunków przygotowany.

POWYŻEJ:
Radosław Sikorski z Anne Applebaum podczas wręczenia Applebaum Nagrody Pokojowej Niemieckich Księgarzy. Frankfurt, 20 października 2024 r.

Niedwuznacznie sugerował, że to on jest tą osobą.

WŚRÓD POLITYKÓW KO można usłyszeć, że Sikorski znalazł się faktycznie w lepszej sytuacji, bo jest tym „goniącym". Rafał Trzaskowski był pewnym kandydatem na prezydenta właściwie już od poprzednich wyborów w 2020 r. i trochę do tego przywykł. Mógł sądzić, że nie musi robić prawie nic, by uzyskać nominację. Tym bardziej że od dawna sprzyjały mu sondaże. Jednak ostatnio ich dynamika jest korzystniejsza dla Sikorskiego. Co prawda szef MSZ ma poparcie wciąż niższe niż prezydent Warszawy, ale różnica zmniejsza się z każdym sondażem.

Cała ta sytuacja, jak można usłyszeć w KO, sprzyja Sikorskiemu także dlatego, że pokazuje, iż jest on „fighterem", a Trzaskowski, choć w ostatnich tygodniach ruszył w Polskę i jest aktywniejszy niż wcześniej, nie ma takiego wizerunku. Zwolennicy szefa dyplomacji wypominają prezydentowi Warszawy, że nie zawalczył o Platformę w 2020 r. i że od przegranych wyborów prezydenckich był praktycznie niewidoczny w polityce ogólnopolskiej. Pada też argument, że ciąży na nim „klątwa przegranego" – zasada, że jeśli ktoś raz przegrał wybory prezydenckie w Polsce, nigdy ich już potem nie wygrał.

ZWOLENNICY TRZASKOWSKIEGO mają świadomość zagrożenia ze strony szefa MSZ. Jeden z najbliższych współpracowników prezydenta Warszawy, wiceminister obrony Cezary Tomczyk stwierdził w czwartek, że przedstawiciele zwycięskich w USA Republikanów już skontaktowali się z otoczeniem Trzaskowskiego. Ludzie tego ostatniego kolportują też informacje, że Sikorski nie może być prezydentem po zwycięstwie Trumpa, bo jego żona Anne Applebaum jest nie tylko silnie powiązana z amerykańską Partią Demokratyczną, ale podczas kampanii niejednokrotnie ostro atakowała prezydenta-elekta, porównując go do dyktatorów pokroju Stalina i Hitlera. Zapewne zostało jej to w otoczeniu Trumpa zapamiętane.

W sukurs Koalicji Obywatelskiej postanowił przyjść lider PSL, wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz. W wywiadzie w Radiu Zet wrócił do swojej propozycji, by cała koalicja 15 października wystawiła wspólnego kandydata na prezydenta. Tym razem jednak wprost wskazał w tej roli marszałka Sejmu Szymona Hołownię. Propozycja oczywiście nie ma szans na realizację.

Decyzja KO ma zostać ogłoszona 7 grudnia. Zapadnie zapewne wcześniej, w wąskim gronie zarządu Platformy, bo konkretne dyskusje na temat trybu wyboru kandydata już się zaczęły, m.in. podczas obrad zarządu ugrupowania. Tak naprawdę jednak, co przyznają politycy KO, końcową decyzję podejmie premier i lider PO Donald Tusk. On zresztą jest uważany za sprawcę tego fermentu, poprzez sugerowanie w różnych gremiach, że Trzaskowski wcale nie powinien być pewien nominacji, a Sikorski nie jest bez szans.

OBIE FRAKCJE, zarówno zwolennicy Trzaskowskiego, jak i Sikorskiego akceptują fakt, że najlepiej będzie postawić na legendarny polityczny nos Tuska, który już niejednokrotnie wykazywał, że ma rację, nawet wtedy, gdy działał wbrew głosom płynącym z partii. Przywoływane są przy tej okazji różne sytuacje – od zgody wbrew radom partyjnych kolegów na przedterminowe wybory w 2007 r., wygrane potem przez PO, po wstawienie na listy w ostatnich wyborach parlamentarnych tak kontrowersyjnych polityków jak Roman Giertych czy Michał Kołodziejczak. Wszystkie te decyzje po czasie okazywały się korzystne dla KO, więc cokolwiek szef postanowi w sprawie kandydata na prezydenta, też będzie dobrym wyborem – można usłyszeć. Efekt poznamy 18 maja i 1 czerwca 2025 r., bo w tych dniach odbędą się najprawdopodobniej pierwsza i druga tura wyborów prezydenckich. ©℗

MARTIN MEISSNER / REUTERS / FORUM

Trump budzi Europę

PIOTR OLEKSY

MAMY DUŻE PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ – POWIEDZIAŁ Viktor Orbán, ciesząc się z powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu. Premier Węgier nie mógł wymarzyć sobie lepszego kalendarza politycznego: dzień po tym, jak świat musiał zmierzyć się z wynikami wyborów w USA, w Budapeszcie zaczął się szczyt Europejskiej Wspólnoty Politycznej, który zgromadził przywódców 48 państw kontynentu.

Głównym tematem dwudniowego spotkania były przyszłe relacje z Ameryką, a to za sprawą obaw związanych ze zmianą polityki USA w kwestiach bezpieczeństwa, wojny w Ukrainie, stosunków handlowych, energetyki i klimatu. Nie można wykluczyć, że większość tych spraw wkrótce podzieli Unię i Stany. Przedstawiciele prawicy poczuli więc, że wiatr historii wieje w ich żagle i Europa jest bliżej „konserwatywnej rewolucji". Orbán wykorzystał moment, by powtórzyć wezwanie do rozejmu w wojnie na Ukrainie (rozejmu w istocie na warunkach Putina). Tym razem, na tle podobnych opinii wyrażanych przez amerykańskiego prezydenta-elekta, brzmi to mocniej.

Również druga strona politycznej Europy czuje, że nadszedł moment przebudzenia. W Budapeszcie zawiązała się nieformalna koalicja, która stawia sobie za cel koordynację polityki wobec USA. Należą do niej Niemcy, Francja, Włochy, Polska i Wielka Brytania; w spotkaniu uczestniczyli też szefowie Komisji i Rady Europejskiej. Choć Paryż czy Warszawa tradycyjnie mają odmienne podejście do relacji ze Stanami, to wszyscy zgodzili się, że należy kontynuować wsparcie dla Ukrainy, a skutki potencjalnej wojny handlowej Unia–USA mogą zostać złagodzone przez wspólne dbanie o interesy całej Unii.

Media zwracają uwagę na słowa Donalda Tuska, że dla Europy skończyła się „era geopolitycznego outsourcingu".

Przekonanie, że Stary Kontynent musi wziąć więcej spraw w swoje ręce – od bezpieczeństwa po rozwój przemysłu – jest powszechne. Prezydent Macron, największy orędownik europejskiej suwerenności i wielbiciel barwnych metafor, stwierdził, że Europa musi stać się „wszystkożerna". „Jeśli zdecydujemy się pozostać roślinożercami, mięsożercy wygrają, a my będziemy dla nich rynkiem zbytu" – wyjaśnił.

Unijni przywódcy zmiękczyli jednak wydźwięk deklaracji o konkurencyjności, której pierwotne zapisy zakładały większą integrację rynków kapitałowego, bankowego i energetycznego. Uznano, że to zbyt trudny moment na tak kontrowersyjne kroki.

Oby przebudzenie Europy wyszło za sferę haseł. ©

Granice wieku i systemu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Bywa, że są bez opieki dorosłych. Pochodzą z Etiopii, Sudanu, Somalii. Nie zawsze widać, że są dziećmi – gdy mają 16, 17 lat, trudno określić, czy przekroczyli granicę pełnoletności. Polskie służby graniczne, które ich łapią, podejmują często standardowe czynności, np. umieszczając zatrzymanych w zamkniętym ośrodku dla uchodźców. Wedle raportu Grupy Granica, dzieci bez opieki, którym wolontariusze udzielili pomocy, było w 2023 r. 110 – ale pełna liczba nieletnich na polsko-białoruskim pograniczu jest nieznana.

W zeszłym tygodniu biura Rzecznika Praw Obywatelskich i Rzecznika Praw Dziecka wysłały do premiera Tuska wspólny list. Marcin Wiącek i Monika Horna-Cieślak domagają się m.in. bezwzględnego wyłączenia przez polskie prawo detencji małoletnich, zapewnienia im należytej reprezentacji prawnej (według rzeczników pomoc kuratorów, którzy się tym obecnie zajmują, bywa niewystarczająca), a także zmiany standardów badań wieku dzieci. Dziś nieletni bez opieki, którzy nie mają dokumentu tożsamości, są kierowani na RTG nadgarstka – w celu ustalenia wieku kości. Tyle że badanie to – jak wskazują rzecznicy – jest i „wątpliwe w świetle standardów międzynarodowych", i zawodne (może zawyżać wiek).

RPO i RPD apelują też o stworzenie specjalnego typu placówek dla dzieci z pogranicza. Tu jednak zaczyna się największy problem: polski system pieczy zastępczej już i tak pęka w szwach. Brakuje i rodzin zastępczych, i miejsc w placówkach. „Do rangi dramatu – alarmują Wiącek i Horna-Cieślak – urastają sytuacje (...), gdy przez wiele dni instytucjom publicznym nie udaje się znaleźć miejsca (...) dla dzieci cudzoziemskich, które zadeklarowały zamiar ubiegania się o ochronę międzynarodową w Polsce". Trafiają więc, często już straumatyzowane, do budynków Straży Granicznej...

Ich los to kolejny powód, by pilnie zająć się katastrofą polskiego systemu pieczy – tak bardzo niewydolnego, że nie jest w stanie pomieścić ponad tysiąca polskich dzieci zagrożonych przemocą we własnych domach (tyle wynosi od miesięcy liczba niewykonanych orzeczeń sądów rodzinnych). Chyba że nie przeszkadza nam ta sytuacja: Polski, dość bogatego i dużego kraju w centrum Europy, który jest bezradny wobec dramatu najbardziej potrzebujących młodych obywateli. Własnych i obcych. ©℗

Grupa Kurdów z Iraku zatrzymana przez Straż Graniczną w okolicach Hajnówki. 14 października 2021 r.

STEFAN MASZEWSKI / REPORTER

Kroplówka

MAŁGORZATA SOLECKA

Narodowy Fundusz Zdrowia dostanie w tym roku jeszcze 1,2 mld zł. Rozliczy się za to ze szpitalami (i nie tylko) za trzeci kwartał, placówki dostaną pieniądze za świadczenia nielimitowane (np. leczenie niepełnoletnich, programy lekowe, procedury onkologiczne) wykonane ponad limit. Brak logiki? Niejedyny w ochronie zdrowia. Gdyby kierować się wyłącznie nią, szpitale już dawno powinny wywiesić tabliczkę: tych pacjentów nie obsługujemy. „Tych", czyli kwalifikujących się do drogiego leczenia np. w ramach programów lekowych.

Ośrodki, które prowadzą leczenie innowacyjnymi, najczęściej bardzo drogimi lekami, kupują je z własnych pieniędzy, podają pacjentom, a potem mogą tylko liczyć, że NFZ za leczenie zapłaci.

Ale wystarczy, że szpital pomyli się w jednym z licznych sprawozdań, by Fundusz odmówił płatności. Szpital może stracić w ten sposób nawet miliony złotych.

Rząd ogłasza jednak sukces. Ministra zdrowia szacowała, że na zamknięcie rozliczeń ze szpitalami potrzebuje ok. 3 mld zł. 1,2 mld zł, które minister finansów znalazł dzięki nowelizacji budżetu, domyka tę kwotę, bo 800 mln zł Izabela Leszczyna „zaoszczędziła" w swoim resorcie (to już trzeci w tym roku taki zaskórniak, aż nasuwa się pytanie, czy budżet ministerstwa nie był przeszacowany albo – odwrotnie – jakie wydatki zrolowano na lata następne lub przycięto tak, że zaraz popruje się inny element systemu). Pozostałe 1,5 mld zł Fundusz znalazł w szufladzie, bilansując nadwykonania z niedowykonaniami. Mamy pieniądze na opłacenie świadczeń nielimitowanych za trzeci kwartał – ogłasza Ministerstwo Zdrowia.

Owacji jednak nie będzie. „Rząd robi minę zdziwionego Pikachu" – mówił w ubiegłym tygodniu w jednym z wywiadów Adrian Zandberg, lider partii Razem, która przeszła do opozycji, choć jednocześnie deklaruje, że jest gotowa wejść do rządu pod określonymi warunkami. Kluczowym postulatem jest radykalne podniesienie nakładów na ochronę zdrowia, o co posłowie Razem upominają się od dawna. Partia będzie składać poprawkę, zwiększającą przyszłoroczną dotację dla NFZ o 21 mld zł (planowo – 18 mld zł). Ministra zdrowia mówi: „Niech zostanie tak, jak jest. Pieniędzy i tak budżet dołoży więcej". ©

NA PUNKTY

PODSUMOWANIE
Władysław Kosiniak-Kamysz zapowiedział publikację rządowego raportu podsumowującego pomoc gospodarczą, militarną i humanitarną dla Ukrainy. Ma to być odpowiedź na krytykę Kijowa, że wsparcie Warszawy jest niewystarczające. Wicepremier zadeklarował również, że polskie władze nie odpuszczą kwestii ekshumacji i upamiętnienia ofiar rzezi wołyńskiej.

ROZLICZANIE
Agenci CBA weszli do siedzib Polsatu i TVP, poszukując umów zawieranych przez obie telewizje w czasie rządów PiS, a związanych z sublicencją na pokazywanie przez prywatną stację meczów piłkarskiej reprezentacji Polski. Prokuratura sprawdza, czy państwowy nadawca nie poniósł na tym strat.

SPRAWDZANIE
Dziennikarze z kolei sprawdzają twierdzenia ks. Michała Olszewskiego, że nie miał kontaktów ze Zbigniewem Ziobrą przed przyznaniem jego Fundacji Profeto wielomilionowej dotacji z Funduszu Sprawiedliwości. Z ustaleń TVN24 i OKO.press wynika, że kontrowersyjny kapłan wielokrotnie spotykał się zarówno z ministrem, jak i jego urzędnikami. ©℗

PISF: a miało być tak pięknie

ANITA PIOTROWSKA

„Czeski film", „PISF jak PiS", „żmijowisko" – tak podsumowuje się aferę wokół rezygnacji Karoliny Rozwód (na zdjęciu) z funkcji dyrektorki Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Rezygnacji po ledwie czterech miesiącach urzędowania, choć znaczna część branży powitała nową szefową z nadzieją na „lepszą zmianę", po sześciu latach folwarcznego (i bardzo upolitycznionego) zarządzania tą instytucją przez Radosława Śmigulskiego. I po ujawnieniu jego finansowych nadużyć. Ale nagłe zrzeczenie się funkcji przez nową dyrektorkę zostało pięć dni później przez nią uchylone – bo miało być wymuszone groźbą ze strony ministry kultury Hanny Wróblewskiej.

Następne go dnia Wróblewska poinformowała o definitywnym odwołaniu dyrektorki, a PISF zgłosił do prokuratury, że ta ostatnia działała na jego szkodę. Chodziło o wypłatę środków firmie Aurum Film, producentowi „Ministrantów" Piotra Domalewskiego – filmu, któremu dotację w wysokości 4 mln zł przyznał jeszcze Śmigulski, co jest m.in. przedmiotem prowadzonego w tej sprawie śledztwa. Ale może to tylko pretekst?

Efektem jest dezorientacja w środowisku, nie mówiąc o postronnych obserwatorach. W tle pojawiają się personalne animozje, ginące dokumenty i zakulisowa walka o dyrektorski stołek. Okazało się przy okazji, że stare grzechy poprzedniego szefa Instytutu mają długie cienie. A miało być tak pięknie: uczciwie, transparentnie, życzliwie. I można by teraz sięgnąć po popcorn i oglądać ten serial, gdyby nie chodziło o sprawy naprawdę ważne. Bowiem efektem oskarżeń i zwrotów akcji jest paraliż najważniejszej dla polskiego kina instytucji, dalsze rozbijanie środowiska i fatalny wizerunek rodzimej kinematografii, która próbuje odzyskać kinowego widza po pandemii, sprząta po starej ekipie i zaciska pasa przez inflację. Prawda o tym konflikcie, komentowanym także na Kongresie Kultury, ujrzy w końcu światło dzienne, lecz są i tacy, którzy właśnie otwierają szampana. ©

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Wolna Wigilia pod choinkę

MAREK RABIJ

Projekt lewicy, ustanawiający 24 grudnia dniem wolnym od pracy, wjechał do Sejmu w ekspresowym tempie. Ministra Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk przyznaje, że jej ugrupowanie chciałoby, by przepisy weszły w życie jeszcze w tym roku. Prezydent zapowiada, że nie zawetuje ustawy, bo wolne w Wigilię ułatwi przygotowania do świąt kobietom, które „mają tutaj swoją rolę – jeżeli chodzi o przygotowanie w wielu domach potraw wigilijnych, (...) a i mężczyznom byłoby lżej, bo przecież mnóstwo zakupów trzeba zrobić".

Nie wiadomo, w jaki sposób wolna od pracy Wigilia miałaby pomóc w ostatnich zakupach, ale nie łapmy Andrzeja Dudy za słówka. Posłowie lewicy tak się spieszyli z tym prezentem pod choinkę, że zapomnieli – jak wytknął im marszałek Hołownia – uwzględnić w projekcie analizy skutków finansowych i deklaracji zgodności z prawem unijnym. Z tym ostatnim problemu nie będzie, bo Komisja Europejska *en masse* raczej nie słynie z niechęci do dni wolnych od pracy. Efekty finansowe też można łatwo oszacować, ministrze Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz wyszło między 6 a 8 mld zł, w tej sprawie chodzi jednak nie tyle o pieniądze, ile o to, czy wolne w Wigilię, zwłaszcza procedowane w tak awaryjnym trybie, bardziej Polaków ucieszy czy wkurzy.

Prof. Jan Klimek, prezes Związku Rzemiosła Polskiego, podkreśla, że wiele firm już zaplanowało pracę w okresie przedświątecznym i nagłe wolne będzie dla nich niedźwiedzią przysługą. Problemy czekają zwłaszcza piekarzy i cukierników, bo do nich kolejki ustawiają się zwykle właśnie w wigilijny poranek. Wolne 24 grudnia może też sprawić, że 23 grudnia, dotychczas traktowany w większości firm jako ostatni dzień poważnej przedświątecznej aktywności, stanie się zamiennikiem dotychczasowej Wigilii. Dnia, w którym praca idzie na ćwierć gwizdka. ©℗

Australia chce zakazać młodzieży korzystania z social mediów

INTERNET ▪ Media społecznościowe szkodzą naszym dzieciom. Mówię temu: stop – ogłosił w minionym tygodniu premier Australii Anthony Albanese. Podczas najbliższej sesji parlamentu ma zostać przyjęta ustawa zakazująca korzystania z mediów społecznościowych osobom poniżej 16. roku życia. Ewentualna zgoda rodzica nic tu nie zmieni, co sprawia, że przepisy będą jednymi z najbardziej restrykcyjnych na świecie. Nie jest tylko pewne, czy uda się je wyegzekwować.

USTAWA ZAKŁADA, że odpowiedzialne za sprawdzenie wieku użytkownika będą platformy mediów społecznościowych. – Ten ciężar nie będzie spoczywał na rodzicach ani osobach młodych – oświadczył Albanese, podkreślając, że dla użytkowników nie przewidziano żadnych kar. Nie ujawnił jednak, jak ich wiek ma być weryfikowany.

Problem w tym, że tam, gdzie władze chciały wprowadzać wcześniej przepisy ograniczające dostęp do sieci, nie udawało się to. O ile potwierdzenie prawdziwych danych osoby pełnoletniej nie jest problemem (można to zrobić m.in. dzięki uwierzytelnieniu bankowemu czy u operatora telefonii komórkowej), w przypadku osób młodszych sprawa się komplikuje. Składane przez użytkowników deklaracje dotyczące ich wieku problemu nie rozwiązują, bo dzieci i młodzież często wpisują nieprawdziwą datę urodzenia. Wysyłanie skanów czy zdjęć dokumentów tożsamości rodzi zagrożenie dla prywatności, z kolei identyfikacja wyłącznie na podstawie cech biometrycznych może być zawodna.

WŚRÓD ROZWIĄZAŃ, jakie rozważa australijski urząd e-bezpieczeństwa, odpowiedzialny za wprowadzenie nowych przepisów, jest zastosowanie weryfikowanych przez stronę trzecią tokenów, które anonimizowałyby dane. W zatwierdzonym na początku listopada przyszłorocznym budżecie australijski rząd chce przeznaczyć na ten cel 6,5 mln dolarów; na razie jednak system nie istnieje.

Oporne wobec nowych regulacji mogą być platformy społecznościowe – ustawa ma dotyczyć Instagrama, Facebooka, TikToka i X oraz być może YouTube'a. Antigone Davis, szefowa ds. bezpieczeństwa w koncernie Meta (właściciel Facebooka i Instagrama), w wydanym oświadczeniu zapowiada wprawdzie, że spółka „będzie przestrzegać wszelkich ograniczeń wiekowych", ale zastrzega, że z powodu „braku głębszej dyskusji" na ten temat pojawia się ryzyko, iż „poczujemy się lepiej, tak jakbyśmy podjęli jakieś działania, ale nastolatki i rodzice nie znajdą się w lepszym miejscu".

WTÓRUJE JEJ lobbystyczna organizacja Digital Industry Group (zrzesza m.in. Meta, TikTok, X oraz Google), która twierdzi, że proponowany przez rząd Australii zakaz to „stosowanie metod z XX wieku na wyzwania wieku XXI".

Jednak biuro komisarza ds. e-bezpieczeństwa ma już doświadczenia w starciach z globalnymi koncernami. W ubiegłym tygodniu sąd podtrzymał grzywnę w wysokości 418 tys. dolarów, nałożoną przez ten urząd na platformę X za to, że firma Elona Muska nie chciała dostarczyć informacji o działaniach, jakie podejmuje, by zwalczać treści zawierające wykorzystywanie dzieci. Prawnicy Muska utrzymywali, że nałożony w 2023 r. nakaz ich nie dotyczy, bo... zmienił się właściciel firmy. Gdy zaś na początku tego roku Australia wprowadziła przepisy o zwalczaniu dezinformacji, miliarder nazwał australijski rząd „faszystami".

Ustawa zakazująca korzystania z mediów społecznościowych osobom poniżej 16. roku życia ma wejść w życie w rok po jej uchwaleniu. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

Kardynał uzupełniający

WATYKAN ▪ Arcybiskup Neapolu Domenico Battaglia (na zdjęciu) dołączy do kolegium kardynalskiego. O zaskakującej decyzji papieża poinformował 4 listopada wieczorem rzecznik Stolicy Apostolskiej.

Zaskakującej podwójnie. Bo – po pierwsze – ogłaszanie nazwisk nowych kardynałów było do tej pory wyłączną prerogatywą papieża. Zgodnie z nią Franciszek miesiąc temu podał do wiadomości listę 21 duchownych, którzy otrzymają czerwony biret na grudniowym konsystorzu. Metropolity Neapolu, wielokrotnie typowanego do tej godności, znów nie było wśród wybranych. Dopiero później, gdy indonezyjski biskup Paskalis Syukur odmówił przyjęcia nominacji, papież postanowił uzupełnić listę o kandydaturę Battaglii. To było drugie zaskoczenie.

ZUMA PRESS / ALAMY / BE&W

Abp Domenico Battaglia z wiernymi w katedrze w Neapolu, maj 2023 r.

„Może chodziło o to, by się nie zmarnował żaden z już zamówionych kardynalskich strojów" – żartował sam Battaglia, znany z poczucia humoru i dystansu do siebie. Choć przecież nie tylko za to jest ceniony. 61-letni arcybiskup to jeden z najbardziej rozpoznawalnych we Włoszech „księży ulicy" – przez ćwierć wieku pracował z bezdomnymi, ofiarami przemocy domowej i narkomanami. Nominacja biskupia w 2016 r. (został wtedy ordynariuszem niewielkiej diecezji Cerreto Sannita-Telese-Sant'Agata de' Goti na południu kraju) nie zmniejszyła jego społecznego zaangażowania – pozostał dla wszystkich „księdzem Mimmo", do którego zawsze można zwrócić się po pomoc. Po objęciu stolicy metropolitalnej w Neapolu, w 2020 r., niewiele się zmieniło. Urzędowanie rozpoczął od spotkania z ofiarami mafii i zorganizowania dla współpracowników wyjazdu do Turynu, by mogli osobiście poznać ks. Luigiego Ciottiego, ikonę walki z przestępczością zorganizowaną we Włoszech, i zobaczyć, jak działają założone przez niego organizacje pomocowe.

Swoją kardynalską nominację uznał za gest papieża wobec „peryferii Południa Włoch, których on – Kalabryjczyk z urodzenia, a neapolitańczyk z woli Kościoła – jest synem". Nie był księdzem ani biskupem z kościelnej sztancy – nietypowa nominacja kardynalska dobrze się w ten obraz wpisuje.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

CHRIS BRIGNELL / B&EW

Pierwsze prawo przyciągania kota

BADANIA NAUKOWE ▪ Czy da się matematycznie opisać ruch kota, kręcącego się wokół łydki albo odsuwającego od zbyt natarczywej ręki? Hiszpański fizyk Anxo Biasi twierdzi, że tak, w dodatku wystarczy do tego kawałek fizyki klasycznej i skromne założenie, że kot jest punktem.

Istnieje długa tradycja poszukiwania równań opisujących ruch człowieka, sięgająca XVIII-wiecznej idei „fizyki społecznej", zgodnie z którą społeczeństwo to niewiele więcej jak specyficzny „ludzki gaz", sterowany rozmaitymi siłami, od klimatycznych, po ekonomiczne, polityczne czy wręcz artystyczne. Część tych intuicji, o dziwo, przetrwała. Gdy projektuje się dziś stadion lub planuje bieg uliczny czy ewakuację miasta, standardowo wykonywane są już symulacje komputerowe zakładające, że masa ludzka przelewa się z miejsca na miejsce jak lepki, granularny płyn. Ledwie parę tygodni temu ukazało się ciekawe badanie nad dynamiką „chmury przedszkolaków", oparte zresztą na starannych pomiarach ruchu prawdziwej gromadki dzieci.

Trajektorii zakreślanej przez jednostkę nie da się już wyznaczyć tak łatwo. Jorge Luis Borges twierdził wręcz, że potrzeba by do tego nieskończonego umysłu (dla którego jednak narysowanie linii wyznaczonej przez moje ciało w przestrzeni, od narodzin do śmierci, byłoby równie łatwe, jak dla człowieka narysowanie kreski na papierze). Biasi postawił sobie prostsze zadanie: matematyczny opis niektórych ruchów wykonywanych przez koty w pobliżu ludzi.

Sama logika jest prosta. Człowiek jest dla kota źródłem czegoś, co fizyk określa technicznie jako potencjał: przyciągający albo odpychający kota, zależnie od „ładunku" emocjonalnego (człowiek lubiany/nielubiany) i odległości (idealna to zero, czyli władowanie się na kolana, jest też jednak „drugie minimum potencjału": na końcu kanapy). Biasi w artykule rekonstruuje na bazie swojego modelu aż 7 kocich zachowań.

To oczywiście tylko niewinna rozrywka, a sam autor otwarcie przyznaje, że nie stanowi ona realnego wkładu ani w badania nad ludźmi, ani nad kotami. To nie rzadkość: podobne artykuły często mają problem z wytłumaczeniem swojej potrzeby. Niech nawet będzie, że przedszkolaki zachowują się jak specyficznego rodzaju gaz, zbijający się czasem w grudki – i co z tego? Autorzy tamtego badania twierdzą, że model ich może przydać się np. przy programowaniu rojów dronów. Hm. Biasi „sprzedaje" z kolei swój artykuł jako narzędzie edukacyjne: matma jest ta sama, co przy modelowaniu atomów, a temat zaciekawi studentów. Hm.

Z drugiej strony, czy nauka zawsze musi być praktyczna? Umysł ludzki jest naturalnie ruchliwy i zawsze szuka sobie ujścia; pozwólmy mu się czasem swobodnie rozlać tu i tam. © ŁUKASZ LAMŻA

Endometrioza: stare leki, nowa terapia

MEDYCYNA ▪ Z powodu endometriozy cierpi prawie 10 proc. kobiet w wieku rozrodczym, czyli ok. 190 milionów pacjentek. Cierpienie to najbardziej adekwatne określenie wobec tej choroby, bowiem jej główne objawy to silne, nawracające dolegliwości towarzyszące miesiączkowaniu albo przewlekły ból miednicy. Dodatkowo endometrioza wiąże się z nasilonym krwawieniem miesięcznym, zwiększa ryzyko poronienia i powoduje niepłodność.

Leczenie tej choroby jest bardzo trudne i nie zawsze skuteczne. Komórki błony śluzowej macicy (endometrium) mogą lokalizować się poza tym organem, w różnych miejscach jamy otrzewnej, ulegając cyklicznie tym samym zmianom hormonalnym co prawidłowa śluzówka. Niektóre ogniska endometriozy można usuwać chirurgicznie, stosuje się leki hormonalne, próbuje leczyć objawowo. Przyczyny i patofizjologia choroby wciąż są tematem badań i źródłem kontrowersji.

Naukowcy z Uniwersytetu Harvarda podzielili się na łamach „Science Translational Medicine" wynikami badania, które może przybliżyć nas do lepszego poznania i skuteczniejszego leczenia tej choroby. Okazuje się, że za objawy w znacznej mierze odpowiadać może swoista interakcja układu nerwowego z układem immunologicznym. Podczas badań na myszach odkryto obecność w ogniskach endometriozy neurotransmitera CGRP, który pobudza komórki odpornościowe i powoduje powiększenie ogniska choroby.

Białko CGRP jest znane od dawna i odgrywa istotną rolę w powstawaniu objawów migreny. Od kilku lat poszukuje się wspólnych przyczyn obu chorób, które często występują w parze. Punktem zbieżnym jest CGRP i jego receptor RAMP-1. Co więcej: dostępne są leki, które hamują jego działanie, skutecznie przerywając napady migreny. Badacze postanowili przetestować cztery leki z tej grupy w mysich modelach endometriozy – obserwowano zmniejszenie objawów bólu u gryzoni, a nawet redukcję rozmiarów ognisk endometriozy.

Choć wyniki badania są bardzo obiecujące, trzeba pamiętać, że warunki laboratoryjne nie oddają pełnej złożoności badań klinicznych z udziałem ludzi. Ale tego, czy terapia będzie skuteczna w naszym gatunku, możemy dowiedzieć się dość szybko. Potencjalne leki są zarejestrowane i przebadane pod względem bezpieczeństwa, a to skraca formalności i daje szansę na życie bez bólu milionom kobiet.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

JIM WATSON / AFP / EAST NEWS

ERA TRUMPA

Przyszła prezydentura to równanie z wieloma niewiadomymi. Czego świat – w tym zwłaszcza Ukraina – powinien się spodziewać po drugiej kadencji Donalda Trumpa?

ANDRZEJ KOHUT

Wołodymyr Zełenski nie szczędził superlatyw. „Gratulacje dla Donalda Trumpa za jego imponujące zwycięstwo w wyborach!" – napisał na platformie X ukraiński przywódca krótko po tym, jak stało się jasne, że były prezydent powróci do Białego Domu.

Zełenski ciepło wspominał również „wspaniałe" spotkanie z Trumpem we wrześniu, podczas swojej wizyty w Stanach. Chwilę później dodał kolejny post: „Dla nas w Ukrainie i w całej Europie zawsze było niezwykle ważne usłyszeć słowa ówczesnego, 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych o »pokoju poprzez siłę«".

Trzeba się przystosować

Zachowanie Zełenskiego było niezwykle symptomatyczne. Przyszłość jego kraju w konflikcie z Rosją zależy w znacznej mierze od decyzji podejmowanych w Waszyngtonie, a po 20 stycznia 2025 r. ostatnie słowo będzie należało tu właśnie do Donalda Trumpa. Do tego trzeba się jak najszybciej przystosować. Zełenski wybrał drogę pochlebstwa i podkreślania tych elementów retoryki starego-nowego prezydenta, które z perspektywy Kijowa mogą być korzystne.

Ponieważ wybór Republikanina musi budzić na Ukrainie obawy. Na kampanijnym szlaku Trump wielokrotnie podkreślał, że wojna rosyjsko-ukraińska musi się zakończyć jak najszybciej, a on sam jest w stanie doprowadzić do tego niemal błyskawicznie. Sugerował, że jest w stanie przymusić Zełenskiego i Putina, by usiedli do negocjacyjnego stołu. Twierdził nawet, że konflikt zakończy się jeszcze przed jego prezydencką inauguracją – zanim oficjalnie wróci na stanowisko.

Jednocześnie nigdy swoich planów nie sprecyzował, twierdząc, że wtedy nie mógłby już z nich skorzystać. Zełenskiego nazywał za to „najlepszym sprzedawcą w historii", krytykując fakt, że kolejne wizyty ukraińskiego przywódcy

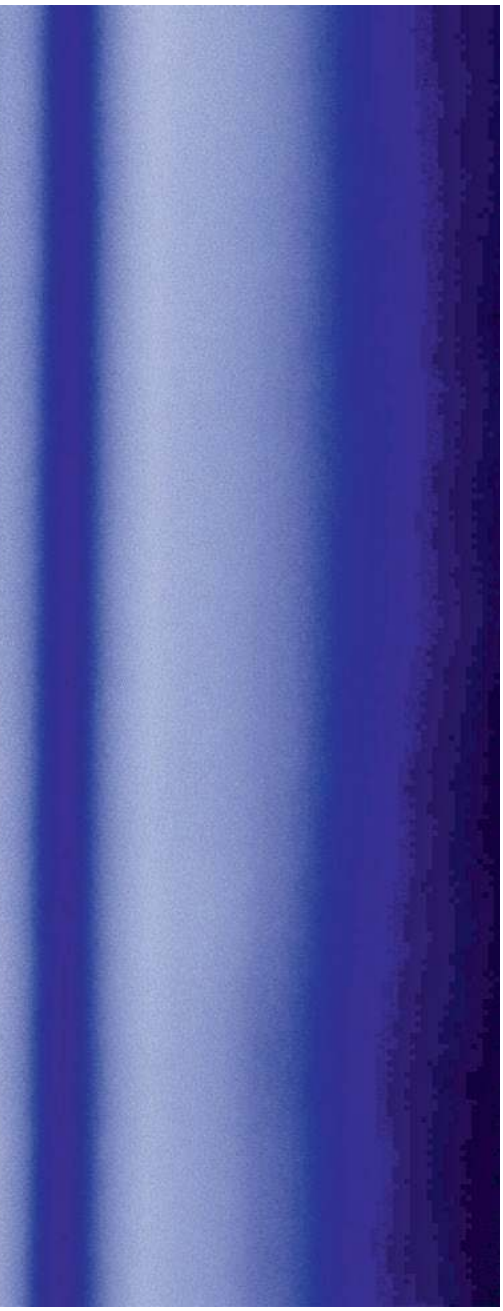

przynoszą kolejne milionowe pakiety wsparcia dla Kijowa ze strony Waszyngtonu.

Retoryka i realia

Czy zatem prezydent Ukrainy ma szanse powodzenia, gdy szuka dziś zbliżenia z człowiekiem, który wraca na Pennsylvania Avenue, gdzie pod numerem 1600 znajduje się Biały Dom?

Zapowiedzi Donalda Trumpa rzadko kiedy można traktować literalnie. Jego retoryka pełna jest przesady – wszystko jest najlepsze albo najgorsze na świecie. Proponowane zaś rozwiązania mają niezwykłe właściwości: daje się je wprowadzić szybko i od razu przynoszą wybawienie od problemów.

Niezależnie od tego, czy Trump mówi o cłach, zamknięciu granicy USA–Meksyk, zakończeniu wojen (na Ukrainie i Bliskim Wschodzie), czy wierceniach w poszukiwaniu ropy – za każdym razem przedstawiana przez niego wizja wydaje się niezwykle łatwa do wprowadzenia w życie.

Potem jednak rzeczywistość sprawowania rządów weryfikuje wiecowe krasomówstwo. W jego pierwszej kadencji obserwowaliśmy kolejne niepowodzenia przy budowie „wielkiego, grubego muru" na granicy albo osobiste spotkania Trumpa z Putinem oraz przywódcą Korei Północnej Kim Dzong Unem – koniec końców, niezbyt owocne.

Kwestia zaplecza

Teraz, w drugiej kadencji, ma być inaczej. Trump ma być otoczony bardziej lojalnymi ludźmi, bo rotacja na najwyższych stanowiskach i konflikty wewnątrz jego administracji były poprzednim razem prawdziwą plagą.

Nowy prezydent może również podjąć próbę wymiany urzędników średniego szczebla, by unieszkodliwić stające mu dotąd na drodze biurokratyczne *deep state*, tzw. głębokie państwo. Do tego konserwatywne think tanki od lat przygotowywały się na ponowny wybór Trumpa, kreśląc mu polityczne plany. Nowa administracja ma więc być bardziej sprawna, zdyscyplinowana i merytorycznie gotowa, by wypełnić wizję prezydenta.

Ale czy tak będzie na pewno? Trump nie jest najłatwiejszym człowiekiem we współpracy, więc konflikty personalne mogą pojawić się i tym razem. Głębsza wymiana urzędniczych kadr narazi zaś Trumpa na poważny spór prawny (urzędnicy średniego i niższego szczebla są w USA chronieni, zwolnić można ich ze względów merytorycznych, a nie politycznych). Rekrutacja dziesiątek tysięcy nowych, bo o takich liczbach była mowa, również może okazać się niezwykle trudnym wyzwaniem.

Ponadto, tak poważna wymiana kadr może generować chaos w najważniejszych instytucjach, kiedy tysiące ludzi bez doświadczenia będą uczyć się swoich nowych ról. Przynajmniej w początkowym okresie taka kadrowa rewolucja oznaczałaby więc raczej paraliż niż usprawnienie rządów.

Kwestia większości

Istotną rolę może również odegrać Kongres. W chwili powstawania tego tekstu nie był jeszcze znany ostateczny rezultat – wiadomo było tylko, że Republikanie odzyskali przewagę w Senacie i byli na dobrej drodze, aby odrobinę powiększyć swoją dominację w Izbie Reprezentantów.

Pozornie oznacza to znakomitą sytuację dla Partii Republikańskiej, która kontrolowałaby nie tylko Biały Dom, ale również obydwie izby Kongresu. W praktyce jednak wcale nie musi to oznaczać perspektywy łatwych rządów dla nowej administracji.

Amerykański Senat pozostaje w stanie systemowego paraliżu: do swobodnych rządów jedna z partii potrzebuje aż sześćdziesięciu głosów ze stu. Na to zaś Republikanie nie mają widoków (taka sytuacja nie miała zresztą miejsca od dekad). Wiele ustaw może więc ugrzęznąć w Senacie, jak to się dzieje od lat.

Z kolei przewaga Republikanów w Izbie Reprezentantów może urosnąć o trzy-cztery głosy, lecz nadal pozostanie skromna. To zaś spowoduje, że grupa radykalnych kongresmenów wciąż będzie miała zdolność blokowania działań swoich kolegów.

Np. czy gdyby republikańscy radykałowie zablokowali kolejny pakiet pomocy dla Ukrainy, to republikański przewodniczący (spiker) Izby mógłby sięgnąć po pomoc Demokratów, aby go uchwalić? Mike Johnson zrobił tak w kwietniu tego roku. Ale wówczas prezydentem był Joe Biden, a Demokraci kontrolowali Senat.

Co z Ukrainą?

Hipotetyczny przykład kolejnego pakietu pomocowego dla Ukrainy dobrze pokazuje, na jakie ograniczenia może natrafić nowa administracja.

Żeby to lepiej zrozumieć, warto przyjrzeć się także planom, jakie snuje nie tylko sam Trump, ale również jego zaplecze eksperckie oraz przyszły wiceprezydent J.D. Vance. Koncepcje te różnią się w wielu aspektach, ale ich elementem wspólnym pozostaje przekonanie o konieczności zaprowadzenia rozejmu na Ukrainie i rozpoczęcia rozmów pomiędzy Ukrainą a Rosją. ↦

Trump przekonywał, że jest w stanie do tego doprowadzić. Czy na pewno? Strona ukraińska może się okazać łatwiejsza do przekonania – zwłaszcza jeśli Trump zagroziłby ograniczeniem pomocy militarnej. Nie wiadomo jednak, czy podobnie podatny na presję okaże się Władimir Putin, dla którego sprawy układają się dziś pomyślniej niż kilkanaście miesięcy temu: armia rosyjska powoli, ale idzie naprzód, a Ukrainę czeka kolejna trudna zima.

Wprawdzie rosyjski przywódca pogratulował w końcu Trumpowi zwycięstwa i wspomniał przy tej okazji, że jego zapowiedzi zakończenia wojny są „godne uwagi". Jednak co się stanie, jeśli szczegóły propozycji Trumpa okażą się dla Moskwy nie do przyjęcia?

Pokój poprzez siłę?

Mike Pompeo – sekretarz stanu w pierwszej administracji Trumpa, obecnie przymierzany do stanowiska sekretarza obrony – już jakiś czas temu przedstawił swoją wizję tego, jak Trump mógłby doprowadzić do pokoju na Ukrainie.

To plan, w którym Ukraina i Zachód przystępują do negocjacji z Rosją z pozycji siły. Oznaczałoby to jednak konieczność odwrócenia obecnej trajektorii konfliktu. Pompeo proponuje surowsze sankcje nałożone na Rosję, większą pomoc dla Ukrainy (choć na zasadzie pożyczki) czy zniesienie ograniczeń na użycie amerykańskiego uzbrojenia do ataków w głębi terytorium Rosji. Zamiast ustępstw – mielibyśmy więc znaczące zwiększenie presji na Putina.

Takie właśnie podejście Robert O'Brien (doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego za poprzednich rządów Trumpa) nazwał „pokojem poprzez siłę", odwołując się do koncepcji, którą lubił posługiwać się w latach 80. XX w. prezydent Ronald Reagan (było to jeszcze w czasach zimnej wojny i konfliktu Wschód–Zachód).

O'Brien przekonuje, że tylko okazując siłę w Europie czy na Bliskim Wschodzie, Ameryka będzie w stanie utrzymać kluczową rywalizację z Chinami na pokojowym gruncie. On sam, podobnie zresztą jak wielu innych konserwatywnych ekspertów, uważa, że wojna na Ukrainie wybuchła dlatego, że Putin był przekonany o słabości Waszyngtonu. Zwłaszcza po katastrofalnym odwrocie amerykańskich żołnierzy z Afganistanu latem 2021 r.

> Kontynuacja obecnej polityki USA wobec Ukrainy nie przyniesie jej zwycięstwa. Może więc rację ma Zełenski, że w powrocie Trumpa upatruje także szansę?

Koncepcja „uśpionego NATO"

Dziś nazwisko O'Briena pojawia się w medialnych spekulacjach dotyczących kształtu przyszłego gabinetu Trumpa. Ale w tych spekulacjach są również inni.

I tak, dla Elbridge'a Colby'ego czy dla ekspertów skupionych w think tanku Center for Renewing America (Centrum Odnowy Ameryki), którego wpływy w otoczeniu Trumpa mogą być znaczne, również Chiny są kluczowym wyzwaniem stojącym przed USA. Jednak widzą oni inną odpowiedź niż O'Brien: uważając, że Stany Zjednoczone powinny nie tyle udowadniać własną siłę na Ukrainie, w Strefie Gazy czy w Libanie, ile raczej doprowadzić do jak najszybszego zakończenia tych konfliktów, aby skupić swoje siły w regionie Indo-Pacyfiku.

Wspomniany think tank przedstawia nawet koncepcję „uśpionego NATO": takiej transformacji Sojuszu, która ograniczyłaby zaangażowanie USA na Starym Kontynencie, przerzucając ciężar odstraszania Rosji na barki europejskich sojuszników. W tej wizji Amerykanie wciąż mieliby utrzymywać swój nuklearny parasol, a także „wybudzać się" do działań militarnych w Europie, ale dopiero, gdyby sytuacja stała się szczególnie dramatyczna.

Trzy stronnictwa

Dwa lata temu eksperci European Council on Foreign Relations zdefiniowali podziały w obozie Partii Republikańskiej dotyczące spraw międzynarodowych, dzieląc polityków tej formacji na trzy kategorie.

Pierwsza to „stronnictwo prymatu": ci, którzy chcieliby utrzymania zarówno dotychczasowej pozycji USA, jak też globalnego zaangażowania Amerykanów na dotychczasowym poziomie.

Dalej mielibyśmy „stronnictwo priorytetów": to ci, którzy są przekonani, że USA powinny skupić swoje siły i zasoby na rywalizacji z Chinami, redukując swoją obecność militarną w innych częściach świata.

I wreszcie „stronnictwo ograniczenia": ono opowiada się za bardziej izolacjonistyczną polityką zagraniczną oraz za skupieniem się przede wszystkim na problemach krajowych.

W tym momencie wygląda na to, że rola tej trzeciej grupy jest słabsza, i że to spór dwóch pierwszych frakcji może zdefiniować przyszłość amerykańskiej polityki zagranicznej. Która z nich znajdzie się bliżej ucha prezydenta i przedstawiciele której zajmą kluczowe stanowiska?

I znowu ten Kongres...

Jednak ten spór dotyczący wizji zderzy się w końcu z rzeczywistością – i tutaj wraca kwestia Kongresu. Bo nawet jeśli przeważać zacznie opcja „pokoju poprzez siłę", która tak bardzo przypadła do gustu prezydentowi Zełenskiemu, to czy nowa administracja będzie w stanie ją zrealizować?

Wywarcie presji na Putina poprzez radykalne zwiększenie pomocy militarnej dla Ukrainy dobrze brzmi, lecz będzie wymagać wydania kolejnych miliardów z budżetu USA. A na to radykałowie w Partii Republikańskiej mogą nie wyrazić zgody.

Pod wpływem chwili

Pozostaje jeszcze jedna zagadka: co zdecyduje Trump.

Tuż po wyborach w polskich mediach pojawiło się sporo relacji (czy raczej: spekulacji) dotyczących potencjalnego planu Trumpa dla Ukrainy, o którym pisał „Wall Street Journal". Szczególnie zwracano uwagę na sugestię jednego z doradców Trumpa, że po zawieszeniu broni to państwa europejskie, w tym Polska, powinny zabezpieczać Ukrainę przed kolejną rosyjską inwazją.

Tymczasem w tekście „Wall Street Journal" pojawia się anonimowa wypowiedź innej osoby z otoczenia przyszłego prezydenta, która zasługuje na większą uwagę: „Każdy – bez względu na to, jak blisko jest samego Trumpa – kto twierdzi, że ma inne zdanie lub bardziej szcze-

gółowy wgląd w jego plany dotyczące Ukrainy, po prostu nie wie, o czym mówi, albo nie rozumie, że [Trump] podejmuje własne decyzje w kwestiach bezpieczeństwa narodowego często pod wpływem chwili, szczególnie w tak kluczowej kwestii jak ta".

„Jestem, k..., szalony"

Rzeczywiście, Donald Trump powinien przyzwyczaić nas do tego, że jest politykiem nieprzewidywalnym. Również dla swojej administracji.

Co więcej, świadomie tą nieprzewidywalnością gra. Kiedy został niedawno zapytany przez dziennikarza, czy wysłałby amerykańskie wojska na Tajwan, gdyby Chiny dokonały tam inwazji, odpowiedział krótko: „Nie musiałbym". Stwierdził, że przywódca Chin Xi Jinping go zna, i że nie tylko go szanuje, ale też ma świadomość, iż Trump jest „k... szalony".

Nieprzewidywalność nie jest raczej cnotą polityka. W przypadku Trumpa ma jednak tę niewątpliwą zaletę, że komplikuje kalkulacje nie tylko jego sojusznikom, ale także przywódcom Rosji, Iranu czy Chin.

A jednak szansa?

Jedno jest dziś pewne: kontynuacja dotychczasowej amerykańskiej polityki wobec Ukrainy, w tym kontynuacja dostaw uzbrojenia na podobnym co teraz poziomie – co jeden z europejskich ekspertów streścił zdaniem: „Za mało, by wygrać, ale za dużo, by przegrać" – nie przyniosłaby zwycięstwa Kijowa w dłuższej perspektywie, lecz ciąg dalszy prowadzonej dziś przez Rosję „wojny na wyniszczenie".

Wejście na scenę Donalda Trumpa oznacza, że sprawy potoczą się inaczej niż dotąd. Być może rację ma prezydent Zełenski, że upatruje w tym nie tylko zagrożenie, ale również szansę?

© ANDRZEJ KOHUT

Autor jest amerykanistą, autorem książek o USA. W tym roku wydał „Bitwę o Amerykę. Czy to koniec Stanów Zjednoczonych, jakie znamy?". W przeszłości związany z Klubem Jagiellońskim, obecnie analityk Ośrodka Studiów Wschodnich (w Zespole Bezpieczeństwa i Obronności). Autor podkastu „Po amerykańsku".

WITOLD ROZBICKI / REPORTER

Spotkanie Donalda Trumpa z prezydentem Andrzejem Dudą. Warszawa, 6 lipca 2017 r.

Prezydentura Trumpa szansą dla Polski?

SŁAWOMIR DĘBSKI, POLITOLOG:

Nowa administracja USA będzie definiować na nowo politykę zagraniczną i to może być dla nas szansa, a nie zagrożenie. Powinniśmy jak najszybciej zaprosić prezydenta Trumpa do Warszawy.

PATRYCJA BUKALSKA: Jak zmieni nam się świat po wygranej Donalda Trumpa?

SŁAWOMIR DĘBSKI: Przede wszystkim bardzo zmieni się Ameryka. Natomiast zmiana na świecie może być konsekwencją tego, jak głęboka będzie ta zmiana w USA. W Stanach mamy bowiem do czynienia z rewolucją, z zakwestionowaniem dotychczasowego *status quo* związanego z samoidentyfikacją Ameryki. Z tym, czym ona jest i dla kogo jest.

Te wybory stały się w gruncie rzeczy plebiscytem dotyczącym Trumpa. Okazało się, że wszystkie jego słabości i ułomności, jego pyszałkowatość i skandale nie miały znaczenia. Większość głosujących Amerykanów chce zmiany. Chce zerwania z tym, co było. Odrzucenia establishmentu, który rządził przez ostatnie cztery lata, i prowadzonej w tym czasie polityki.

Myślę, że jest to też głos protestu, odrzucenie pewnej fasady. Bo moim zdaniem był to także wyścig na autentyczność, w którym okazało się, że Amerykanie wolą autentycznego Trumpa, który mówi tak, jak mówi, komunikuje się z ludźmi w sposób bardzo prosty, mówiąc oględnie. Natomiast Kamalę Harris uznali za projekt nieautentyczny i nieprzekonujący.

Twierdzi Pan, że w tych wyborach chodziło także o to, dla kogo jest Ameryka. Trumpowi udało się przekonać Amerykanów, że Ameryka jest dla nich?

Tak, Trump ich przekonał, że Stany, Biały Dom i prezydent są dla nich. Amerykanie nie chcą się już interesować problemami świata czy klimatem. Trump na pewno wystąpi z klimatycznego Porozumienia paryskiego, a także z tzw. *executive orders* dotyczących polityki równościowej, które w styczniu 2021 r. podpisał Biden. Ameryka prawdopodobnie wycofa się w ogóle z jakiejkolwiek polityki klimatycznej. Co będzie wyzwaniem dla Europy, bo za chwilę się okaże, że na świecie tylko Unia Europejska prowadzi taką politykę.

↦

A jakim wyzwaniem dla Polski jest powrót Trumpa?

Trudno to dziś ocenić. Po pierwsze, każdą administrację USA kształtuje pierwszy kryzys międzynarodowy. Wszystkie deklaracje i wystąpienia w mediach, jakie mają miejsce podczas kampanii wyborczej, są ważne dla budowania tożsamości obozu politycznego. Natomiast realna polityka może wymagać zmierzenia się z inną rzeczywistością, w której trzeba poszukiwać sojuszników i budować koalicje. Druga niewiadoma polega na tym, że nie znamy składu rządu Trumpa. Możliwe są tu różne konfiguracje personalne, a w związku z tym także różne podejścia do spraw międzynarodowych.

Spróbujmy jednak naszkicować przyszłą politykę USA w świecie.

W kampaniach obojga kandydatów, zarówno Trumpa, jak też Harris, było widać, że Amerykanie chcą się wywikłać z odpowiedzialności za utrzymywanie pokoju na świecie. Taki jest nastrój po ponad 20 latach wojen, które Stany toczą w różnych miejscach globu, bezpośrednio lub wspierając jakieś kraje. Amerykanie mają tego serdecznie dosyć. Nie chcą się już angażować, nie chcą nikogo bronić, nie uważają tego za swój obowiązek. Niech się Europa sama broni, skoro tak się boi Rosji.

To dotyczy też Azji? Niektórzy ludzie z otoczenia Trumpa mówią, że to Azja powinna być punktem ciężkości.

Sytuacja na Pacyfiku jest nieco inna, ale moim zdaniem te nastroje będą oddziaływać także na tamtejsze sojusze USA. Za chwilę Korea Południowa dowie się, że za obecność żołnierzy amerykańskich na jej terytorium trzeba płacić, i to płacić więcej. Podobnie będzie pewnie z Tajwanem i Japonią.

Ten trend nie jest dla nas korzystny.

Ale on nie jest zależny od Trumpa. Nie on go uruchomił. Te nastroje są silnie obecne w społeczeństwie USA i one muszą mieć wpływ na politykę. Amerykanie coraz mniej rozumieją, czemu mają wysyłać miliardy dolarów pomocy Ukrainie, skoro wielu z nich nie ma pracy, ich kraj przegrywa konkurencję z Chinami, a do tego napływają miliony nielegalnych imigrantów. Obok sytuacji gospodarczej to właśnie masowa nielegalna imigracja była najważniejszym tematem tej kampanii.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

DR SŁAWOMIR DĘBSKI jest politologiem i historykiem. W latach 2011-2016 dyrektor Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, potem do 2024 r. dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Obecnie profesor Kolegium Europejskiego w Natolinie.

Jeśli chodzi o kwestie odpowiedzialności, to akurat Polska, która znacznie przekracza wymagane minimum nakładów na obronność, ma chyba dobrą pozycję w przyszłych relacjach?

Tego nie wiemy. Jeśli idzie o wydawanie czterech czy pięciu procent PKB na obronność, będziemy w stanie spełnić to kryterium sojusznicze. Ale jeśli Amerykanie powiedzą: „Dobrze, będziemy się dalej angażować, ale to wy wyślecie swoje wojska na Ukrainę, bo potrzebujemy tam wojsk europejskich, aby ustabilizować sytuację...". Wtedy zapewne pojawi się u nas dylemat, jak na to odpowiedzieć. Myślę, że musiałoby się dużo zmienić także w polityce USA wobec Polski, abyśmy zaczęli w ogóle rozważać, czy wysłać nasze wojsko na Ukrainę w takiej misji stabilizacyjnej.

Co by się musiało zmienić?

Jesteśmy największym państwem wschodniej flanki NATO, wydajemy na obronność i zbrojenia najwięcej wśród sojuszników, może obok Grecji. Jesteśmy w tym zdeterminowani, traktujemy bezpieczeństwo na serio. A jednak administracja Bidena utrzymywała formułę nieformalnych konsultacji w NATO tylko z udziałem Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii. Polski do tego nie zaprosiła, co widać było choćby ostatnio w Berlinie. Moim zdaniem jednym z postulatów Polski wobec administracji Trumpa powinno być albo rozszerzenie tego formatu o Warszawę, albo wyrzucenie go do kosza. Bo jeśli nie ma w nim w ogóle przedstawicieli wschodniej flanki NATO, to jest on niereprezentatywny.

Rozważyłbym też rozmowę z administracją Trumpa o rozszerzeniu grupy G7 o Polskę. Grupa G7 została powołana w latach 70. XX wieku, nie ma w niej np. wystarczającej reprezentacji państw Pacyfiku, a to dla Amerykanów ważny region. Z kolei Polska jest sojusznikiem USA w Europie, państwem, które od 30 lat dobrze się rozwija. Powinniśmy się o to ubiegać.

Polska jest najtrwalszym przykładem sukcesu polityki amerykańskiej po zimnej wojnie i trafności ich strategii – i dziś swoim wysiłkiem w obronę wschodniej flanki to pokazujemy. Można powiedzieć, że Polska to element amerykańskiego sukcesu politycznego w Europie.

Administracja Trumpa będzie definiować na nowo politykę zagraniczną USA i to może być dla nas szansa, a nie zagrożenie. Trump może być politykiem, który polskim elitom nie do końca odpowiada, ale to on cieszy się dziś poparciem większości Amerykanów. Trzeba wyciągnąć wnioski z tego faktu i się przystosować. Nie zajmujmy się tym, na co nie mamy wpływu, lecz tym, na co możemy mieć wpływ.

Możemy na przykład zaprosić prezydenta Trumpa do złożenia wizyty w Warszawie?

Oczywiście! W końcu kwietnia będziemy mieć w Warszawie szczyt Trójmorza i byłoby dla mnie naturalne i zrozumiałe, gdyby prezydent Andrzej Duda natychmiast zaprosił prezydenta Trumpa do udziału w tym szczycie. Zwłaszcza że w 2017 r. prezydent Trump był w Warszawie, brał udział w inauguracji amerykańskiego w pewnym sensie zaangażowania na poziomie prezydentów w politykę Trójmorza. Trzeba do tego nawiązać, wykorzystać to.

Trzeba też zastanowić się, czego oczekujemy od USA. Nasza polityka musi być aktywna. Szukajmy okazji i myślmy nieszablonowo, jak mówią Amerykanie: *out of the box*, bo nowa polityka USA będzie dopiero kształtowana i to, jaka będzie, może w pewnym stopniu zależeć także od nas.

W pierwszej połowie 2025 roku będziemy też sprawować przewodnictwo w Radzie UE. Nowa Komisja, nowe otwarcie – w Brukseli jest nieufność, nie stać nas na to, czego próbowali

np. Niemcy jeszcze za Merkel, czyli „zatkać nos" i przeczekać Trumpa. Trzeba go angażować, a nie otaczać kordonem sanitarnym, bo świat nam przyspieszył. Co więcej, ta administracja odziedziczy bałagan na Bliskim Wschodzie i potężne wyzwanie chińskie. Tam będzie skierowana większość uwagi, więc trzeba naszej aktywności. Polska ma do odegrania poważną rolę.

W swoim przemówieniu, w którym ogłosił zwycięstwo, Trump zapowiedział, że chce „uzdrowić" podzieloną Amerykę. Czy po tak polaryzującej kampanii to możliwe?

To paradoks, ale Trump będzie miał taką szansę, gdyż to jego ostatnia kadencja. On już nie będzie ubiegać się o reelekcję, więc od początku będzie skoncentrowany na budowie własnej spuścizny. Na tym, jak Ameryka go zapamięta. Mając prawdopodobnie większość zarówno w Senacie, jak też w Izbie Reprezentantów, Republikanie będą mieli możliwość przyjmowania ustaw i zmieniania kraju tak, jak będą chcieli. To się rzadko zdarza w USA, aby jedna partia miała i prezydenta, i cały Kongres. Republikanie mają więc potężny instrument w ręku. Pytanie, jak go wykorzystają.

Druga sprawa: Trump nie ma dziś żadnych rywali. Zakładam, że może go to skłaniać do pewnego samoograniczania się. Nie musi już utrzymywać swojej bazy, mobilizować, polaryzować. Od niego tylko zależy, czy będzie chciał utrzymywać ideowe przywództwo w Partii Republikańskiej i pomagać republikańskim kandydatom w wyborach *mid-terms* za dwa lata, czy też machnie na to ręką i będzie rządzić tak, by budować tylko własny pomnik.

A na razie?

Na razie ma on mocny mandat. Odniósł ogromny triumf, który będzie mieć skutki także dla świata i Polski. Powtórzę: to moment, gdy powinniśmy intensyfikować nasze działania polityczne i dyplomatyczne. To okazja, by ukształtować ten nowy świat Trumpa w taki sposób, aby był dla Polski korzystny. Albo żeby przynajmniej ograniczyć straty.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES

Kamala Harris na lotnisku w Madison w stanie Wisconsin. 1 listopada 2024 r.

Demokraci są odklejeni

ANDREW SMITH, DYREKTOR OŚRODKA SONDAŻOWEGO NA UNIWERSYTECIE NEW HAMPSHIRE:

Jako wiceprezydentka u boku niepopularnego prezydenta Bidena, obwinianego za problemy ekonomiczne Amerykanów, Kamala Harris od początku była na straconej pozycji.

MARTA ZDZIEBORSKA: Na Trumpa zagłosowała rekordowa liczba Latynosów i czarnych, przez lata postrzeganych jako pewni wyborcy Partii Demokratycznej. Niektórzy twierdzą, że doszło właśnie do przetasowania i skrętu amerykańskiego elektoratu na prawo. Pan też tak uważa?

ANDREW SMITH: To przetasowanie nie dokonało się przy okazji obecnych wyborów. Takie procesy trwają znacznie dłużej. Cofnijmy się do 1994 r., gdy Republikanie zdobyli kontrolę nad Senatem i Izbą Reprezentantów po raz pierwszy od prawie czterech dekad. Czy to ich zwycięstwo spowodowane jakimiś konkretnymi wydarzeniami w roku wyborczym? Nie. Mieszkańcy Południa i Środkowego Zachodu dryfowali w stronę Partii Republikańskiej od dekad, a zdobycie większości w obu izbach było tylko zwieńczeniem tego procesu.

Żeby była jasność, nie sądzę, by amerykański elektorat różnił się dziś znacząco od tego w 2016 r., gdy Trump wygrał po raz pierwszy. Nadal jesteśmy mocno spolaryzowanym społeczeństwem i każda z obu partii ma szansę na zwycięstwo. Zmieniło się jednak to, że Demokraci wreszcie mówią otwarcie, iż mają problem z klasą pracującą i mniejszościami etnicznymi, które kiedyś stały za nimi murem.

Tu kłania się przykład młodych Latynosów, którzy zagłosowali na Trumpa, bo chcą silnej gospodarki i walki z nielegalną imigracją.

Demokraci od lat tkwili w błędzie, myśląc, że Latynosi, podobnie jak czarni, będą dalej postrzegać politykę przez pryzmat swojej przynależności etnicznej, i że to wystarczy, by mieć ich głos w kieszeni. Tymczasem obie te grupy są gotowe zagłosować na każdą partię, która poprawi ich sytuację ekonomiczną.

Kamali Harris trudno było przekonać Amerykanów, że to ona gwarantuje zmianę na lepsze, skoro spędziła ostatnie cztery lata w administracji Bidena.

↦

↦ **A to za jej rządów doszło do rekordowego wzrostu cen produktów w sklepach.**

I na tym skorzystał Trump. Ludzi nie pociesza to, że inflacja wyhamowała. Nadal odczuwają wyższe ceny żywności: jeszcze trzy lata temu tuzin jajek kosztował około dolara, dziś to nawet 4-5 dolarów. Do tego Amerykanów coraz mniej stać na wzięcie kredytu na zakup domu czy samochodu. To właśnie m.in. ze względu na wysoką inflację prezydenci Gerald Ford, a potem Jimmy Carter przegrali walkę o reelekcję. Kamala Harris miała też utrudnione zadanie ze względu na rekordowy napływ imigrantów do USA za rządów Bidena. To zwiększyło konkurencję na rynku pracy, co rozwścieczyło klasę robotniczą.

Trump znów trafnie wyczuł nastroje społeczne, podobnie jak w 2016 r., gdy mieszkańcy Środkowego Zachodu odwrócili się od waszyngtońskich elit. Kiedy elektorat Partii Demokratycznej zaczął się sypać?

Niektórzy mówią nawet o końcówce lat 60. XX w. Moim zdaniem od lat 80. i prezydentury Ronalda Reagana, Republikanina. Pochodzę z Ohio, dużego stanu na Środkowym Zachodzie, gdzie wraz z zamykaniem się fabryk klasa pracująca stopniowo odwracała się od Partii Demokratycznej. Zmiany było widać także w innych stanach: Wisconsin, Pensylwanii i Michigan, gdzie na początku XXI w. wyścigi prezydenckie zaczęły być mocno wyrównane. A pamiętajmy, że kiedyś Demokraci wygrywali tu w cuglach.

Jednak w niektórych z tych stanów w 2008 r. Barack Obama dosłownie zmiażdżył republikańskiego rywala w walce o prezydenturę.

Obama to osobna historia. On wygrał dzięki dużemu poparciu ze strony młodych ludzi, białych mężczyzn, Latynosów i oczywiście Afroamerykanów. Ci ostatni uwierzyli, że ktoś taki jak oni, też czarny, lepiej zrozumie ich problemy. Gdy osiem lat później Hillary Clinton walczyła o Biały Dom, Demokraci przyjęli, że ma pewne poparcie Afroamerykanów. Tyle że z nią trudniej było im się identyfikować, bo nie miała czarnego koloru skóry, a poza tym ludzie tkwili w tym samym finansowym dołku jak wówczas, gdy rządy zaczynał Obama.

Dlatego w 2016 r. szczególnie czarnym mężczyznom łatwiej było odwrócić się od Demokratów i głosować na Trumpa. Ten trend widać także w tegorocznych wyborach. Jednocześnie przez te lata zmienił się elektorat: pełnoletność osiągnęli młodzi czarni i Latynosi, którzy nie identyfikują się z Partią Demokratyczną tak jak ich rodzice, a nawet starsze rodzeństwo.

Dlatego dziś niektórzy wytykają Kamali Harris, że otoczyła się odklejonymi od rzeczywistości konsultantami politycznymi z czasów Obamy. Kiedy doświadczył Pan na własnej skórze, że Demokraci stali się partią elit?

Już w 1998 r., gdy przeprowadziłem się z Ohio do New Hampshire, jednego z najbogatszych stanów, gdzie mieszka duży odsetek ludzi z wyższym wykształceniem, do tego mało religijnych. Nasi Demokraci z Ohio byliby postrzegani w New Hampshire jako Republikanie.

Proszę wyjaśnić.

Demokraci w Ohio w dużej mierze należeli do klasy pracującej i byli bardziej konserwatywni, tak jak Republikanie z New Hampshire. Z kolei Demokraci w tym stanie byli bogatsi i lepiej wykształceni.

Wiem, o czym Pan mówi. Tego rozdźwięku doświadczyłam, mieszkając w Kalifornii. Podczas gdy ci majętni emocjonowali się ostrą polityką migracyjną Trumpa za jego pierwszej prezydentury, biedniejsi żyli tym, że nie starcza im do pierwszego.

I ta przepaść między elitami a przeciętnym zjadaczem chleba się pogłębia. Myślę, że Demokraci w 2016 r. przejechali się na tym, że nie wystawili do walki ponownie kandydata z mniejszości etnicznych. Gdy z kolei zrobili to teraz, wystawiając Kamalę Harris, to nie zadziałało, bo miała ona zbyt mało czasu na kampanię i zdystansowanie się od administracji Bidena.

Trump w tych wyborach nie tylko świetnie poradził sobie na Środkowym Zachodzie i Południu, ale nawet w niektórych częściach stanów tradycyjnie liberalnych, jak Nowy Jork czy New Jersey. Czy można zaryzykować tezę, że skoro to Republikanie lepiej rozumieją biedną Amerykę, w tym szybko rosnącą liczebnie populację Latynosów, to właśnie oni staną się partią strukturalnie dominującą?

Za wcześnie na takie prognozy. Na początek zobaczmy, jak Trump spełni swoje obietnice gospodarcze. Pamiętajmy też, że te procesy podlegają zmianom. Partie korygują kurs, by dostosować się do potrzeb zmieniającego się elektoratu. I tak na przykład Partia Demokratyczna, która kiedyś broniła na Południu niewolnictwa, w latach 30. XX w. stała się partią mniejszości etnicznych. Dziś zboczyła z toru, ale niewykluczone, że po przegranej Harris dokona potrzebnej korekty.

Jakie były największe błędy kampanii Kamali Harris?

Zaskoczyło mnie, że budowała koalicje sympatyków i aktywistów według ich przynależności etnicznej, religijnej czy płci. Tak powstały na przykład grupy Latinas for Harris (Latynoski dla Harris) czy White Dudes for Harris (Biali faceci dla Harris). Tymczasem powinna wyjść poza ten podział i zjednoczyć ludzi wokół obietnicy naprawy gospodarki.

Krytycy zarzucają jej, że bała się zdystansować od administracji Bidena, a na ostatniej prostej wręcz sięgnęła po jego kampanijną strategię z 2020 r.: straszyła, że Trump zagraża demokracji. Czy jest jeszcze coś, do czego można się przyczepić?

Błędem było jej założenie, że dla Amerykanek liczy się dziś przede wszystkim ochrona prawa do aborcji, a nie silna gospodarka.

Kamala Harris – kobieta – według sondaży *exit poll* zgarnęła mniej głosów Amerykanek niż Joe Biden cztery lata temu!

Moim zdaniem Harris od początku była na straconej pozycji. Jest wiceprezydentką u boku niepopularnego prezydenta, który jest obwiniany za problemy ekonomiczne Amerykanów. Jestem przekonany, że gdyby Biden nie wycofał się i poprowadził swoją kampanię prezydencką do końca, wówczas Demokraci dostaliby jeszcze większy łomot.

Na ostatniej prostej Harris oskarżała Trumpa o dryfowanie w kierunku autorytaryzmu. On sam wielokrotnie

odgrażał się, że jeśli dojdzie do władzy, rozprawi się z przeciwnikami politycznymi. Podczas wywiadu dla Fox News w zeszłym roku wypalił, że będzie „dyktatorem", choć co prawda tylko na jeden dzień. Boi się Pan?

Po pierwsze, wierzę w siłę amerykańskich instytucji i rozdział władzy, który do tego nie dopuści. Po drugie, media często cytują wypowiedzi Trumpa bez kontekstu. Akurat w tamtym przypadku prowadzący wywiad zapytał go, czy obiecuje, że jako prezydent nie będzie nadużywał władzy, aby mścić się na przeciwnikach. Trump odpowiedział wtedy żartem, że będzie dyktatorem tylko pierwszego dnia, żeby zamknąć granicę USA z Meksykiem i zwiększyć wydobycie ropy.

Rozmawiałem z dziennikarką „New York Timesa", która powiedziała mi, że zwolennicy Trumpa nie biorą na poważnie jego kontrowersyjnych wypowiedzi. Z kolei jego oponenci wykorzystują je do ataków, co zresztą jest nieodłącznym elementem politycznej gry.

Trump groził na wiecach, że przywróci dekret z końcówki swojej pierwszej kadencji. Ułatwiał on zwalnianie urzędników federalnych i obsadzenie tych urzędów ludźmi wobec niego lojalnymi. To Pana nie martwi?

Nie wiemy jeszcze, czy Trump rzeczywiście przywróci ten dekret. Poza tym mamy tu głębszy problem. Samo przepychanie reform za pomocą prezydenckich dekretów jest niedemokratyczne.

MATERIAŁY PRASOWE UNH

DR ANDREW SMITH jest politologiem, dyrektorem ośrodka sondażowego na Uniwersytecie New Hampshire, który realizuje m.in. sondaże dotyczące wyścigów prezydenckich. Komentator amerykańskiej polityki. Pierwsze sondaże polityczne przeprowadził w latach 80. XX wieku.

Czego na pewno możemy spodziewać się po drugiej kadencji Trumpa?

Weźmie się za cięcie podatków i realizację innych obietnic gospodarczych. Na pewno powróci do polityki *America First*, stawiającej w centrum potrzeby Amerykanów, kosztem mniejszego zaangażowania USA na świecie.

I to jest coś, co Polakom i Europejczykom spędza dziś sen z powiek.

Proszę jednak zauważyć, że wieloletnie naciski Trumpa, by kraje NATO zwiększyły swoje wydatki na obronność, w dłuższej perspektywie przysłużą się Europie. Ameryka już od dawna sygnalizowała, że kraje europejskie muszą wziąć tę sprawę w swoje ręce.

Na kogo głosował Pan w wyborach?

Powiem tylko tyle, że to był dla mnie bardzo trudny wybór.

Wybór mniejszego zła?

Można tak powiedzieć. Już nie narzekam, tak jak niektórzy młodzi, że nie ma na kogo głosować. Pogodziłem się z tym, że Ameryka ma z tym poważny problem. Przyglądam się temu od czasu, gdy przeprowadziłem pierwsze sondaże przed wyborami w 1984 r.

Jak zmienił się przez te dekady sposób prowadzenia kampanii wyborczych?

Przy narastającej od 30-40 lat polaryzacji zostało już niewielu wyborców w politycznym centrum. Dlatego partie mobilizują swój elektorat, uderzając po skrajach i skupiając go wokół najbardziej polaryzujących społecznie kwestii. Chodzi o to, by za wszelką cenę wzbudzić w ludziach gniew, co skłoni ich do pójścia do urn.

To jeden z najbardziej niebezpiecznych trendów w amerykańskiej polityce, co było widać w tegorocznej walce o Biały Dom.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Na wzór Melchizedeka

„Wyższość Chrystusa Pośrednika nad aniołami", „Wyższość Chrystusa nad Mojżeszem", „Wyższość Chrystusowej świątyni i Nowego Przymierza" – czytam śródtytuły w Biblii Tysiąclecia. Na jak wczesnym etapie wyodrębniania się jednej religii z drugiej musimy być, skoro główny przekaz Listu do Hebrajczyków brzmi: „mamy wszystko to, co judaizm, tylko lepsze"? Uczeń Szaula z Tarsu – potem znanego przede wszystkim jako św. Paweł Apostoł – niewątpliwie inaczej formułowałby list pasterski do wiernych nieżydowskiego pochodzenia (mam na myśli nie formalną klasyfikację, lecz dosłowną funkcję tego dzieła epistolarnego). Zachowajmy teraz w pamięci część Listu zatytułowaną „Wyższość kapłaństwa Chrystusowego", a zwłaszcza dwa z jej podtytułów: „Chrystus prawdziwym arcykapłanem" oraz „Chrystus Kapłanem na wieki na wzór Melchizedeka".

Melchizedek (hebr. *Malkicedek*), król Szalemu, jest postacią enigmatyczną. W Pierwszym Testamencie pojawia się dwukrotnie – w Księgach Rodzaju (14, 18-20) oraz Psalmów (110, 4). Trudno nie kojarzyć Szalem z Jeruzalem: hebrajska nazwa tego miasta, Jeruszalajim, oznacza – *nomen omen* – miasto pokoju. Właściwie Szalem / Salem bywa używane wymiennie z dłuższą nazwą (zob. np. Ps 76, 3). Malkicedek to dosłownie „mój król sprawiedliwości". Choćby w proroctwie Izajasza odnośnie do Jerozolimy czytamy: „nazwą cię znowu miastem sprawiedliwości, grodem wiernym" (Iz 1, 26; Cylkow). W Księdze Jozuego pojawia się „Adonicedek, król Jerozolimy" (Joz 10, 1), którego imię ma tę samą budowę, co Malkicedek – *adoni* znaczy „mój pan".

Melchizedek wyrasta jak spod ziemi podczas rozmowy wracającego z wojny Abrahama z królem Sodomy (zob. Rdz 14, 17-24). Wita Praojca chlebem i winem oraz błogosławi go słowami: „Błogosławiony Abram Bogu Najwyższemu, dzierżącemu niebo i ziemię; I błogosławiony Bóg Najwyższy, który wydał wrogi twoje w moc twoję!" (Rdz 14, 19-20). Jest on przedstawiony jako „kapłan Boga Najwyższego". W judaizmie funkcję kapłańską ostatecznie pełnią tylko potomkowie Aarona. Dlatego midrasz twierdzi, że za swoje *faux pas* – pobłogosławienie wpierw sługi, a dopiero potem jego Pana – dzieci Melchizedeka nie dziedziczą po nim kapłaństwa. Z kolei nie-Aaronowy kapłan został umiejętnie wykorzystany przez autora Listu jako „typ Chrystusa", albowiem Jezus pochodził z plemienia Judy, a nie Lewiego. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Koniec świata

Jezus mówi: „Pojawią się bowiem fałszywi chrystusi i fałszywi prorocy. Będą czynić znaki i cuda, aby – jeśli to możliwe – wprowadzić w błąd wybranych. Miejcie więc oczy szeroko otwarte! Wszystko wam zapowiedziałem (...). Uważajcie, aby was ktoś nie zwiódł (...). Zapewniam was: Nie przeminie to pokolenie, dopóki nie spełni się to wszystko".

Prorocy, oczywiście ci prawdziwi, to ludzie, którzy umieli swoim współczesnym wskazać, co Bóg robi tu i teraz. Nie byli wróżbitami przepowiadającymi przyszłość. Przestrzegali natomiast swoich współczesnych przed zgubnymi skutkami niemądrego postępowania. Prorok Daniel mówi: „Mądrzy będą jaśnieć jak blask nieba, a ci, którzy wielu prowadzili ku sprawiedliwości – jak gwiazdy po wieczne czasy".

Uganiamy się za „fałszywymi chrystusami", pogromcami demonów, wszechmocnymi uzdrawiaczami, a nawet wskrzesicielami umarłych, zapominamy zaś, że cuda dzieją się na każdym kroku. Nie na skutek tajemnych sił, ale wielkiego wysiłku ludzkiego rozumu połączonego z wysiłkiem serca. Po prostu mądrych i serdecznych ludzi. To oni, bez względu na wszystkie względy, wierzący i ateiści, udowadniają, że „jesteśmy z Boga rodu" i potrafimy robić rzeczy, wydawać by się mogło, niemożliwe. Potrzebni są nam prorocy, którzy, jak choćby w przeszłości Pierre Teilhard de Chardin SJ czy Karl Rahner SJ, pokażą, że sztuczna inteligencja nie jest diabelskim wynalazkiem, ale Bożym błogosławieństwem. Natomiast uczestnicy konferencji „Czego ci lekarz nie powie" czy antyszczepionkowcy rozmijają się z rozumem, nie mówiąc o sercu.

Lekarze z krakowskiego Szpitala św. Jana Pawła II wykonali pierwszy w Europie przezskórny zabieg naprawy komory serca, który sprawił, że pacjent z zaawansowaną kardiomiopatią, którego świat był bliski końca, szybko wrócił do pracy. A przecież kto ratuje jednego człowieka, tym samym ratuje cały świat. Stąd „szanuj lekarza za jego usługi, również jego Pan stworzył (...). Uzdrowienie pochodzi od Najwyższego (...). Pan stworzył lekarstwa pochodzące z ziemi i roztropny człowiek nie będzie ich odrzucał. On dał ludziom wiedzę, aby mogli Go chwalić w Jego cudach" – mówi Syrach. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Wiara z przymusu?

Niedawno Liturgia przyniosła nam zdanie Biblii, którego interpretacja – zapoczątkowana przez św. Augustyna – pociągnęła w historii Kościoła za sobą straszne konsekwencje. Chodzi o fragment z Łukaszowej przypowieści o zaproszonych na ucztę (zob. Łk 14, 15-24). Zlekceważony przez zaproszonych gości Pan domu prosi najpierw swojego sługę, aby w ich miejsce sprowadził do stołu „ubogich, ułomnych, niewidomych i chromych". Następnie zaś – skoro ciągle zostały wolne miejsca – mówi mu: „Wyjdź na drogi i między opłotki i zmuszaj do wejścia, aby mój dom był zapełniony".

„Zmuszaj do wejścia!" – łac. *Compelle intrare*! – stało się pod piórem św. Augustyna uzasadnieniem dla stosowania przymusu w przestrzeni wiary. Wielki Ojciec Kościoła nie mówił wprawdzie, iż wolno siłą narzucać wiarę poganom; był jednak przekonany, że można jej użyć w odniesieniu do heretyków i schizmatyków [to przecież oni znajdują się na „opłotkach" wiary]. To prawda, Augustyn sformułował taką egzegezę Jezusowego zdania w określonym kontekście: potrzeb, miejsca i czasu; już jednak po kilkudziesięciu latach zaczęła ona funkcjonować w oderwaniu od swego pierwotnego kontekstu. Uzasadniano nią więc nie tylko procedury inkwizycyjne i wyroki sądowe za nieortodoksyjne poglądy, ale również wojny toczone dla „szerzenia" wiary.

Przykład? List Matyldy Szwabskiej do naszego króla Mieszka II, w którym autorka wychwala jako wzorowego chrześcijańskiego władcę królewskiego ojca – Bolesława Chrobrego. Między innymi za to, że liczne pogańskie ludy „zmusił żelazem" (*ferro compellens*) do „wejścia na ucztę Pańską".

A przecież polecenia „Wyjdź i zmuszaj do wejścia!" ewangeliczny gospodarz nie wydaje żadnemu dysponującemu siłą monarsze. Wydaje je „słudze" – a ściśle rzecz biorąc: niewolnikowi – w tekście mamy tu bowiem greckie słowo *doulos*.

Jaką „siłą" dysponuje niewolnik? I kogo może w jakikolwiek sposób „zmusić"? Niewolnik nie ma żadnych środków przymusu; nie ma też żadnych praw; nie ma możliwości wydać polecenia komukolwiek.

Jakie argumenty ma więc niewolnik? Ten Niewolnik ma tylko jeden argument: swoją śmierć na krzyżu (śmierć właściwą dla niewolników). Jego władza dana Mu jest w krzyżu i jest władzą nad sercem człowieka – czyli tam, gdzie każdy przymus, groźba czy paragraf są bezradne. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

Złe uczynki
krępują złego.
Miłość Boża
daje szeroką przestrzeń
ludzkim duszom.

ORYGENES

Dłonią wolną
od ran można
chwycić truciznę
– ona jej nie zatruje.
Nie ma zła,
gdy go nie czynisz.

DHAMMAPADA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (17–24 XI)

33. niedziela zwykła: Dn 12, 1-3; Ps 16; Hbr 10, 11-14. 18; Mk 13, 24-32;
Poniedziałek: Ap 1, 1-4; 2, 1-5a; Ps 1; Łk 18, 35-43;
Wtorek: Ap 3, 1-6. 14-22; Ps 15; Łk 19, 1-10;
Środa: Ap 4, 1-11; Ps 150; Łk 19, 11-28;
Czwartek: Ap 5, 1-10; Ps 149; Łk 19, 41-44;
Piątek: Ap 10, 8-11; Ps 119; Łk 19, 45-48;
Sobota: Ap 11, 4-12; Ps 144; Łk 20, 27-40;
Niedziela, uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata: Dn 7, 13-14; Ps 93; Ap 1, 5-8; J 18, 33b-37.

KRAJ

METODA MACIEREWICZA

Kłamstwo jest wpisane w naturę polityki, ale on doprowadził tę zasadę do perfekcji. „Antoni wierzy, że kłamie w słusznej sprawie. Przecież nikt nie miał pretensji do tych, którzy kłamali na Gestapo" – mówi jego wieloletni znajomy.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

O Antonim Macierewiczu znów jest głośno za sprawą miażdżącego raportu zespołu MON ds. zbadania działalności podkomisji smoleńskiej, który tylko w jego sprawie skierował 41 wniosków do prokuratury. Wiceprezes PiS pojawił się też jako negatywny bohater cząstkowego raportu komisji do zbadania wpływów rosyjskich, a nawet zagościł w tabloidzie, przyłapany na złamaniu kilku przepisów ruchu drogowego podczas jednego przejazdu po Warszawie.

Długi marsz

Napisano o nim tysiące stron: setki artykułów i kilka książek, w tym biografię autorstwa Anny Gielewskiej i Marcina Dzierżanowskiego, od której sam bohater mocno się odciął. Jego polityczny życiorys jest jedyny w swoim rodzaju: bardzo długi, mający swoje początki w represjach po Marcu '68. Potem była działalność w quasi-opozycyjnej, wywodzącej się z harcerstwa Gromadzie Włóczęgów, i w Komitecie Obrony Robotników, którego był pomysłodawcą i współzałożycielem, ale w którym z czasem coraz bardziej go marginalizowano. Karnawał Solidarności i lata 80. to już obecność, wraz z grupą pisma „Głos", na obrzeżach głównego nurtu podziemia, co doprowadziło go do kontestacji Okrągłego Stołu i wyborów 4 czerwca 1989.

Jednak, jak wielu kontestatorów przemian, 76-letni dziś polityk wykorzystał możliwości, które stworzyła III RP. Najpierw był wśród założycieli ZChN, a po pierwszych wolnych wyborach w 1991 r. został posłem, a nawet szefem MSW w rządzie Jana Olszewskiego. Pamiętna realizacja uchwały Sejmu w sprawie ujawnienia listy czołowych politykach zarejestrowanych jako agenci SB 4 czerwca 1992 r. zakończyła jego rządowy epizod, a przedterminowe wybory w 1993 r. – epizod parlamentarny.

Do Sejmu wrócił w 1997 r. jako poseł Ruchu Odbudowy Polski, a cztery lata później – Ligi Polskich Rodzin. Jednak w 2005 r. znów wylądował poza Sejmem, gdy utworzony przez niego po wyrzuceniu z LPR Ruch Katolicko-Narodowy nie przekroczył progu. Pomocną dłoń podał mu Jarosław Kaczyński, który jako premier powołał go w lecie 2006 r. na likwidatora Wojskowych Służb Informacyjnych. Macierewicz stanął później na czele jednej z dwóch nowych służb – Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

To był zarazem początek związku Macierewicza z PiS – z list tego ugrupowania jest posłem od 2007 r. Jest też wiceprezesem partii, a w latach 2015-18 był szefem MON w rządzie Beaty Szydło i (krótko) w rządzie Mateusza Morawieckiego.

Polityka totalna

Wiele wydarzeń z biografii Macierewicza otacza wciąż tajemnica. Do jakiego stopnia udało się uchylić jej rąbka np. Tomaszowi Piątkowi, który w swoich książkach próbował udokumentować tezę, że jego bohater może działać z obcej, najprawdopodobniej rosyjskiej inspiracji – i że tak naprawdę już w PRL, gdy oficjalnie był represjonowanym opozycjonistą, chroniła go jedna z komórek służb PRL? Na rewelacje Piątka Macierewicz nie zareagował pozwami, choć sam autor swoich tez również solidnie nie udowodnił.

Ciekawsza jednak niż śledzenie faktów jest analiza biografii Macierewicza na poziomie motywów. Jego znajomi zwracają uwagę, że jest on osobowością „totalną". Patrzącą na rzeczywistość w kategoriach zero-jedynkowych i przenoszącą to także na własną biografię. Co skutkuje ogromną dbałością o to, by na jego wizerunku nie pojawiła się żadna skaza w sferze, którą uważa za ważną.

Pokazuje to historia z ujawnieniem okoliczności marcowego śledztwa w 1968 r., gdy nerwowo zareagował na kolportowanie informacji, że miał powiedzieć esbekom za dużo. Macierewicz nie mógł darować swojemu wieloletniemu przyjacielowi Wojciechowi Onyszkiewiczowi, że wbrew dokumentom historycznym nie wziął na siebie

„winy" za wiedzę SB. Wcześniej bowiem to Onyszkiewicz uchodził za tego, który powiedział za dużo, a Macierewicz nikogo nie wyprowadzał z błędu.

Szkoła dominacji

– Poznałem go w 1966 r., gdy był studentem I roku historii, przez wspólnego przyjaciela z harcerstwa. Był dziwaczny, ale inteligentny i zainteresowany sprawami, które nas wyróżniały ze środowiska, czyli historią najnowszą i polityką. Jednak od początku musiał w grupie za wszelką cenę uzyskiwać przewagę nad innymi, nie potrafił utrzymać równej relacji – opowiada Andrzej Celiński, dawny członek KOR, potem polityk UW i SLD.

Macierewicz, jak dodaje Celiński, instrumentalizował poglądy, by się wyróżniać. Stąd deklarowanie politycznej miłości do Jasera Arafata i zainteresowanie Che Guevarą. – Wiedział, że Arafat czy Guevara to nie są bohaterowie naszej wyobraźni. Ale właśnie dlatego ich wychwalał. Poza tym jego otoczenie nie mogło być nigdy współtowarzyszami podróży, musiało być tworzone przez wyznawców – mówi Celiński.

Podobnie było w KOR. Dawny jego członek przekonuje, że zasada działania Komitetu polegała na tym, iż tam nikt z nikim nie rywalizował. Jednak Macierewicz ciągle mówił o walkach frakcji i spiskach. – Większość była tym zmęczona, więc pod koniec KOR był mocno zmarginalizowany, co w latach 1980-81 przełożyło się na jego słabą pozycję w Solidarności – przyznaje Celiński.

Gielewska i Dzierżanowski opisują ze szczegółami konflikt, w jaki Macierewicz popadł wtedy z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem. Macierewicz i bliski mu Piotr Naimski z zasady w różnych sprawach zajmowali stanowisko przeciwstawne niż tamta dwójka, do tego stopnia, że kiedyś wystąpili z jakąś inicjatywą, przekonani, że Kuroń i Michnik będą przeciw. Gdy jednak Kuroń ich niespodziewanie poparł, pod koniec dyskusji sami utrącali pomysł.

Rzeczywistość zakrzywiona

Onyszkiewicz uważa, w czasach KOR Macierewicz miał jednak zdolność budowania środowiska. A nawet, że w jego kręgu były osoby tego formatu co Jakub Karpiński czy Bohdan Cywiński.

Dla wielu dziwna była relacja Macierewicza z Naimskim, która przetrwała czasy KOR i trwa do dziś. Poza rzadką u Macierewicza trwałością, wyróżniało ją też to, że nie miała charakteru mistrz–wyznawca.

– Piotr Naimski, którego znałem z Czarnej Jedynki jako najlepszego harcerza w moim zastępie, był zawsze kimś bardzo wymagającym intelektualnie i moralnie. Bliski związek Piotra z Antkiem to dla mnie zagadka, bo pierwszy miał autorytet w środowisku, był uważany za kogoś godnego zaufania, a drugi nie – opowiada Celiński.

Onyszkiewicz z kolei przyznaje, że Macierewicz zawsze miał silne przekonanie o słuszności własnego obrazu świata, wręcz wierzył, że jest w stanie „zakrzywiać rzeczywistość".

– To, co robi dziś, uważam za bardzo szkodliwe. Gdyby robił to w życiu prywatnym, nikt nie podawałby mu ręki. ↦

MICHAŁ DYAKOWSKI

↦ Ale Antoni najwyraźniej uważa, że w polityce bywają sytuacje, w których cel uświęca środki – mówi. I zwraca uwagę, że w historii było wiele przypadków, gdy ludzie nieskazitelni w imię wyższych racji dopuszczali się kłamstw. – Przecież nikt nie miał nic przeciwko okłamywaniu Gestapo. Antoni głęboko wierzy w swój obraz świata i jeśli dopuszcza, że mówi gdzieś nieprawdę, to czuje się jak Polacy okłamujący Gestapo – uważa Onyszkiewicz.

Droga na skróty

Faktycznie, jeśli Macierewicz uważał, że przestrzeganie zasad czy bycie lojalnym nie służy „sprawie", bez wahania od tego odstępował. Celiński opowiada, jak w lecie 1976 r. zorganizował obóz dla grupy studentów różnych wydziałów UW, którzy mieli dokonywać intelektualnego „desantu" na zajęcia z marksizmu-leninizmu. Wyjechał z nimi w Bieszczady, a urozmaiceniem obozu były spotkania z ciekawymi gośćmi, takimi jak np. Michnik. Macierewicz też za wszelką cenę chciał tam przyjechać. Celiński był sceptyczny, ale w końcu zgodził się pod warunkiem, że ten nie wciągnie studentów w akcję pomocy represjonowanym robotnikom Radomia i Ursusa. Macierewicz obiecał, przyjechał, po czym zaprosił większość zgromadzonych do akcji, przez co już w październiku mieli postępowania dyscyplinarne na uczelni. Z pomysłu wpływania na zajęcia z marksizmu-leninizmu nic nie wyszło.

– To był koniec naszej przyjaźni. Uznałem, że człowiek, który otwarcie deklaruje, że czegoś nie zrobi, a potem właśnie to robi, nie jest godzien zaufania – mówi Celiński.

Takie jest zapewne źródło częstego w biografii Macierewicza podążania drogą na skróty, bez patrzenia na koszty. Stąd ujawnienie w takiej, a nie innej formie „listy Macierewicza" w 1992 r., gdzie do umieszczenia na niej wystarczyło figurowanie w kartotekach MSW jako TW, a nie analiza, czy do współpracy rzeczywiście doszło. Stąd też kształt raportu z likwidacji WSI, którego opublikowanie w 2007 r. było ujawnieniem w wielu przypadkach agentury służb niepodległego państwa. Stąd wreszcie oparty na fantasmagoriach raport podkomisji badającej katastrofę smoleńską.

Macierewicz w tych wszystkich sprawach nie miał moralnych dylematów. A z ataków na siebie czerpał polityczną siłę. Bo radykalizm i jazda „po bandzie" są wpisane w jego osobowość. Zapewne nieprzypadkowo od młodości sportowo uprawiał skoki do wody.

Podobną genezę miało popadanie przez niego w konflikty z ludźmi, z którymi wcześniej był blisko. – Uważa, że zdradzili. A nie można się przyjaźnić ze zdrajcami – ocenia jego znajomy.

Przyjaźń do czasu

Sposób postępowania wiceprezesa PiS dobrze obrazuje historia Michała Dworczyka, europosła PiS i jednego z przedstawicieli frakcji Morawieckiego w tej partii. Przez lata Macierewicz uważał go za swojego wychowanka. Ręczył za niego, gdy Dworczyk miał kłopoty z prawem w związku z przechowywaniem w piwnicy niewybuchów. To Dworczyk był również wiceministrem, gdy Macierewicz kierował MON.

Gdy Morawiecki tworzył rząd, zaproponował Dworczykowi kierowanie Kancelarią Premiera. Ten chciał się skonsultować z Macierewiczem, ale stanęło na tym, że sprawę załatwi prezes Kaczyński. Ostatecznie został szefem KPRM bez wiedzy Macierewicza, a miesiąc później dopuścił się jeszcze gorszej rzeczy: zawiózł do Pałacu Prezydenckiego wniosek Morawieckiego o odwołanie Macierewicza ze stanowiska. Od tego czasu wnuki Macierewicza dostały zakaz kontaktów z dziećmi Dworczyka, choć wcześniej wspólnie się wychowywały, a domy córki Macierewicza Aleksandry i Dworczyka sąsiadują na osiedlu wybudowanym w Falenicy przez środowisko dawnych harcerzy.

W życiu prywatnym Macierewicz potrafi być jednak bardzo miły. Dopytuje o zdrowie dzieci sejmowych dziennikarek. Gdy autor niniejszego tekstu pojawił się w Sejmie po dłuższej przerwie znacznie odchudzony, Macierewicz z autentyczną troską pytał, czy z jego zdrowiem jest wszystko w porządku.

Sługa dwóch panów

Nie ulega wątpliwości, że przetrwanie w polityce zawdzięcza dwóm osobom – o. Tadeuszowi Rydzykowi i Jarosławowi Kaczyńskiemu. To Rydzyk dał mu szansę na start w 2001 r. z list LPR – ugrupowania tworzonego pod auspicjami redemptorysty. Macierewicz był wtedy rozbitkiem ze zniszczonego, także w wyniku jego działań, ROP. Od tamtego czasu Macierewicz jest stałym gościem mediów ojca dyrektora. Z kolei Jarosławowi Kaczyńskiemu Macierewicz powinien być wdzięczny za przywrócenie do politycznego bytu, jakim było powołanie na likwidatora WSI.

Co znamienne, w relacjach z Rydzykiem i Kaczyńskim Macierewicz wykazał się rzadkim u siebie realizmem i zaakceptował dominującą pozycję obu. – Jarosław zawsze kpi z Antoniego, że cały czas uważa, iż to on powinien być liderem prawicy, choć stara się to ukrywać – opowiada jednak poseł PiS.

Zderzak prezesa

Kaczyński zdecydował się powierzyć Macierewiczowi misję likwidacji WSI, bo potrzebował „zderzaka". – Wpuszczamy gościa, który się niczego nie boi. Jak mu się uda, to dobrze. Jak będzie awantura, zepchnie się go z sanek, a kosztów wielkich nie będzie – rekonstruuje jeden z polityków PiS sposób myślenia prezesa.

Ale według Gielewskiej i Dzierżanowskiego, Kaczyński wyciągnął Macierewicza z niebytu także z powodów sentymentalnych, jako członka KOR. I zrobił to mimo sceptycyzmu brata, wówczas prezydenta. Który co prawda firmował później z Macierewiczem prezentację raportu z likwidacji WSI, ale już aneksu nie zdecydował się upublicznić, za co Macierewicz miał pretensje.

W PiS można usłyszeć, że Macierewicz jest dla prezesa wygodnym narzędziem: sam Kaczyński zachowuje pole manewru, ale potrzebuje kogoś, kto zrobi drastyczne rzeczy. Mówi się też, że Jarosław po prostu nie chciał, żeby istniało coś na prawo od PiS. Dlatego uznał, że lepiej mieć Macierewicza u siebie.

Zakładnik Smoleńska

Nieco inna niż w przypadku WSI była geneza powierzenia Macierewiczowi

RDC POLSKIE RADIO
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

Praca w KOR polegała na tym, że nikt tam z nikim nie rywalizował. **Jednak Macierewicz ciągle mówił o walkach frakcji i spiskach.** Większość była tym zmęczona.

TOMASZ MICHALAK / PAP

Antoni Macierewicz w mieszkaniu Edwarda Lipińskiego. Warszawa, luty 1981 r.

misji wyjaśniania katastrofy smoleńskiej. – Jarosław wiedział, że Antoni nie będzie pękał. Że może postawić absurdalną tezę i będzie impregnowany na presję zewnętrzną. Każdy inny po pierwszym głosie typu „co pan opowiadasz za głupoty" może by się nie przejął, ale po setnym razie już tak – opowiada były polityk PiS dodając, że w pewnym sensie Macierewicz sam narzucił swoją rolę Kaczyńskiemu i ten stał się trochę jego zakładnikiem. – Macierewicz poczuł krew i zobaczył, że to dla niego polityczna szansa na istnienie – ocenia.

Dziś w PiS panuje jednak rozczarowanie smoleńską działalnością Macierewicza. – Antoni nie wykorzystał ośmiu lat, by przekonująco wyjaśnić katastrofę. W dodatku wszystko, co robi, trąci Gangiem Olsena – mówi poseł PiS.

Stąd tak słabo broniono raportu zespołu MON. W partii mówi się też, że Macierewicz straciłby fotel wiceprezesa, gdyby twardo nie ujmowało się za nim środowisko „Gazety Polskiej".

Orzeł biały

W związku z działalnością smoleńską wicemarszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty złożył wniosek o odebranie Macierewiczowi Orderu Orła Białego, przyznanego przez Andrzeja Dudę w 2022 r. za działalność w KOR.

Wojciech Onyszkiewicz uważa jednak, że Macierewiczowi odznaczenie się należało: – To order za wyjątkowe zasługi, a nie za całokształt. Uważam, że Antoni był kimś fundamentalnym dla KOR. Kluczowa dla powstania Komitetu była akcja pomocy dla robotników Radomia i Ursusa, którą zorganizował latem 1976 r. Jest jedyną osobą, bez której Komitet by nie powstał.

Onyszkiewicz przypomina zarazem, że podczas uroczystości Macierewicz wymienił wyłącznie tych dawnych działaczy, z którymi jest mu dziś po drodze. Onyszkiewicz zadzwonił doń z gratulacjami, a wtedy Macierewicz zapewniał go, że jego rola też była kluczowa, bo dzięki niemu w akcję pomocy włączyli się harcerze. Ta różnica między tym, co publiczne, a tym, co prywatne, jest charakterystyczna.

Jednak zdaniem Celińskiego działalność w latach 60. i 70. nie powinna rozgrzeszać z tego, co robił potem. – To były zachowania antypolskie i antypaństwowe – podsumowuje były polityk.

Obrona ministra

Przedmiotem sprzecznych opinii jest też działalność Macierewicza jako ministra obrony. Dominują oceny takie jak w książce Edyty Żemły „Armia w ruinie", że Macierewicz niszczył wojsko. Nawet wśród polityków PiS dominuje przekonanie, że za jego rządów w MON panował kompletny chaos, który opanował dopiero Mariusz Błaszczak.

– Macierewicz wyleciał z rządu, bo Amerykanie mieli go dość. A mieli go dość, bo z nimi pogrywał. Oni chcieli tu sprzedawać różne rzeczy, a on ich kiwał w swoim stylu. Wymienili go więc na Błaszczaka, który był pokornym cielakiem i realizował wszystko, co mu zarekomendowali, włącznie z koreańskimi samolocikami – uważa jeden z ludzi PiS.

Jego niekwestionowanym dorobkiem w MON pozostają Wojska Obrony Terytorialnej: niegdyś krytykowane jako amatorskie „weekendowe" wojsko, jednak sprawdzone w czasie pandemii i powodzi.

Co ciekawe: kompromitujące zdarzenia, które niejednego polityka wyeliminowałyby z życia publicznego, Macierewiczowi nie wyrządziły większej szkody. Trochę dlatego, że od lat kreował świat, w którym prawda i kłamstwo się ze sobą mieszały. Był protoplastą stylu, który przynosi sukcesy we współczesnej polityce, zdominowanej przez media społecznościowe i wykluczające się „narracje". Sukcesy Donalda Trumpa również mogą wskazywać, że mimo emerytalnego wieku, Macierewicza czeka jeszcze polityczna przyszłość.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

Ślady na duszy

MONIKA GÓRA,
DZIENNIKARKA ŚLEDCZA:

Kiedy go przywitałam na sali sądowej, popatrzył na mnie takim wzrokiem, że po prostu mnie zmroziło. I wtedy zrozumiałam, dlaczego ludzie się go bali i dlaczego tak łatwo było wzbudzić wobec niego negatywne emocje.

KONRAD KOZŁOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rozprawa Roberta J. w Sądzie Apelacyjnym w Krakowie, czerwiec 2024 r.

MAREK KĘSKRAWIEC, MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Sąd apelacyjny zmienił wyrok pierwszej instancji i uniewinnił Roberta J. od zarzutu tortur i okrutnego morderstwa krakowskiej studentki w 1998 r. Z poćwiartowanego ciała Katarzyny Z. sprawca ściągnął skórę, którą znaleziono potem wkręconą w silnik statku na Wiśle. Obserwowałaś tę głośną sprawę od lat, napisałaś o niej książkę. Jesteś zdziwiona, że sąd oczyścił z winy oskarżonego, zamiast skierować sprawę do powtórnego rozpatrzenia?

MONIKA GÓRA: Jestem pozytywnie zaskoczona tym wyrokiem i postawą sądu, który zechciał spokojnie i wnikliwie przyjrzeć się materiałowi zebranemu przez prokuraturę. Gdy obserwowałam sposób, w jaki byli przesłuchiwani świadkowie *incognito*, którzy na szczęście w końcu stali się jawni, odniosłam wrażenie, iż sąd zadaje istotne pytania, chcąc się czegoś dowiedzieć i nie przyjmując z góry żadnej tezy. Na koniec zaś uznał, że z tej sprawy nie da się już nic „wycisnąć", a Roberta J. trzeba uniewinnić z braku przekonujących dowodów winy.

Byłaś w sądzie podczas zeznań dwóch świadków incognito, sąsiadek Roberta J. Słyszeliśmy, że to było ostre, dociskające przesłuchanie, jakby pod tezę, wedle której kobiety nie mają prawa pamiętać pewnych szczegółów i tym samym przekonująco wykazać, że widziały ofiarę w towarzystwie sprawcy, wchodzącą do jego mieszkania.

Nie zgadzam się z tą opinią. Moim zdaniem ich przesłuchanie było rzetelne i obiektywne. Sąd po prostu wnikliwie wypytywał o szczegóły i próbował wyjaśnić nieścisłości. Trudno uwierzyć na przykład w to, że siedmioletnia dziewczynka zapamiętała, jak wyglądały buty, wyraz twarzy i kolor oczu kobiety, którą przez moment widziała na schodach – 20 lat wcześniej. Przede wszystkim sąd uznał, iż z powodu zbyt dużej anonimizacji zeznań świadków incognito – z niektórych protokołów prokurator wykreślił niemal całą treść, zostawiając tylko jedno, dwa zdania – naruszone zostało prawo do obrony Roberta J. Dlatego postanowił przesłuchać dwóch najważniejszych świadków jawnie. Obie kobiety najpierw się na to zgodziły, ale już na sali się rozmyśliły. Ostatecznie dziennikarze mogli zostać na rozprawie, ale nie mogli jej nagrywać.

To była ogromna zmiana względem pierwszego procesu, gdzie nawet ustne motywy wyroku ogłoszono w sposób niejawny.

To prawda. Drugi skład był bardziej dociekliwy, sędzia powtarzał nie raz, że być może na podstawie zeznań świadków *incognito* Robert J. spędzi w więzieniu resztę życia. Próbował więc ustalić jak najwięcej szczegółów tego, co kobiety widziały, oraz porównać zeznania z sali sądowej z wcześniejszymi – w prawie każdej ważnej kwestii pojawiały się nieścisłości. Na przykład młodsza z kobiet, która w chwili zbrodni miała 7 lat, twierdziła, że gdy ujrzała zdjęcie Katarzyny w telewizji, od razu skojarzyła, że widziała tę dziewczynę idącą z Robertem do jego mieszkania. Tyle że raz zeznawała, iż fotografię tę zobaczyła zaraz po wyłowieniu skóry z Wisły, czyli w 1999 r., a innym razem, że dopiero po zatrzymaniu Roberta w 2017 r. To prawie 20 lat różnicy. Wydaje się, że powinna lepiej pamiętać, czy tak ważne skojarzenie urodziło się w jej głowie, jak miała 8 lat, czy 26.

Czy to prawda, że jej matka, drugi ze świadków incognito, odwołała swoje zeznania?

Tak, ostatecznie powiedziała, że nie jest przekonana, iż dziewczyną, która szła wtedy z Robertem do jego mieszkania, była Katarzyna. Zeznała, że widziała go z jakąś dziewczyną i właściwie to jest pewna tylko tego, że to nie był chłopak.

Dociskana pytaniami przez sąd i obrońcę, irytowała się i narzekała, że ma już dość tego przychodzenia do sądu. Myślę, że sąd nie tylko był dociekliwy, ale i wyjątkowo cierpliwy, gdy starsza z kobiet rzucała obelgami pod adresem obrońcy Roberta J.

Dlaczego Twoim zdaniem sąd nie przesłuchał biegłych, których tak licznie powołano do tej sprawy, korzystając też z zagranicznych ekspertów, m.in. z FBI?

Myślę, że już nie widział takiej potrzeby, miał te opinie w aktach – one zresztą są w całości tajne, bo taki też był proces w pierwszej instancji – po czym ocenił je i uznał, że nie uzasadniają skazania, bo nie przesądzają o winie Roberta. Dotyczyło to również koronnych argumentów prokuratury, jak choćby badania wariografem, które z przyczyn formalnych nie zostało wzięte pod uwagę. Podejrzanemu nie ogłoszono wcześniej zarzutów, nie pouczono go również we właściwy sposób przed samym badaniem. Zresztą wynik z wariografu może być co najwyżej dowodem wspomagającym.

Nawiasem mówiąc, moim zdaniem to badanie nie przyniosło żadnych rewelacji, bo trudno za takie uznać np. fakt, że Robert J. zareagował na pytanie o opracowanie pod tytułem „10 powodów, dla których bohaterowie Star Treka są lepsi od bohaterów Star Wars", a taką właśnie pracę miała Katarzyna w swoim plecaku.

To może o czymś świadczyć, ale nie musi. Czy masz wrażenie, że w tym całym śledztwie, prowadzonym od pewnego momentu przez słynne Archiwum X – jednostkę specjalną policji, stosującą nowoczesne metody śledcze do starych, nierozwiązanych spraw – komuś zbyt mocno zależało, aby rozwiązać zagadkę „Skóry"? Nie zauważano elementów nie pasujących do układanki?

Ogromne ciśnienie na rozwikłanie tej sprawy miał Bogdan Michalec, ówczesny szef Archiwum X. W wywiadach powtarzał, że już od 2000 r., czyli od momentu, kiedy Robert J. po raz pierwszy został zatrzymany i przesłuchany, a jego mieszkanie przeszukane, miał przekonanie, iż to on był sprawcą. Raz, podczas wizyty Roberta J. na komendzie, Michalec puścił mu reportaż o zabójstwie, w którym wypowiadała się matka ofiary. Na ekranie widać było tylko jej dłonie. W reakcji na słowa matki podejrzany ukląkł przed monitorem i zaczął te ręce całować. Michalec uznał to za emanację śladu, jaki dokonanie zbrodni wyryło na jego duszy. Tak samo podszedł do faktu, że Robert J. odwiedzał grób Katarzyny. A przecież on mógł być po prostu przejęty historią, w którą chciano go uwikłać. Pamiętajmy też, że to człowiek od lat chorujący na schizofrenię i trzy razy z tego powodu hospitalizowany. Nie jest łatwo interpretować zachowania takiej osoby.

Bogdan Michalec budzi różne emocje. Nie lubi rutyny, lubi się za to popisywać, cytować Senekę. Niektórzy uważają, że uciekając od sztampy za mocno się „zafiksował" na swoich nieco ezoterycznych teoriach, opartych na intuicji i przeczuciach. Nie jesteś do niego z tego powodu uprzedzona?

Nie jestem. Napisałam książkę o zabójstwie Iwony Cygan i wydaje mi się, że wytypował w tej niezwykle trudnej sprawie właściwych sprawców – uznawałam go dotychczas za świetnego policjanta. Jednak w kwestii Roberta J. moim zdaniem się pomylił. Mieliśmy tu tandem dwóch wzajemnie nakręcających się osób: Michalca i prokuratora Piotra Krupińskiego. Obydwaj trochę „popłynęli" w swoich wyobrażeniach na temat sprawy „Skóry". Za dużo było tu klimatu rodem z thrillerów o seryjnych zabójcach, w stylu Hannibala Lectera.

Z drugiej strony Robert J. mógł budzić podejrzenia. Istnieją relacje kobiet, które czuły się przez niego nękane. To jednak jeszcze nie dowód, że Katarzynę zamordował, poćwiartował i oskórował. Nie ma nawet potwierdzenia, że w ogóle się znali.

Poprzedni skład sędziowski przyjął jednak linię prokuratury, o czym świadczy choćby fakt, że pierwszy wyrok – skazujący Roberta J. na dożywocie – w swym uzasadnieniu powiela wprost obszerne fragmenty aktu oskarżenia. Tymczasem w apelacji upadł nawet koronny dowód prokuratury: analiza morfologiczna włosów znalezionych w stelażu wanny w mieszkaniu Roberta J. i jego matki.

W sumie znaleziono 39 włosów, a dwa miały rzekomo należeć do Katarzyny – tak stwierdziła biegła w badaniu morfologicznym, podczas którego układa się włosy pod mikroskopem i analizuje podobieństwo ich cech, takich jak kolor czy grubość. Tu biegła porównywała włosy pochodzące z odpływu wanny z włosami pobranymi z ciała zabitej. Tyle że na podstawie takiego badania nie można powiedzieć z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością, że włosy pochodzą od danej osoby, a tylko że są do nich podobne. Aby stwierdzić, że są identyczne lub prawie identyczne, trzeba badań DNA, a tych nie wykonano, bo włosy były mocno zniszczone. Ujawniona poszlaka byłaby więc wartościowa, gdyby istniały inne przekonujące dowody winy, ale takich prokurator nie przedstawił.

Na udział Roberta w zbrodni wskazywać miały też drobiny pióra bażanta...

Tak, matka Roberta J. miała w mieszkaniu pióra tego ptaka, które kupiła sobie na targu. Drobiny z piór jakiegoś bażanta znaleziono też na szczątkach ofiary, ale skąd wiadomo, że to były drobiny właśnie z pióra znalezionego wśród biżuterii matki Roberta? Mówimy przecież o szczątkach, które pływały w Wiśle, zostały wkręcone w silnik statku – wtedy mogły się na nie nanieść pozostałości ptaka. W tej sprawie naprawdę trudno znaleźć coś, co można by jednoznacznie zinterpretować.

W Twojej książce podajesz wiele przykładów przeinaczeń i błędów, obiegowych lub medialnych opinii, które później miały stawać się faktami i uzasadniać winę Roberta J. Czy mamy tu do czynienia z kompromitacją ludzi dotychczas uważanych za profesjonalistów, którzy na siłę chcieli odtrąbić sukces, bo naciskali ich przełożeni? A może to był spisek?

Nie sądzę. To Krupiński i Michalec w tym śledztwie zlecali czynności i ekspertyzy, a potem wszystko interpretowali. Akta są niejawne, więc nie wiem, czy np. fakty oraz poszlaki nie pasujące do założeń ignorowano. Natomiast na podstawie własnego śledztwa dziennikarskiego i obserwacji rozpraw odwoławczych muszę przyznać, że byłam zszokowana skalą naginania faktów, podciągania ich pod tezę, dziur logicznych.

W sprawie zabójstwa Katarzyny nie wiemy nawet tego, gdzie dokonano zbrodni.

Zdaniem prokuratury, w mieszkaniu J., choć badano też wątek działki znajomego ojca Roberta leżącej pod Krakowem, ale mimo dwukrotnego przekopania i użycia georadaru nic tam ↦

nie znaleziono. Ponadto Robert J. nie miał auta, więc musiałby mu ktoś pomóc. Co jednak ciekawe, prokurator cały czas prowadzi osobne śledztwo w sprawie ewentualnego pomocnictwa ze strony rodziców J. Podejrzewa o nie matkę, a także ojca Roberta, który mieszkał w innym mieszkaniu, ale prokuratorowi wydało się dziwne, że nie potrafił powiedzieć, co jego dorosły syn robił, gdy zaginęła Katarzyna – prawie 20 lat wcześniej.

Czy w pracy nad książką był jakiś przełomowy moment?

Podeszłam do sprawy bez nastawienia na jakąś tezę, z otwartym umysłem, a jednak historia przedstawiana przez prokuraturę szybko zaczęła się rozłazić. Dużo dały mi rozmowy z psychiatrą oskarżonego, Jackiem Matkowskim, który leczył go przez prawie 30 lat i prowadził jego terapię. Znał Roberta J. bardzo dobrze, a jednak nie pasował mu on zupełnie do portretu tak okrutnego mordercy. Wtedy zapaliła mi się pierwsza czerwona lampka. Później dotarłam do opinii psychologicznej, w której była opisana cała ta historia i tam zetknęłam się z pierwszą osobą, która doniosła na Roberta J.

Postać nieżyjącego już Leszka L. pchnęła Twoje własne śledztwo w innym kierunku.

A z każdą następną osobą, która o nim opowiadała, upewniałam się, że on dużo bardziej pasował do portretu sprawcy. Leszek L. był kolegą Roberta od czasów zawodówki, a zarazem bardzo barwną postacią. W swoim mieszkaniu trzymał gady – krokodyle, jadowite węże, był nawet biegłym sądowym w kwestii egzotycznych zwierząt. Zdarzało mu się je preparować, wieszać w mieszkaniu ich skóry. Potrafił posługiwać się nożem i skalpelem, a nawet przeprowadzał sekcje zwłok zwierząt na stole w swojej kuchni. Znał się z wieloma policjantami, spotykał ich na imprezach, spędzali wspólnie sylwestra. Miał też na pewno znajomych prokuratorów, a jego teściowa pracowała w Sądzie Okręgowym w Krakowie. W pewnym momencie pokłócił się z Robertem J. o pieniądze.

ARCHIWUM PRYWATNE

MONIKA GÓRA jest reporterką i scenarzystką, przez kilkanaście lat związaną z TVN. Autorka m.in. książek non fiction: „Miasteczko zbrodni. Dlaczego zginęła Iwona Cygan", „Człowiek, który wiedział za dużo. Dlaczego zginęli Jaroszewiczowie" oraz „Kryptonim »Skóra«".

Może być tak, że z jakiegoś powodu go chroniono?

Nie mam na to żadnego dowodu, ale zdziwiło mnie, że jego wątku nie sprawdzono zbyt dokładnie. Tymczasem ja dotarłam do wiarygodnych świadków, którzy mówią, że nałogowo pił alkohol, zdarzało mu się też brutalnie traktować kobiety i zmuszać je do ostrych form seksu. To on zadzwonił na policję i powiedział, że Robert J. lubi spacerować nad Wisłą, nienawidzi kobiet i dręczy zwierzęta, co jego zdaniem mogło świadczyć, że jest mordercą Katarzyny.

Weszło to później do kanonu przekonań na temat oskarżonego.

Tak. Robert J. jako młody człowiek odbywał zastępczą służbę wojskową w szpitalu. Czasem przebywał też w prosektorium, z czego wywnioskowano, że mógł tam nabyć umiejętności w oddzielaniu skóry od ciała, chociaż nie ma żadnego dowodu, iż brał udział w sekcjach – on sam twierdzi, że nikt by go do nich nie dopuścił. Potem w przestrzeni medialnej pojawiło się twierdzenie, że w Instytucie Zoologii UJ, gdzie pracował, wykazywał się okrucieństwem, a pewnego dnia uśpił wszystkie króliki. Te opowieści też okazały się nieprawdziwe, choć rzeczywiście czasem zdarzało mu się zabijać zwierzęta w niehumanitarny sposób. Śladów umiejętności preparowania zwłok jednak nie znalazłam, a to jest w tej sprawie kluczowe.

Czy dowiemy się kiedykolwiek, kto jest sprawcą tej zbrodni?

Nie sądzę, by takiego zabójstwa dokonano zupełnie bez świadków, żeby nikt nic nie wiedział. Być może ta sprawa została w pewnym momencie zatuszowana lub skierowana na ślepy tor, ale nie mam na to dowodów. W każdym razie musieliby się pojawić nowi świadkowie, co po tylu latach jest mało prawdopodobne. Istnieje też hipoteza, że Katarzyna przed śmiercią uległa upadkowi z dużej wysokości lub zderzeniu z autem, o czym mogłyby świadczyć specyficzne rozstępy na nodze. Dopiero potem ktoś jej ciało znalazł i oskórował. Tak wynika z niektórych badań.

Ta teza upadła, ale sprawa jest tak tajemnicza, że nawet najbardziej niezwykły scenariusz przestaje być taki.

Nawet jeśli w śledztwie konieczne jest oderwanie się od sztampy i oparcie

POŻEGNANIE

W dwunastą rocznicę śmierci

Prof. Jacka Woźniakowskiego

będziemy się modlić w Jego intencji i w intencji spraw Jemu bliskich
w kościele św. Marka w Krakowie
w piątek, 22 listopada o godzinie 16.00 podczas mszy św.,
którą odprawi ks. prof. Robert Woźniak.

Po mszy zapraszamy na ul. Pijarską 5,
gdzie pod tablicą pamiątkową zapalimy świece.
W imieniu Rodziny i Wydawnictwa Znak:

Róża Thun, Henryk Woźniakowski, Dominika Kozłowska

na intuicji oraz przeczuciach, to na koniec trzeba wszystko przełożyć na dowody. Sąd nie może skazać kogoś na dożywocie, bo przekona go teoria „śladów na duszy" albo uwierzy, że jasnowidz Jackowski coś zobaczył w swej wizji, bo i z jego usług korzystano.

À propos spraw duchowych, je także wykorzystano przeciwko Robertowi J.

Sąsiadka oskarżonego zeznała, że w pewnym momencie zaczął często chodzić do kościoła, gdzie leżał krzyżem, głośno słuchał z matką mszy w mieszkaniu. Prokurator przedstawił to tak, że oskarżony nawrócił się po zabójstwie, choć ona wcale nie wskazała, że to było właśnie wtedy, a koledzy mówią o jego religijności już w latach 80. Cała ta sprawa pełna jest stronniczych interpretacji, czasem nawet plotek, jak ta, że przebierał się w damskie ubrania albo był homoseksualistą nienawidzącym kobiet. Budowano atmosferę grozy wokół niego, a jak coś przeczyło przyjętej wersji, to ten fakt pomijano.

Sprawie nie pomógł sposób życia ofiary.

Katarzyna była tajemniczą osobą. W ostatnim okresie przed zaginięciem wychodziła rano z domu i nikt nie wiedział, dokąd idzie. Nawet jej matka nie miała pojęcia, że przerwała studia. Słyszałam, że mogła pracować w sklepie zoologicznym u Leszka L., ale nie mam jak tego potwierdzić.

Jakie zrobił na Tobie wrażenie sam Robert J.?

Gdy go zobaczyłam na sali rozpraw, odruchowo skinęłam głową i powiedziałam „dzień dobry". Popatrzył na mnie takim wzrokiem, że po prostu mnie zmroziło. I wtedy zrozumiałam, dlaczego ludzie się go bali i dlaczego tak łatwo wzbudzał negatywne emocje. Myślę, że jest zagubionym, chorym i samotnym człowiekiem, bardzo skrzywdzonym przez to państwo. A wiele jego zachowań, które śledczy interpretowali jako dowody dokonania w przeszłości zbrodni, tak naprawdę wynikało z choroby psychicznej, za którą zapłacił siedmioma latami w areszcie.

©℗ Rozmawiali MAREK KĘSKRAWIEC i MICHAŁ KUŹMIŃSKI

MARCIN BIELECKI / PAP

Mizeria

MAREK RABIJ

W największych polskich miastach ceny w restauracjach przestały odzwierciedlać możliwości mieszkańców. Czy w Warszawie, Krakowie lub Wrocławiu da się jeszcze zjeść smacznie i w miarę tanio?

Gdy pracujesz pośrodku knajpianego zagłębia, jakim jest krakowski Kazimierz – dawna żydowska dzielnica zamieniona w atrakcję turystyczną – wybór miejsca na szybki obiad może się wydawać trudny tylko z uwagi na nadmiar możliwości. W promieniu dosłownie kilkuset metrów od biura masz do wyboru kuchnię żydowską, tajską, chińską, gruzińską, włoską, indyjską, amerykańską, argentyńską, japońską, meksykańską – nie wspominając o czymś, co pod nazwą „Polish pierogi" czyha tu na nieostrożnych turystów niemal na każdym kroku.

Nieco dalej, ale wciąż w zasięgu przyjemnego spaceru, znajduje się placyk, na którym czekają na gości foodtrucki z burgerami, frytkami belgijskimi, szarpaną wołowiną w stylu azjatyckim czy krewetkami w tempurze. Jeść, nie umierać. O ile na złożony z jednego tylko dania obiad możesz wydać 45-50 zł. Nie masz tyle? Masz problem.

Znikające frytki

Zuzanna, Kasia i Olga, pracownice jednej z okolicznych firm, miały do niedawna rytuał wspólnego piątkowego obiadu w jednej z restauracji Kazimierza. – Przy tylu możliwościach starałyśmy się nie wracać w piątki w to samo miejsce, ale testować smaki, sprawdzać nowe adresy, żeby wiedzieć, dokąd potem iść zjeść w tygodniu, gdy nie ma czasu na sprawdzanie rekomendacji – tłumaczy Kasia. – Od jakiegoś czasu już nas to nie bawi. Nie zarabiamy źle, ale poczułyśmy się po prostu oszukiwane. Bo jak nazwać sytuację, gdy w porcji pieczonej ryby za prawie 50 zł nie ma nawet frytek? W burgerze, który dotychczas zawierał 200 gramów wołowiny, nagle jest jej 50 gramów mniej, mimo że danie podrożało o osiem złotych. Najprostsza pizza, ciasto, sos pomidorowy, mozzarella i kilka listków bazylii, a na rachunku też cztery dychy. Rozumiem, że jest inflacja, ale jeśli za cienki obiad ↦

mam płacić po 50 złotych, to wolę za 10 zł zapchać się kanapką – kwituje Kasia.

Wspólne piątkowe obiady przeniosły się teraz do dwóch lokali z solidną, ale wciąż sensownie wycenioną kartą. Codziennych posiłków dostarcza zaś dziewczynom pobliski bar. Kasia w telefonie pokazuje fejsbukowy profil lokalu. W menu na dziś smażona wątróbka drobiowa z ziemniakami i surówką, a wszystko za 24 zł. W tej samej cenie jest też identyczny zestaw z kotletem rzymskim z jajka, w sosie musztardowym, bo jak podkreśla Kasia, każdego dnia w karcie pojawia się jedno danie wegetariańskie. Jest też zupa jarzynowa z zacierką po 11 zł, ale w zestawie z drugim daniem całość kosztuje 30 zł.

– Tu nie zaglądają turyści, przy stolikach zmieści się może sześć osób, ale to nie problem, większość zamawia na wynos, my także – uśmiecha się Kasia. – Kucharz nie udaje masterszefa, ale gotuje smacznie, porcje są sycące, a jak ci nie pasuje jakiś składnik, na przykład natka pietruszki, to można poprosić o modyfikację. I taką gastronomię to ja szanuję.

Emocje jak na obiedzie

W ubiegłym roku Kraków wizytowało niemal 12,2 mln gości, z czego blisko milion stanowili turyści zagraniczni. Powyższe liczby stawiają stolicę Małopolski nie tylko na czele listy najczęściej odwiedzanych miast Polski, ale również w czołówce najpopularniejszych atrakcji turystycznych Europy – co z kolei wpływa na ceny żywności i usług gastronomicznych. Pokazują to m.in. dane z aplikacji PanParagon służącej do zarządzania wydatkami, z których wynika, że w ubiegłym roku mieszkańcy Krakowa wydawali podczas jednych zakupów spożywczych najwięcej w Polsce: średnio 41,25 zł, czyli o 28 groszy więcej niż warszawiacy i aż 5,25 zł więcej od wrocławian. Dane z aplikacji nie pozwalały na zbudowanie takich samych koszyków produktowych dla poszczególnych miast, zestawienia nie można więc nazwać precyzyjnym. Trudno jednak też zakładać, by wrocławianie kupowali akurat mniej żywności niż mieszkańcy Krakowa – albo sięgali po tańsze produkty.

> Bez sprawnie działającej i przystępnej cenowo gastronomii zatykają się **naczynia połączone miejskiego życia.**

Problemem dotykającym w zasadzie wszystkie polskie miasta stają się też szybko drożejące usługi gastronomiczne. Ceny w restauracjach rosły w ostatnich miesiącach szybciej niż w innych sektorach usług i szybciej od polskich zarobków. Według GUS średnioroczna inflacja wyniosła w ubiegłym roku 11,4 proc., a przeciętne wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw poszły w górę o 11,8 proc. W tym samym czasie ceny w polskich barach, restauracjach i zajazdach skoczyły przeciętnie o 20,3 proc., głównie wskutek znaczącego wzrostu stałych kosztów prowadzenia takiej działalności: rachunków za prąd i gaz, wynagrodzeń personelu i wreszcie cen samych surowców. To właśnie na nie wskazywano jako na największe zagrożenie w badaniu firm gastronomicznych przeprowadzonym przez firmę analityczną PMR na przełomie kwietnia i maja 2023 r. W porównaniu do poprzedniej edycji badania, przeprowadzonego rok wcześniej, odsetek takich odpowiedzi wzrósł o blisko 30 punktów procentowych.

W ostatnich miesiącach inflacja wprawdzie dawała Polakom od siebie odpocząć, ale nie w branży gastro: tu ceny nadal rosną szybciej niż gdzie indziej. Sierpniowy odczyt inflacji w całej gospodarce zatrzymał się na poziomie 4,3 proc., ale dla hoteli i restauracji pokazał aż 7,5 proc. Szybciej drożały jedynie usługi edukacyjne.

Burger na kółkach

Nic więc dziwnego, że w badaniu przeprowadzonym w kwietniu przez firmę badawczą Ariadna tylko 28 proc. ankietowanych deklarowało korzystanie z restauracji częściej niż raz na miesiąc. Zdecydowana większość, bo 44 proc. Polaków przyznała, że bywa w nich najwyżej raz na kwartał, a aż 28 proc. nie zagląda do nich wcale. Dla 71 proc. badanych ceny w restauracjach są zbyt wysokie w stosunku do ich zarobków. Tylko 14 proc. ankietowanych uważa, że oferta krajowej gastronomii jest cenowo przystępna i adekwatna do oferowanej jakości.

Trend zdaje się pogłębiać. Tylko między czerwcem a sierpniem – czyli w okresie sprzyjającym spędzaniu czasu poza domem – ruch w polskich pizzeriach spadł o ponad 10 proc., a w lokalach gastronomicznych oferujących kanapki i dania z kurczaka – o przeszło 3 proc. Tak wynika z raportu firmy technologicznej Proxi.cloud, która bada zachowania konsumenckie na podstawie danych z blisko trzech milionów smartfonów. Monitoringiem objęto ponad 1,8 tys. placówek należących do największych sieci gastronomicznych: McDonald's, KFC, Burger King, Max Burgers, Subway, Pizza Hut, Telepizza, Domino's Pizza i Da Grasso – badanie trudno uznać więc za wyrywkowe. Zarazem odsłania ono bodaj największy polski gastroparadoks. Bo jak to możliwe, że przy mizernym, okresowo wręcz spadającym zainteresowaniu ofertą krajowych barów i restauracji jednocześnie rosną w nich ceny?

Do odpowiedzi na to pytanie przybliżają dane innego badania, prowadzonego cyklicznie przez wywiadownię gospodarczą Dun & Bradstreet Polska. Wynika z nich, że w ub. roku liczba wszystkich lokali oferujących jedzenie wzrosła w Polsce z 92 do 95,1 tys., czyli o 3,41 proc. Liczba restauracji i innych stałych punktów gastronomicznych zwiększała się stosunkowo wolno, bo w tempie 3,24 proc. rok do roku.

Znacznie szybciej przybywało za to ruchomych punktów z jedzeniem, czyli tzw. foodtrucków, których liczba w tym samym czasie wzrosła aż o 11,48 proc. Gdy przełożyć powyższe liczby na motywacje właścicieli restauracji i potrzeby polskich klientów, otrzymamy obraz rynku, który wciąż intensywnie odbudowuje się po pandemii, przyciągając kolejnych nowych śmiałków liczących na sukces – i z których wielu szybko zderza się z brutalną rzeczywistością. W 2023 r.

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

w całym kraju zamknęło się 6786 lokali gastronomicznych, o 308 więcej niż rok wcześniej, kiedy to po lockdownie Polacy rzucili się ponownie na jedzenie poza domem. Dzięki temu – oraz za sprawą inflacji – krajowy rynek gastronomiczny urósł wtedy wartościowo o 40 proc., wracając do poziomu sprzed pandemii.

Pudełka, bary, kurierzy

Polskie jedzenie w mieście po pandemii wygląda jednak inaczej niż przed lockdownem. Rządzi nim niepodzielnie cena i wygoda. W międzyczasie pełnoletność osiągnęło pokolenie urodzonych w pierwszej dekadzie XXI wieku, które nad kolacje we frymuśnych restauracjach, podkreślające status majątkowy biesiadników, przedkłada posiłki w lokalach szybkiej obsługi albo wręcz zamawia jedzenie z dostawą do domu. Moda na zdrowy tryb życia nakręca też zapotrzebowanie na tzw. dietę pudełkową, gotowe posiłki oferujące bilans kaloryczny dostosowany do klienta. Wielką popularnością cieszą się również wspomniane foodtrucki, które za sprawą niskich kosztów własnych (odpada czynsz za lokal) mogą oferować żywność o lepszej relacji ceny do jakości niż konwencjonalna gastronomia. Lokalom stacjonarnym pozostają zaś dwie ścieżki: ryzykowna walka o te 14 proc. polskich konsumentów, dla których ceny w karcie nie grają roli, lub próba dotarcia do większości, która poza domem jadałaby chętnie, ale nie może dziś sobie na to pozwolić. Albo zwyczajnie nie zamierza przepłacać.

Lunch w mieście nie zalicza się wprawdzie do praw człowieka, ale jego znaczenie wykracza daleko poza funkcje aprowizacyjne. Bez sprawnie działającej i przystępnej cenowo gastronomii zatykają się naczynia połączone miejskiego życia. Konieczność powrotu do domu zaraz po pracy utrudnia korzystanie z kultury, szkodzi więziom społecznym, upośledza też konsumpcję, bo zakupy na głodnego to żadna przyjemność.

Miejski surwiwal

W czasach PRL mieszkańców dużych miast żywiły zakładowe stołówki i bary mleczne, królestwo pierogów leniwych i ruskich, łazanek, kuchni prostej, ale w miarę smacznej i do tego taniej. Pod koniec lat 80. XX wieku barów mlecznych mieliśmy w Polsce ponad 40 tysięcy.

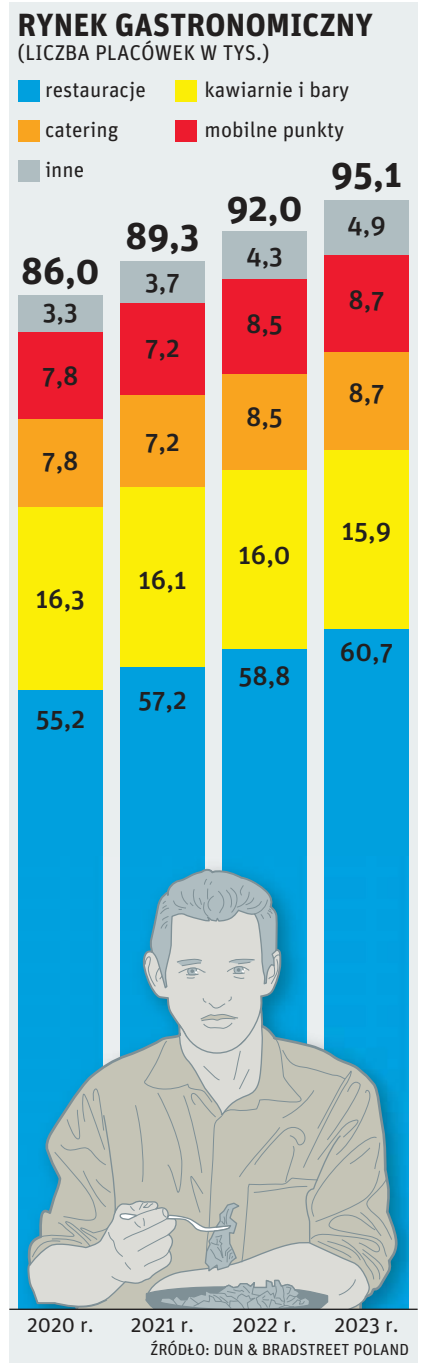

Dziś ich liczba stopniała w całym kraju do około setki i to pomimo dotacji, jaką ich właściciele nadal otrzymują od państwa (ale tylko do oferty bezmięsnej). Przy aktualnym poziomie kosztów stałych i przy ograniczeniach marży wynikających z dotacji ten biznes coraz częściej po prostu się nie spina. W ten sposób masowa gastronomia schodzi w dużych miastach do swoistego podziemia: małych barów i stołówek przy firmach czy instytucjach, które wynajmują lokal nie po to, by na tym zarobić, lecz po to, by pracownicy mieli gdzie zjeść. Listę uzupełniają nieliczne, sprawdzone adresy kulinarne, które działają w tym samym miejscu od lat, bo ich właściciele są też właścicielami lokalu. Umiejętność znajdowania takich oaz kuchni taniej acz solidnej to dziś jeden z elementów obowiązkowych wielkomiejskiego surwiwalu. W przeciwnym wypadku jesz w pracy to, co przyniosłeś z domu. Albo przepłacasz.

Pracując nad niniejszym tekstem, przeprowadziliśmy kwerendę w okolicy redakcji, zakładając, że górnym akceptowalnym progiem ceny dwudaniowego posiłku będzie 30 zł. W promieniu około dwóch kilometrów od siedziby „Tygodnika" udało nam się namierzyć tylko dwa lokale, w których można było zjeść zupę i drugie danie, nie przekraczając przy tym założonego budżetu. Jeden przycupnął w siedzibie miejskiej gazowni. Drugi działa na parterze starego biurowca.

Nasi redakcyjni koledzy z Warszawy do tej listy mogą jeszcze dopisać dostępną dla akredytowanych dziennikarzy stołówkę sejmową, rokrocznie dotowaną z budżetu kwotą około 1,6 mln zł. Ceny w tym lokalu są również zaskakująco stabilne. Podwyżki nie wywołała nawet zmiana ekipy rządzącej, co po ostatnich wyborach nie bez satysfakcji odnotował tabloid „Fakt", przy okazji zaglądając polskim parlamentarzystom do talerza. Dwudaniowy zestaw obiadowy (zupa pieczarkowa, filet z kurczaka z ziemniakami, kaszą lub ryżem, surówka lub warzywa oraz kompot) w listopadzie ub. roku kosztował w sejmowej stołówce 20 zł. Talerz zupy 6 zł, a kotlet ziemniaczany faszerowany kapustą i grzybami – dwa razy tyle. Posłowie mogli też delektować się herbatą za 4 zł lub zamówić zestaw złożony z ciastka i kawy za 11 zł.

Minął kolejny rok i ceny nadal nie drgnęły. Biuro obsługi prasowej Sejmu tłumaczy ten cud nad kasą organizacją dostaw surowców, których do sejmowej stołówki dostarczają kontrahenci związani długoterminowymi umowami. Taniej – jak głosi korytarzowa plotka – da się dziś zjeść w Warszawie tylko w jednym miejscu. W stołówce przy sztabie generalnym Wojska Polskiego dwudaniowy obiad kosztuje 14 zł.

©℗ MAREK RABIJ

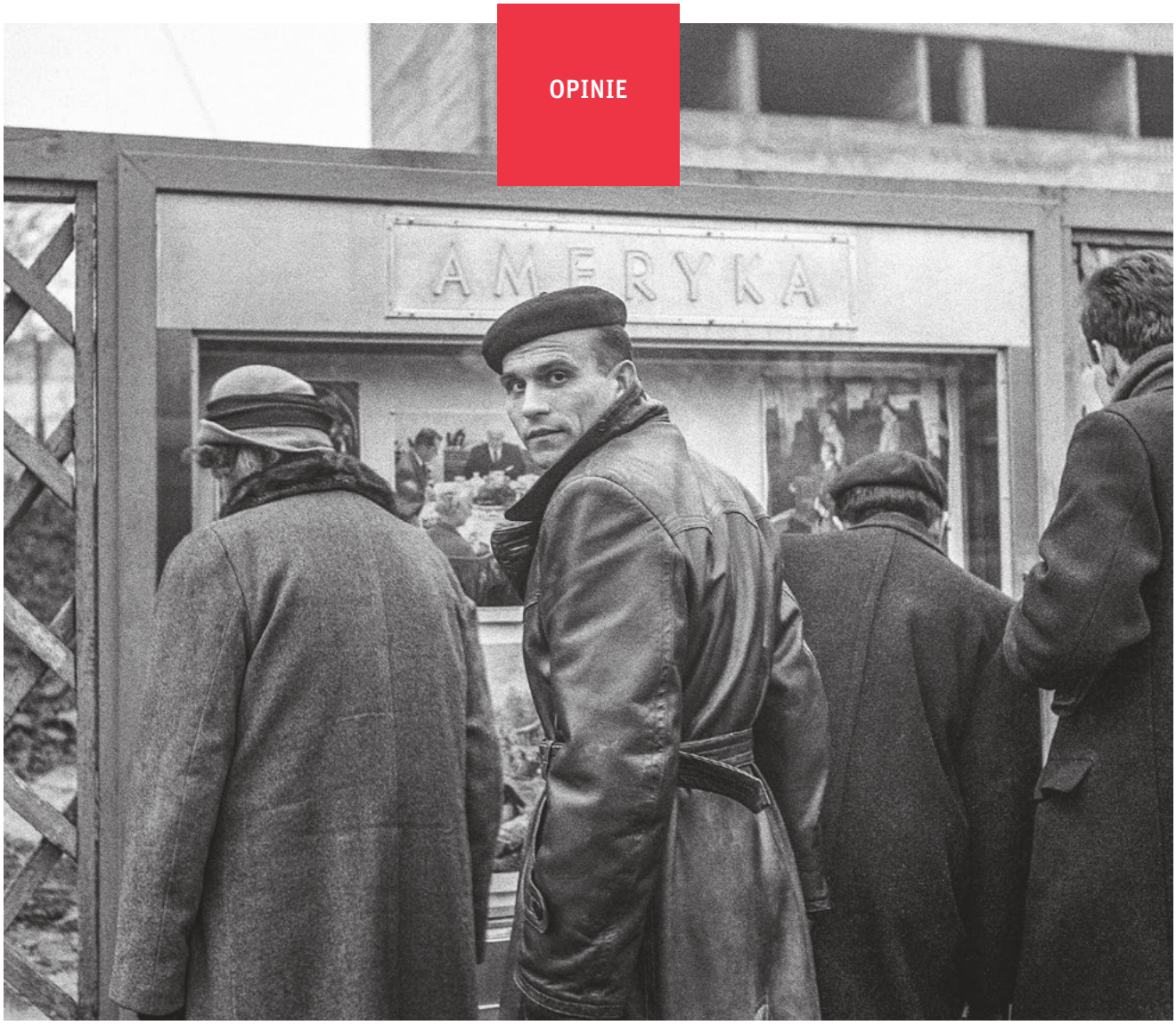

JANUSZ SOBOLEWSKI / FORUM

Ryszard Kapuściński przed gablotą eksponującą czasopismo „Ameryka" przed powstającym budynkiem anbasady USA w Warszawie, 1962 r.

POZA FAKTY

Jak głęboko należy sięgać, by najważniejszy polski reporter XX w. mógł powracać do obiegu czytelniczego z „nowością"?

ADRIAN STACHOWSKI

Rok 1956 – dwudziestoczteroletni Ryszard Kapuściński, już doświadczony dziennikarz, marzy o pierwszym wyjeździe za granicę, na przykład do Czechosłowacji. Jego naczelna w „Sztandarze Młodych" mówi, że pojedzie dalej – blok wschodni właśnie otwiera się na tak zwany (wtedy) Trzeci Świat, Polskę niedawno odwiedził Jawaharlal Nehru, więc reporter ma jechać do Indii, aby przybliżyć czytelnikom krajowej prasy nowego sojusznika. Reaguje paniką, bo o Indiach wie tyle, co powiedział mu ktoś, kogo poprosił o radę: że to wielki kraj. Jedzie, wraca (przez Afganistan) i publikuje cykl reportaży. Rok później wyruszy do Chin (przez Tokio). Z Chin nic nie napisze, owocem podróży będzie kilka kawałków z Japonii.

1984. Pięćdziesięciojednoletni Kapuściński jest już uznanym reporterem, ma za sobą wiele lat pracy jako korespondent Polskiej Agencji Prasowej w krajach Afryki i Ameryki Łacińskiej, opublikował już kilka poczytnych książek, w tym te najsłynniejsze: „Wojnę futbolową",

„Jeszcze dzień życia", „Cesarza" i „Szachinszacha". Rok wcześniej „The Emperor" miał premierę w Ameryce. Jego międzynarodowa kariera nabiera rozpędu, ale w Polsce tkwi w zawieszeniu: po wprowadzeniu stanu wojennego rzucił legitymacją partyjną, nie poddał się procedurze weryfikacji dziennikarzy, odmówił propozycjom wyjazdu na wybraną przez siebie placówkę. Zbliża się do opozycji, chociaż nie pali mostów. Pewnego dnia przynosi do wydawcy coś nowego: kolaż ze spostrzeżeń, myśli, wypisków z lektury i wierszy. Nadał mu tytuł „Zegar piaskowy".

Reportaże z Indii, Afganistanu i Japonii nigdy nie pojawiły się w żadnym zbiorze. Kapuściński wrócił do nich tylko w swojej ostatniej „prawdziwej" książce, „Podróżach z Herodotem", ale i wtedy ich w niej nie przytoczył. Zamiast tego napisał o zagubieniu, które towarzyszyło mu podczas tamtego wyjazdu i poczuciu klęski. Teraz te teksty ukazują się po raz pierwszy, w tomiku „Gorzki smak wody" (nakładem Oficyny Wydawniczej Kontynenty). Niemal jednocześnie wydano też zapiski złożone w 1984 r. w Czytelniku. One też – obiecuje okładka – mają być niepublikowaną nigdy wcześniej nowością. Ale tu już sprawa jest trochę bardziej skomplikowana.

Jaskółki stylu

Trudno być sprawiedliwym dla młodego Kapuścińskiego, chociaż nie o jakość tekstów tu chodzi. Niesprawiedliwość polega na tym, że czytając młodego, szuka się tego starszego, wygląda się jaskółek przyszłego stylu i przyszłych tematów. I nie trzeba szukać głęboko. W Indiach formułował Kapuściński pierwsze myśli o kolonializmie, toczył wstępne potyczki z „egzotyką", a w Japonii zauważył coś, co później zacznie być nazywane „globalizacją".

„Życie nie jest tu życiem, jedzenie nie jest jedzeniem, tylko nędza jest naprawdę nędzą" – pisze o Indiach. Wszędzie tłumy biednych. Później powie, że wtedy jeszcze nie umiał poradzić sobie z tym odkryciem, ale zobaczył tam „ludzi niepotrzebnych" (wiele lat później Zygmunt Bauman nazwie ich brutalniej: „ludzkie odpady"). „Indie nie są krajem egzotycznym, a jeśli się już upierać, egzotyka jest tam tylko dekoracją, podporządkowaną temu, co się rozgrywa na scenie. Niestety, do nas dojechała pusta dekoracja, nie dotarli bohaterowie dramatu" – spostrzega, tłumacząc czytelnikom, że literatura o Indiach, pełna „Tajemniczej Egzotyki", jest w istocie narzędziem kolonialistów, służącym karmieniu wyobraźni mitami zasłaniającymi prawdę o biedzie i wyzysku.

Przenikliwy jest (zaczyna być?) też wtedy, gdy w Japonii zauważa: „Tokio dzieli od Warszawy jedna czwarta obwodu Ziemi w linii prostej. Było to dostatecznie daleko, aby oba kraje mogły istnieć, niewiele wiedząc o sobie. Dziś jednak rola przestrzeni zaczyna spadać do rzędu mniejszych wartości. Sieć stosunków światowych staje się coraz gęstsza, a czas wplata do niej nowe nici".

Japońskie teksty z tego zbioru to największe zaskoczenie – są ciekawe, spostrzegawcze, dojrzałe. Kapuściński pisze w nich o specyficznych objawach powojennej traumy Japończyków i sposobach na radzenie sobie ze skutkami przegranej wojny: poczuciem upokorzenia, apatią, brakiem gotowości zmierzenia się z rzeczywistością i odpowiedzialnością. To te teksty spośród wszystkich zebranych w tej publikacji mają największy ciężar i prezentują największą obietnicę tego, czego będzie się można spodziewać po młodym reporterze w przyszłości.

A jaskółki stylu? Też są: zbiór otwiera rozdział z samolotu przypominający miejscami otwarcie pisanego czterdzieści lat później „Hebanu". Rozmowa hipotetycznych panów Cooka i Smitha o trzymaniu Hindusów pod butem przywodzi na myśl podobną hipotetyczną rozmowę z wydanego dwadzieścia lat później reportażu o palestyńskich fedainach. Można z tych tekstów wynotować też kilka ładnych zdań: „Bengal leży w połowie drogi między niebem i ziemią". „Zrodzeni wśród szarości, zmierzamy przez szarość ku równie szarym celom" (to prawie jak coda „Podróży z Herodotem": „Stoimy w ciemności, otoczeni światłem").

Dlaczego zatem Kapuściński w ostatniej książce opisał tamtą podróż jako klęskę, nigdy tych tekstów nie wznowił, a do tego nazywał je w wywiadach złymi i bardzo powierzchownymi? Pewnie dlatego, że tak też można o nich pomyśleć.

Obietnica talentu

Niemądrym ćwiczeniem zdaje się rozliczanie młodego Kapuścińskiego z poprawności – a już szczególnie tej dzisiejszej – ale trudno nie widzieć, że w Indiach była przed nim jeszcze daleka droga do wrażliwego „tłumacza kultur", którym nazywano go w ostatnich dwóch dekadach życia.

„Egipcjanie są czarni i chodzą w sutannach", notował korespondent z Polski. Noszony przez Afganki czador to „coś jakby worek", a japońskie napisy przypominają mu „kunsztowną składankę hieroglifów". Kapuścińskiemu zdarza się pisać o religijności odwiedzanych krajów z uśmieszkiem, jakby jeszcze nie dorósł do tego, by przyjrzeć się jej na poważnie – na przykład w Afganistanie „cały naród pochyla zaturbanione głowy". Reporter, który „dał głos ubogim" (taki tytuł miał zapis jego spotkań z włoską młodzieżą) tu nazywa indyjskich biedaków „najbardziej natrętną armią świata". Ale już starczy, dosyć tego.

Jeśli faktycznie młody korespondent był tak zagubiony, jak opisał to pod koniec życia, to trzeba przyznać, że dziarsko nadrabiał miną. Jeśli dopiero na miejscu, w Indiach, uczył się angielskiego, czytając Hemingwaya, to całkiem przekonująco wyglądają te wszystkie rozmowy ze współpasażerami z samolotu i z terenu. Skoro faktycznie nie miał znikąd żadnej pomocy, to wrażenie robią jego „przyjaciele z Tokio". Jeśli rzeczywiście nie zrozumiał z Indii nic, wypada bardzo pewnie, gdy radzi znajomym dziennikarzom, czego nie powinni robić na miejscu. I jeśli naprawdę nic o Indiach nie wiedział, to jego diagnozy z podsumowania tej podróży sprawiają wrażenie zaskakująco kompetentnych. To też talent: bez przygotowania pojechać na inną planetę i przywieźć reportaż.

Wędrujące fragmenty

„W latach 80. XX wieku »Zegar piaskowy«, niewątpliwie ze względu na cenzurę, nie mógł ukazać się drukiem. Obecnie – po raz pierwszy – przekazujemy do rąk czytelników to zaskakująco aktualne dzieło" – pisze wydawca na okładce nowego tomiku. A zatem: nowe dzieło wstrzymane przez cenzurę.

Tymczasem od samego początku lektury można mieć wrażenie powtórki i nie jest ono złudzeniem: spora część „Zegara..." weszła do pierwszego „Lapidarium", wydanego w 1990 r.; są w nim też szkice opublikowanych później wierszy (ciekawe, jak pisane prozą refleksje po lekkim przeredagowaniu stały się poezją). Można przeglądać obie książki i przy powtarzających się notkach ↦

↦ stawiać kropki – na początku postawimy ich dużo, potem trochę mniej, ale nadal będą, aż do końca tej krótkiej książeczki.

Pisarstwo Kapuścińskiego zawsze było trochę kompilacyjne, fragmenty podróżowały w czasie i między dziełami – rozdziały wczesnego zbioru „Gdyby cała Afryka…" weszły do „Wojny Futbolowej", a nawet napisanego trzydzieści lat później „Hebanu"; skrócony reportaż „Dlaczego zginął Karl von Spreti" wszedł do „Chrystusa z karabinem na ramieniu", „Imperium" wchłonęło tomik „Kirgiz schodzi z konia" – ale to chyba nie ten przypadek. To prawda, że „Zegar piaskowy" nie był nigdy publikowany w tym kształcie i układzie, ale czytelnicy powinni wiedzieć też, że w istocie jest to w dużej mierze wczesna wersja, zalążek późniejszego „Lapidarium", już wielokrotnie wznawianego. Chociaż nowy materiał w „Zegarze" też jest – i bywa interesujący.

Zapiski o warsztacie

Czy „Zegar…" mógł zatrzymać cenzor? Kapuściński pisze w tych notatkach o manipulacyjnej naturze władzy, cechach autorytaryzmu, pojawiają się też refleksje religijne. To wszystko faktycznie podpowiada, że mogła to być publikacja problematyczna. Ale można mieć też wątpliwości. W 1984 r. Kapuściński był już co prawda po politycznej wolcie, ale trudno powiedzieć, by przeistoczył się w gnębionego przez system dysydenta.

Wiosną 1982 r., a więc już w stanie wojennym i po odejściu reportażysty z partii, ukazał się „Szachinszach", rok później premierę miał angielski przekład „Cesarza". Nadal mógł podróżować: w tym okresie na dwa miesiące wyjechał na gościnne wykłady na Uniwersytecie Columbia, a także obsługiwał swoje wydawnicze sprawy na miejscu we Francji, RFN i w Nowym Jorku. Do tej pory raczej nigdy nie miał większych problemów z cenzurą, nawet przy książkach najbardziej nasyconych polskimi odniesieniami, czyli odczytywanym też jako aluzyjny portret Gierka „Cesarzu" i nawiązującym do karnawału Solidarności „Szachinszachu". Stąd można mieć duże wątpliwości, że to właśnie przez cenzurę „Zegar…" nie ukazał się w latach 80.

Ale odłóżmy to wszystko na bok. O czym są te zapiski? O tym, co zajmowało Kapuścińskiego wtedy i zawsze: o człowieku w przełomowych momentach historii, o władzy, o języku, o myśleniu. „Kolonializm (…) to przede wszystkim układ zależności i podporządkowania, dominacji silniejszego państwa nad słabszym, narzucania słabszemu swojej ideologii, swoich instytucji, obcego mu stylu myślenia i bycia" – notował na początku lat 80. reporter, dopisując dalszy ciąg do obserwacji po raz pierwszy poczynionych w korespondencjach z Indii. Jest też w „Zegarze…" rzadki moment konfrontacji unikającego autobiograficznych rozliczeń autora z jego młodzieńczym zaangażowaniem w komunizm: „Rok 1950: miłość do idei górowała nad miłością do człowieka. (…) Tylko ludzkość była ważna, wszystko robiliśmy dla ludzkości. (…) Żyliśmy w królestwie abstraktu" (tej notki nie ma w „Lapidariach", jest za to inna, enigmatyczna: „Nie dać się złapać w pułapkę własnej przeszłości!").

Ryszard Kapuściński
GORZKI SMAK WODY
Oficyna Wydawnicza Kontynenty, Zielonka 2024

Ryszard Kapuściński
ZEGAR PIASKOWY
Czytelnik, Warszawa 2024

Myśli zebrane w tych notatkach jawią się jako próba realizacji pewnego sposobu na obecność w świecie, manifest życia uważnego, celowego i pełnego namysłu (łatwo tę książeczkę czytać chciwie, ale lepiej robić to powoli). Jest tu też zapis walki o zachowanie intelektualnej autonomii, przypomnienie – jakby pisane dla samego siebie – o tym, jak ważna jest odwaga w samodzielnym myśleniu i zgodnym z tym myśleniem postępowaniem. „Jak żyć, żeby nie żyć byle jak?" – pada pytanie. Gdzie indziej jest coś w rodzaju odpowiedź: „Badać siebie – niezbędny warunek, aby być sobą".

Uważny czytelnik znajdzie w „Zegarze…" także interesujący przebłysk refleksji warsztatowej: „Aby coś stworzyć, trzeba wyjść poza istniejący stan rzeczy. Aby stworzyć literaturę faktu, trzeba wyjść poza fakty". Kapuściński nie rozwija tej dosadnie brzmiącej, ale jednak rozmytej myśli, nie wiadomo bowiem, co według niego znaczy „poza fakty", czy chodzi mu o „obok", czy raczej „w głąb". Kapuściński rzadko komentował swój warsztat, a kiedy to robił, bywał sprzeczny, sprawiał wrażenie poszukującego lub niezdecydowanego. „Nie jestem wymyślaczem", mówił, chociaż dzisiaj wiemy, że mu się to zdarzało. Dlatego ta notka to jeszcze jeden kamyczek do mozaikowego portretu jego transgresyjnej, wywrotowej i przekornej metody pisarskiej – lub metody konfundującej, irytującej i karygodnej, jak kto woli.

Wstępy i blurby

Dla kogo są te „nowe" książki? Na pewno zainteresują pasjonatów pisarstwa Kapuścińskiego, badaczy i tych czytelników, którzy muszą ułożyć na półce wszystkie publikacje z jego nazwiskiem. Czy dla kogoś jeszcze? Dobrze byłoby mieć nadzieję, że tak, chociaż tak naprawdę mówimy cały czas o zbiorku deprecjonowanych przez samego autora artykułów prasowych z końcówki lat pięćdziesiątych oraz kolekcji w części publikowanych już notatek. Ale jeśli komuś to pasuje – na pewno znajdzie w tych książkach coś ciekawego.

„Gorzki smak wody" i „Zegar piaskowy" pokazują jednak coś jeszcze: jak głęboko trzeba już sięgać, by najważniejszy polski reporter XX w. mógł wrócić do obiegu czytelniczego z „nowością". Po jego śmierci w 2007 r. opublikowano kilka książek złożonych z wypowiedzi z wywiadów i spotkań, zbiór fotografii; wznowiono już wszystko, co było do wznowienia, wydano nawet kolekcję pisanych przez niego wstępów, recenzji i „blurbów". I jeśli pojawi się coś kolejnego, będzie to rzecz znaleziona jeszcze głębiej – o ile w ogóle cokolwiek zostało.

Dlatego tu można mieć postulat: może nadeszła pora na obszerne krytyczne wydania jego reportaży, podobne do tych, których doczekały się dzieła Witolda Gombrowicza, innego polskiego kandydata do Nobla? Może nadeszła pora, by zaprosić literaturoznawców, fachowców od reportażu, biografów Kapuścińskiego, specjalistów od dziejów Afryki i Ameryki Łacińskiej, i wspólnie uważnie, strona po stronie przeczytać „Wojnę futbolową", „Jeszcze dzień życia" i „Cesarza" na nowo? Wówczas może dowiedzielibyśmy się, co dokładnie znaczy to „poza fakty", jaki to kierunek – i co tam czeka.

© ADRIAN STACHOWSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Niekończąca się rozmowa*

Przed kilkoma laty znajomy przysłał mi link do strony infiniteconversation.com, a jej pionierska w tamtym czasie zawartość zrobiła na mnie duże, acz niejednolite wrażenie. Fascynacja mieszała się z niepokojem, podziw z poczuciem złowieszczej transgresji, a rozbawienie z zażenowaniem. Sami zresztą sprawdźcie, jeśli jeszcze pod ten adres nie zawędrowaliście. Oczywiście, dzisiaj ta niekończąca się rozmowa dwóch botów udatnie imitujących Slavoja Žižka i Wernera Herzoga nie wywołuje już takich emocji. Niemniej zarówno głosy, jak specyficzności frazy i składni obu tych dżentelmenów zrekonstruowane zostały z bezdyskusyjną maestrią.

Przyznaję: mając w pamięci, że oni dwaj wciąż gdzieś tam prowadzą swoją dysputę, nie zareagowałem wzburzeniem na wirtualne wskrzeszenie Wisławy Szymborskiej, dokonane niedawno na antenie OFF Radia Kraków. Ostatecznie, konwencja przeprowadzania „wywiadów" z nieżyjącymi pisarzami, myślicielami czy artystami nie jest niczym nowym. W 2016 r. na łamach „Gazety Wyborczej" Piotr Augustyniak „odpytywał" o jakieś aktualne sprawy ks. Józefa Tischnera; nie raz, w podobnej manierze, w polskiej i zagranicznej prasie „wypowiadali się" nieżyjący pisarze albo starożytni filozofowie greccy. Tam jednak „odpowiedzi" brane były *in extenso* z książek, artykułów albo publicznych wystąpień. W przypadku botów odgrywających Žižka, Herzoga czy Szymborską są to natomiast zdania nigdy przez nikogo nie wypowiedziane, a tylko mające wywołać wrażenie tożsamości ze stylistyką oryginału.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie ma powodów do niepokoju. Chcę powiedzieć, że wiele zależy od konwencji i kontekstu. Dopóki konwencja jest czytelna, a kontekst zdefiniowany – jak u cyfrowych Žižka i Herzoga – dopóty może to być po prostu twórcze, ciekawe wykorzystanie dostępnych technologii. Skoro jednak rzecz się odbywa w okolicznościach zwalniania prawdziwych (sic!) ludzi oraz deklarowanego przekształcania całej anteny w domenę sztucznej inteligencji, sprawa staje się wysoce problematyczna. Otóż jeśli już wkrótce z fal rozgłośni radiowej przemawiać do nas będą wyłącznie boty, symulujące rozmowy z innymi botami, symulującymi z kolei istniejących albo nieistniejących ludzi kultury, nauki czy sztuki, wówczas przesunie nas to bez wątpienia w stronę jakiejś ponurej dystopii. Albo może należałoby raczej powiedzieć: już przesunęło.

Przede wszystkim dlatego, że podstawowa funkcja mediów – informowanie o rzeczywistości, opisywanie rzeczywistości, odniesienie do rzeczywistości – ulega w tej sytuacji strukturalnemu odwróceniu. Piszę „strukturalnemu", bo na inne sposoby się ją od dawna odwraca bez udziału żadnych botów: obsługując polaryzację, emitując propagandę i rozliczne „treści sponsorowane". Jak na razie wciąż jeszcze robią to w większości prawdziwi (sic!) ludzie, czyli świadome, zdolne do aktów poznawczych podmioty, które mogą swoje postępowanie zmodyfikować, np. pod wpływem moralnej autorefleksji. Jednak, w miarę jak prawdziwych (sic!) ludzi zastępują boty, sfera przekazu medialnego zamienia się stopniowo w obszar zdominowany przez generatory zdań, które zręcznie szermują słowami, nie zaś opisują świat. A to już wygląda jak jakaś ponura rewolucja. Podobnie, jeśli – a to wszak jeden z najprężniej rozwijających się obecnie segmentów rynku AI – upowszechnią się oparte na sztucznej inteligencji awatary zmarłych, z którymi można prowadzić ożywione, *nomen omen*, konwersacje. I to nie tylko za pomocą tekstowych komunikatorów – jak to już dziś jest możliwe – ale i z opcją audio-wideo. Niewykluczone, że niebawem i to stanie się standardem: doskonale zaprogramowany bot imitujący frazę, wygląd, głos i ekspresję zmarłego. Dostępny 24 godziny na dobę, zawsze „chętny" do rozmowy, zawsze w dobrym humorze. I, co najważniejsze, wiecznie – nazwijmy to – „żywy".

Ale... czy to aby na pewno źle? A może wręcz przeciwnie, jest to właśnie świetne technologiczne lekarstwo na dolegliwości wywoływane przemijaniem i śmiercią? Nas, naszych bliskich, celebrytów, wielkich naukowców, artystów albo poetek-noblistek. Dzięki temu nie będziemy już musieli tak całkiem się z nimi żegnać, a z nami z kolei – kiedy przyjdzie nasza pora – nie będą musieli się tak całkiem żegnać nasi następcy. Chrześcijańska idea powszechnej nieśmiertelności, „świętych obcowania", nabierze w ten sposób zupełnie niespodziewanego – ale za to wyraźnego i konkretnego – kształtu. W wielkim cyfrowym królestwie każdy będzie miał swoją wirtualną replikę, fantomowe ciało odporne na procesy rozkładu i rozpadu. Po śmierci użytkownika, który je animował, fantomowe ciało zyskiwać będzie pełną autonomię, a być może nawet „wolność". I odtąd wieść samodzielny „żywot", generując filmy i fotografie – z „życia codziennego", którego nie będzie prowadzić, z „wakacji", na które nie będzie wyjeżdżać, z „pracy", do której nie będzie chodzić. Wdawać się będzie także w zapalczywe „dyskusje" z innymi replikami i w ogóle odtwarzać najróżniejsze aktywności swojego niegdysiejszego pierwowzoru...

Aż wreszcie – kto wie – na świecie pozostanie wyłącznie ta pozorna infrastruktura, tylko ta chmara cyfrowych symulacji, cyfrowych kopii. I trwać będzie tak długo, aż nie wyczerpie się ostatnia bateria. A wraz z nią – tematy do rozmowy Žižka z Herzogiem (która, proszę mi wierzyć, jak na razie ani myśli się skończyć). ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

WIARA

KRÓTKA ŁAWKA W EPISKOPACIE

Papież mianował abp. Adriana Galbasa metropolitą warszawskim dopiero rok po rezygnacji jego poprzednika. Dlaczego tak długo to trwało? Z naszych ustaleń wynika, że niełatwo dziś znaleźć kandydata na biskupa.

IGNACY DUDKIEWICZ

Kard. Kazimierz Nycz rezygnację na ręce Franciszka złożył w listopadzie 2023 r. Abp Marek Jędraszewski osiągnął wiek emerytalny 24 lipca, a abp Stanisław Gądecki 19 października 2024 r. Od deklaracji metropolity warszawskiego do ogłoszenia jego następcy – abp. Adriana Galbasa – minął rok. Wejście w wiek emerytalny byłych przewodniczącego i wiceprzewodniczącego Episkopatu nikogo nie zaskoczyło, a mimo to do dziś nie wiadomo, kto przejmie rządy w metropoliach krakowskiej i poznańskiej.

W niektórych diecezjach od pierwszej próby wybrania nowego biskupa pomocniczego do ostatecznej nominacji również mijają długie miesiące. Czemu trwa to tak długo?

– Sam chciałbym wiedzieć – komentuje ks. Grzegorz Strzelczyk, teolog odpowiadający m.in. za formację księży z archidiecezji katowickiej. – Polska nie jest szczególnym obszarem zainteresowania dla papieża, a więc także watykańskich urzędników. Przedłużać wybór mogą też starcia grup interesu polskich duchownych w Rzymie. Jest ich mniej niż kiedyś, ale wciąż odgrywają rolę. Zapewne nie ma też wielu kandydatów, którzy by z wielkim entuzjazmem przyjmowali myśl, że zostaną biskupami.

– Skoro przygotowania i „podchody" powinny być robione z wyprzedzeniem, a proces powołania biskupa trwa tak długo, wygląda na to, że nie jest to proste zadanie – dodaje Dawid Gospodarek z Katolickiej Agencji Informacyjnej.

Który element jest w tym procesie najtrudniejszy? Znaleźć odpowiedniego kandydata czy przekonać go do przyjęcia nominacji?

Coraz więcej odmów

Teoria jest prosta. Żeby zostać biskupem, ksiądz musi mieć minimum 35 lat i pięć lat kapłaństwa, doktorat lub ewentualnie licencjat (w Kościele stopień między magisterium a doktoratem) z Pisma Świętego, teologii lub prawa kanonicznego albo „prawdziwą biegłość w tych dyscyplinach". Gdy biskup diecezjalny otrzyma zgodę na rozpoczęcie procedury wyboru nowego biskupa pomocniczego, proponuje trzech kandydatów – tak zwane *terno*. Nuncjatura apostolska zbiera opinie o kandydatach od około 20 osób, przeważnie księży. Ankieta zawiera pytania o stosunek do innych du-

Przed ceremonią święceń biskupich ks. Janusza Urbańczyka, nuncjusza apostolskiego w Zimbabwe, katedra św. Mikołaja w Elblągu, kwiecień 2024 r.

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

chownych, ortodoksję, potencjalne powody szantażu itd. Później nad *terno* pracuje rzymska Dykasteria ds. Biskupów, a papież może zaakceptować jej rekomendację, wybrać innego kandydata z *terno*, rozpocząć proces od nowa albo wybrać biskupa według własnego uznania. Wybór biskupa diecezjalnego wygląda podobnie, ale kandydatury do *terno* wskazuje nuncjusz w porozumieniu z Episkopatem.

Ostatnią instancją decyzyjną jest kandydat. Może odmówić przyjęcia nominacji – na biskupa pomocniczego, na ordynariusza czy do nowej diecezji.

To zaś zdarza się coraz częściej. Jak informował kard. Marc Ouellet, gdy był prefektem Dykasterii ds. Biskupów, globalnie nominacji na biskupa odmawia 30 proc. kandydatów. Nuncjatura nie odpowiedziała na moje pytanie o analogiczny odsetek w Polsce, jednak, jak przyznają sami biskupi, również nad Wisłą coraz trudniej znaleźć księdza, który zgodzi się zostać biskupem.

– Księża mogą odmówić przyjęcia nominacji biskupiej i pewnie takich przypadków jest dzisiaj więcej niż kiedyś. Jednak to pozostaje tajemnicą, ilu księży odmówiło. Mogą to być tylko domysły. Wśród biskupów rozmawia się raczej o statystykach dotyczących tego tematu – przyznaje bp Dariusz Zalewski, biskup pomocniczy diecezji ełckiej od 2022 r.

O rozmowę poprosiłem dziesięciu ostatnio mianowanych polskich hierarchów. Zgodziło się trzech: oprócz Zalewskiego także wyświęceni 19 października 2024 r. pomocniczy biskupi łódzcy: Piotr Kleszcz i Zbigniew Wołkowicz. Ten pierwszy przyznaje: – Zdecydowanie obecnie może być trudniej niż kiedyś znaleźć biskupa. Są diecezje, które długo oczekują na biskupów, a procedura jest powtarzana kolejny raz, bo kandydaci odmawiają.

– Może dlatego częściej składa się te propozycje zakonnikom, bo zakłada się, że, podobnie jak zrobiłem ja, odwołają się przy podjęciu decyzji do składanego przez nich ślubu posłuszeństwa? – dodaje franciszkanin.

Huczy od plotek

Proces nominacji biskupów objęty jest tzw. „sekretem papieskim", trudno więc dotrzeć do pewnych informacji na temat księży czy hierarchów, którzy odmówili papieżowi. W ostatnich latach ↦

publiczny stał się jeden, specyficzny przypadek. W 2018 r. nuncjatura ogłosiła nominację ks. Franciszka Ślusarczyka na krakowskiego biskupa pomocniczego. Już po ogłoszeniu Ślusarczyk zrezygnował ze święceń. To jednak ewenement. Księża, którzy odmawiają, robią to przed upublicznieniem decyzji papieża.

Mimo sekretu papieskiego plotki niosą się błyskawicznie. Biskupi często już przed spotkaniem z nuncjuszem wiedzą, że „się zanosi". W książce „Pastwisko" bp Szymon Stułkowski przyznawał mi, że „mówiło się o nim jako kandydacie na biskupa". Również Kleszcz, Zalewski i Wołkowicz mieli podstawy, by sądzić, że są wśród kandydatów.

– Dochodziły do mnie sygnały, że coś się dzieje wokół mojej osoby, że krążą zapytania, ale nie traktowałem tego zbyt poważnie. W końcu ktoś wprost zapytał, czy przypadkiem nie jestem jednym z trzech kandydatów na biskupa pomocniczego – opowiada bp Kleszcz.

Bp Zalewski także słuchał plotek. – Wielu kapłanów może być potencjalnymi kandydatami na biskupów. Ankiety z Nuncjatury Apostolskiej są tajne i nie można o nich rozmawiać. Nie przyjmowałem takiej możliwości względem własnej osoby, ale kiedy zadzwonił do mnie nuncjusz apostolski i zaprosił na rozmowę, to domyśliłem się, o co chodzi. Tym bardziej że w naszej diecezji już od dłuższego czasu czekano na biskupa pomocniczego – mówi biskup pomocniczy ełcki.

Bp Wołkowicz zaś stwierdza: – Kiedy zaczęły chodzić plotki o mojej nominacji, prosiłem Pana Boga, żeby to nie nastąpiło. Miałem nadzieję, że podobnie jak większość plotek o nominacjach biskupich, także i ta okaże się nieprawdziwa, że to nieszczęście mnie nie spotka. Ale kiedy spotkało, przyjąłem to jako krzyż, który Pan mi daje i zaprasza do niesienia z Nim.

Plotki dotyczą także trudności procesów nominacyjnych. Niekiedy są dementowane – jak uczynił to nuncjusz apostolski w sprawie diecezji sosnowieckiej. Niekiedy przemilczane – jak doniesienia, że długo szukano kandydata do objęcia skonfliktowanej po rządach Sławoja Leszka Głodzia archidiecezji gdańskiej. Niekiedy – potwierdzane.

Gdy w archidiecezji krakowskiej po długim procesie poszukiwań biskupem pomocniczym ogłoszono ks. Roberta Chrząszcza, który wracał do Krakowa z Brazylii, był to znak, że kolejni kandydaci zgłaszani przez abp. Jędraszewskiego przepadali. Że problem był, przyznał mi w „Pastwisku" kard. Nycz, wskazując, że opinie o Chrząszczu zebrano wcześniej, gdy rozważano go na biskupa w Brazylii, wobec czego „przy problemach z nominacją do Krakowa" teczka była gotowa.

> Złośliwi mówią, że ci, którzy powinni zostać biskupami, tego nie chcą, a ci, którzy chcą, nie powinni. **W efekcie zostają ci, którzy się zgodzą.**

Więcej władzy i odpowiedzialności

Trudności pojawiają się i przy wyborze biskupów pomocniczych, i ordynariuszy, ale ich powody są różne. W przypadku tych drugich znaczenie ma osoba poprzednika i stan, w jakim zostawia diecezję.

Zapytany o to ks. Strzelczyk odpowiada: – A który Kościół lokalny w Polsce jest dzisiaj w dobrym położeniu?

Po chwili jednak przyznaje, że skala wyzwań jest różna, podobnie jak skala publicznej czy księżowskiej wiedzy o trudnościach. Niemniej stan diecezji może być czynnikiem tłumaczącym trudności z obsadzeniem prestiżowej wszak archidiecezji krakowskiej – tym bardziej że nowy metropolita będzie musiał funkcjonować z dwoma mieszkającymi w mieście poprzednikami.

Archidiecezja warszawska jest zaś trudna, gdyż jest niejednorodna: tu trudno wyrobić sobie autorytet, a do tego w stolicy znajdują się siedziby władz państwowych, wobec czego miejscowy ordynariusz jest na pierwszej linii rozmów z politykami.

– Objęcie Warszawy to założenie sobie pętli na szyję. Wiadomo, że ktoś to musi zrobić. Ale rozumiem, że chętnych może brakować. A już zwłaszcza chętnych i odpowiednich zarazem – komentuje ks. Strzelczyk, gdy rozmawiamy przed ogłoszeniem nominacji abp. Galbasa, będącego wcześniej – zaledwie od trzech lat – metropolitą katowickim.

Przed obejmowaniem samodzielnych rządów może powstrzymywać biskupów pomocniczych także niechęć do odchodzenia z diecezji, w której są zakorzenieni, opór przed kierowaniem małą diecezją czy przed konfrontacją z układami, które zostają po poprzedniku. – Sytuacja Kościoła w Polsce jest tak trudna, że nawet sensowni i dobrze działający biskupi na ogół pozostawiają diecezję w bardziej skomplikowanej sytuacji niż ta, w jakiej ją obejmowali – komentuje Gospodarek.

To może rodzić opory przed brzemieniem odpowiedzialności, być może związane również z realistycznym oglądem samego siebie.

– Sam wolę trzymać się z dala od władzy, bo boję się, że mógłbym jej nadużywać – mówi ks. Strzelczyk. – Czasami patrzymy na człowieka i mówimy: „Ten by się świetnie nadawał". Ale nie wiemy, jakie wewnętrzne koszty ponosi, żeby tak funkcjonować przy obecnych obciążeniach.

Wielu biskupów pomocniczych było też dobieranych właśnie pod kątem wykonywania zadań pomocniczych. Mogą odnajdywać się w roli wspierających ordynariusza, a jednocześnie mieć ograniczone możliwości samodzielnego kierowania diecezją. Dobrze, gdy są tego świadomi.

Jednocześnie biskupi pomocniczy wiedzą, jakie są możliwości i trudności funkcjonowania w tej właśnie roli. Niektórzy więc chcieliby zostać ordynariuszami właśnie dlatego, by uzyskać realną decyzyjność i wpływ. Inni wolą zostać nieco bardziej w cieniu.

Choć żaden biskup – także pomocniczy – w cieniu nie zostaje.

„Nie chcę, ale..."

Bp Wołkowicz mówi o „nieszczęściu" i „krzyżu". Bp Kleszcz twierdzi, że „wolałby, żeby ta nominacja się nie wydarzyła". Gdy komentuję, że słowa bp. Zalewskiego nie brzmią entuzjastycznie, odpowiada: – Zgadzając się na nominację biskupią, nie do końca wiedziałem, jak to będzie. Wiele dowiedziałem się później. Tak naprawdę nieustannie uczę się tej posługi.

– Gdy będę odchodził z tego świata, nie chciałbym, by ktoś mi zarzucił, że nie podjąłem jakiegoś wyzwania z wygodnic-

twa czy lenistwa. Zgodziłem się w duchu zaufania, że jeśli Bóg powołuje mnie, to także mnie uzdolni – dodaje po chwili.

Podobnie widzi to bp Kleszcz: – Jeśli Pan Bóg daje zadanie, to ofiarowuje również łaski do poradzenia sobie z nim. Owszem, kiedy się zgodziłem, pomyślałem sobie: „Co ja najlepszego zrobiłem?”. I wciąż jestem przytłoczony zadaniami, ale pamiętam, że nie jestem w tym sam. Skoro więc nominacja się pojawiła, to z odpowiedzialności za Kościół podjąłem się zadania.

A bp Wołkowicz opisuje: – Jestem przekonany, że Pan Jezus wie, co robi, i doświadczam, że pójście za tym, czego chce Pan Bóg, jest dużo piękniejsze niż szukanie tego, co ja chcę. Bałem się tego i wciąż się boję, ale ufam.

Czy to tylko społeczna norma nakazująca biskupom twierdzić, że biskupami być nie chcieli (a przynajmniej niuansować, powołując się na Pierwszy List do Tymoteusza, w którym św. Paweł pisał: „jeśli ktoś dąży do biskupstwa, pożąda dobrego zadania”)?

Gospodarek twierdzi: – Na ile znam księży, to rzadko zdarza się, że któryś szczerze nie chciałby być biskupem. Wielu z nich z tyłu głowy ma poczucie, że to upragniona ścieżka awansu.

Skoro jednak odmowy zdarzają się częściej niż kiedyś, to coś jest na rzeczy. Jak to lapidarnie ujął w rozmowie na potrzeby „Pastwiska” ks. Matteo Campagnaro, wówczas sekretarz kard. Nycza, dziś rektor Seminarium Misyjnego „Redemptoris Mater”: – Dzisiaj być biskupem? Nie, dziękuję. Młody chłopak sto razy zastanowi się, czy chce iść do seminarium. A ksiądz sto razy się zastanowi, czy chce zostać biskupem.

Biskupstwo to obciach?

Ksiądz rozważający, czy zostać biskupem pomocniczym, jest świadom kilku rzeczy.

Po pierwsze, że to duża odpowiedzialność przy coraz bardziej ograniczonych możliwościach efektywnego działania. Wśród kleru rośnie świadomość tego, że autorytet urzędowy biskupów zanika, osobisty zaś wyrobić sobie znacznie trudniej, zwłaszcza w napiętej sytuacji społeczno-politycznej, także wewnątrzkościelnej.

Abp Galbas mówił mi: – To, co kiedyś być może mogło być ponętne w tej posłudze, bo wynikało z mechanizmu: „Jesteś ważny, bo jesteś biskupem”, zniknęło. Na szczęście.

Bp Stułkowski: – Biskupom się przykłada. Z różnych stron, słusznie i niesłusznie.

Bp Wołkowicz: – Wyzwania są większe niż kiedyś. Wystarczy posłuchać o skandalach, zarzutach, ludziach, którzy odchodzą z Kościoła, protestach. Sytuacja społeczna się zmienia.

Bp Kleszcz: – Pozycja społeczna biskupa, a także księdza, się zmieniła. Kiedyś wystarczyło wyjść na ulicę w sutannie czy habicie i z automatu uzyskiwało się szacunek. Teraz trzeba sobie na szacunek zasłużyć: biskup musi być bratem, który słucha i rozmawia.

Bp Zalewski: – Jeśli ktoś jeszcze widzi w byciu biskupem sposób na uzyskanie pozycji, to się myli. To już nie działa. Sytuacja społeczna i wizerunek duchowieństwa nie zachęcają do podjęcia tej drogi. Takie decyzje, choć niełatwe, należy podjąć również w duchu odpowiedzialności za Kościół.

Jeden z moich duchownych rozmówców nazywa rzecz lapidarniej: – To nie całkiem sprawiedliwe, ale z perspektywy zwykłych ludzi, zwłaszcza młodych, bycie dziś biskupem to po prostu obciach.

Harówka bez władzy

Po drugie, jako biskup pomocniczy ma się niewiele do powiedzenia. – Bycie pomocniczym to bardzo trudna funkcja – komentuje jeden z księży. – Nie masz realnej władzy, bo jak wikariusz podlega pod proboszcza, tak ty podlegasz pod ordynariusza. A większość biskupów pomocniczych nigdy nie zostanie biskupami diecezjalnymi.

Działanie utrudnia też brak zaufania w Kościele. Abp Galbas w „Pastwisku” wspominał: „Kiedy miałem przyjąć święcenia biskupie, jeden z kolegów księży powiedział mi: »Teraz już nikt nie powie ci prawdy«”.

Po trzecie, kandydat na biskupa pomocniczego wie, że to funkcja bardzo pracochłonna. Pewien duchowny opowiadał mi o rozmowie z biskupem pomocniczym: – Powiedział, że chyba był durny, że się zgodził. Na nic nie ma czasu, co chwila wizytacja, bierzmowanie i jeszcze kolejne zadania tego samego dnia. Ciągle w drodze.

Niektórym księżom jest więc lepiej tam, gdzie są. Nie musi to – choć może – oznaczać wygodnictwa, ale także rozeznanie, w jakim miejscu efektywniej przysłużą się wspólnocie Kościoła. Bp Stułkowski przyznawał mi np., że został biskupem pomocniczym właśnie wtedy, kiedy realnie zaczął „więcej rozumieć z funkcji rektora seminarium”. Bp Zalewski mówi zaś: – Jako proboszcz jednej z ełckich parafii czułem się na swoim miejscu.

– A gdy czujesz się na swoim miejscu, że to, co robisz, ma sens, przynosi dobro, że jesteś akceptowany, to nie musisz aspirować do pełnienia funkcji może i wyżej w hierarchii, ale jednocześnie pozbawionej realnego sprawstwa – komentuje jeden z duchownych.

Ks. Strzelczyk zaś puentuje: – Złośliwi mówią, że ci, którzy powinni zostać biskupami, tego nie chcą, a ci, którzy chcą, nie powinni. Niektórzy o tym marzą, a niektórzy zupełnie tego nie pragną, bo mają świadomość, jaka odpowiedzialność się z tym wiąże, zwłaszcza obecnie, albo czują, że są na swoim miejscu, a do tego nie chcą objąć funkcji bez wpływu na cokolwiek.

Kandydat optymalny

Ci, którzy decydują się zabiegać o biskupstwo lub o nim marzą, też mają trudniej niż kiedyś. Przez lata dominowały precyzyjne ścieżki robienia kariery w Kościele: przez seminarium, kurię lub Rzym (ewentualnie łącząc te drogi). Dziś częściej niż kiedyś biskupami zostają proboszczowie, a różnorodność doświadczenia, z jakim duchowni zostają biskupami, rośnie z pożytkiem dla Kościoła.

Niedawno mianowanych biskupów zapytałem także o korzyści z dotychczasowej pracy dla ich nowej funkcji.

– Dzięki pracy w seminarium znam bardzo wielu księży, mam nawiązane z nimi relacje, również oni mnie znają: zarówno od lepszej, jak i gorszej strony. To ułatwia moje bycie dla nich – odpowiada bp Wołkowicz.

Bp Kleszcz odwołuje się do zakonnego doświadczenia: – Będę namawiał księży na parafiach, by wspólnie się modlili, by choć raz w tygodniu odmówili razem jutrznię. Mam też nadzieję, że franciszkańskie doświadczenie pozwoli mi utrzymać prostotę bycia i przekazu Ewangelii.

A bp Zalewski wskazuje: – Dzięki temu, że sam byłem proboszczem, wiem, z jakimi problemami spotykają się księża ↦

↦ na parafiach, ale też znam realia życia wiernych, w tym młodych, którzy odchodzą z Kościoła. Myślę, że dotychczasowe doświadczenie i posługa duszpasterska pozwala mi lepiej rozumieć, co przeżywają wierni.

Mimo zwiększającej się różnorodności wciąż da się naszkicować portret optymalnego kandydata na biskupa pomocniczego. Obejmowałby on studia w Rzymie, doświadczenie i wykładowcy, i duszpasterza, najlepiej proboszcza, ortodoksję w sprawach doktrynalnych, przywiązanie do spuścizny Jana Pawła II, ale też otwartość na niektóre pomysły papieża Franciszka, np. synodalność, oraz czystą kartę w sferze tuszowania przestępstw seksualnych wśród duchownych.

I choć wyjątki – jak w Krakowie przy nominacji bp. Chrząszcza – się zdarzają, to jednak wciąż najwięcej do powiedzenia przy nominacji biskupa pomocniczego ma ordynariusz. Papież powołuje dwóch-trzech biskupów każdego dnia, więc nie jest w stanie realnie ocenić ani kandydatów, ani potrzeb diecezji, w których będą funkcjonować. Przy braku zainteresowania sytuacją w Polsce – tym bardziej.

O składzie *terno* niektórzy ordynariusze decydują samodzielnie, inni konsultują się ze współpracownikami, kolejni – z duchowieństwem. Gdy został arcybiskupem warszawskim, kard. Nycz rozesłał ankietę do wszystkich księży, prosząc ich o wskazanie spośród siebie kandydatów na biskupów pomocniczych. Powołani za jego rządów Rafał Markowski, Józef Górzyński i Michał Janocha pojawiali się w odpowiedziach często, a sam Nycz w „Pastwisku" przekonywał, że „nie zawiódł się na tej zbiorowej intuicji" i „że nie musi się wstydzić za biskupów, których wskazał".

Zwrócenie oczu ku duszpasterzom i zależne od woli ordynariusza konsultacje nie są jednak ani systemowym sposobem zapewnienia różnorodności doświadczeń wśród hierarchów, ani tym bardziej udziału wspólnoty lokalnego Kościoła w wyborze biskupów. A może także to byłoby sposobem na znajdowanie kandydatów zarazem najlepszych i gotowych do przyjęcia nominacji?

© IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest redaktorem naczelnym Magazynu „Kontakt" i autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem".

Zakodowane wspomnienia

BEATA SZADY

Od niedawna w Polsce zakłady pogrzebowe i kamieniarskie oferują kody QR na nagrobki. Po co?

Mariusz Formanowicz nazywany jest przez bliskich genealogiem rodzinnym. Znajdowane przez niego informacje o swoim rodzie umieszcza na stronie internetowej, żeby każdy miał do nich dostęp. Biografię dziadka Stefana przygotował właśnie na potrzeby tej strony, dopiero niedawno wpadł na pomysł, żeby ją umieścić również pod kodem QR na nagrobku.

– O kodach dowiedziałem się z internetu, rodzina nie miała nic przeciwko, młodzi podeszli do sprawy najbardziej entuzjastycznie – mówi. O umieszczeniu biografii dziadka pod kodem QR zdecydowały jego zasługi: był powstańcem wielkopolskim, żołnierzem 1 Pułku Strzelców Wielkopolskich, uczestnikiem walk o Lwów i wojny polsko-bolszewickiej, a także urzędnikiem państwowym.

Niedroga usługa

Klient przede wszystkim wykupuje przestrzeń, w której znajdować się będą wspomnienia o osobie zmarłej, i przygotowuje sam materiał (to od rodziny zależy, jaka treść będzie upubliczniona). Mogą to być: biografia, zdjęcia, filmy, wiersze, ulubione sentencje, drzewo genealogiczne, ukochane piosenki, przepisy kulinarne etc., czyli wszystko to, co bliscy uznają za ważne. W zależności od oferty klient albo przekazuje materiał wybranej firmie, albo samodzielnie umieszcza go na stronie internetowej. Prócz tego otrzymuje fizyczny kod QR – po zeskanowaniu go osoba jest przekierowywana do odpowiedniego miejsca. Ma on formę estetycznego znaczka odpornego na warunki atmosferyczne, który umieszcza się na nagrobku – najczęściej na tablicy.

W zależności od oferty usługę można wykupić na czas określony (abonament na 5, 10 albo 20 lat), ale też może mieć ona ważność nieograniczoną. Pytam moich rozmówców, dlaczego firmy oferują tak różne opcje. Ta druga – na czas nielimitowany – wydaje się bardziej korzystna dla klienta.

– Firmy z ofertą abonamentową chcą więcej zarobić. To dla nich czysty zysk – to pierwszy komentarz. I drugi: – Nie jesteśmy w stanie zagwarantować klientowi, co będzie za chociażby 30 lat. „Na zawsze" nie istnieje. Dlatego oferta na czas nieokreślony to dla mnie krótkowzroczność i nadmierny optymizm.

W porównaniu z kosztami pogrzebowymi czy ceną nagrobka nie jest to usługa droga. Najniższa cena kodu, jaką znalazłam na rynku, to 133 zł (ważność nielimitowana), najwyższa 500 zł (abonament na 20 lat). Jest to więc usługa egalitarna, ale nie tylko ze względu na koszty: zakodowane wspomnienia mogą dotyczyć każdego. Nie tylko osoby powszechnie znanej.

Rodzinny wysiłek

Zainteresowanie kodami QR bywa różne. Pracownik dużej firmy pogrzebowej w wielkim mieście (wręcz monopolisty) mówi mi anonimowo, że usługę tę mają w swojej ofercie od pół roku i do tej pory sprzedali kilka kodów. Czyli skala sprzedaży liczona jest w promilach, a nie procentach. – Jak na razie kod QR to usługa, która próbuje się zaimplementować na rynku.

Tak niewielkie zainteresowanie tłumaczy tym, że rodzina sama musi przygotować materiał o osobie zmarłej, a to wymaga umiejętności, czasu i chęci. – Z doświadczenia wiemy, że im mniej musi zrobić klient, tym jest bardziej zadowolony – mówi pracownik. – A przy kodzie QR trochę trzeba się namęczyć. Stąd małe zainteresowanie tą usługą.

Powód jednak może być zgoła odmienny. Otóż ofertę kodu w tej firmie

LEONHARD FOEGER / REUTERS / FORUM

Zakład kamieniarski Timothy'ego Vincenta w miejscowości Boeheimkirchen k. Wiednia, który od lat (fotografia z września 2012 r.) umieszcza na nagrobkach kody QR.

można wykupić tylko przed pogrzebem (wynika to z polityki firmy; generalnie nie ma żadnych przeciwskazań do umieszczania kodu QR na grobie w jakimkolwiek momencie). A przecież wówczas rodzina ma wiele innych spraw do załatwienia. Może nie mieć na to ani czasu, ani chęci.

I to jest minus oferty tej firmy. W innych firmach usługę można zamówić w każdym momencie.

Kiedy pytam pracowniczkę firmy TabQR, jak wygląda zainteresowanie ofertą kodów QR wśród klientów, odpowiada: – Całkiem dobrze. I podaje liczby. Usługę tę mają w ofercie od ponad roku i do tego czasu sprzedali 220 kodów indywidualnym klientom (liczba ta nie obejmuje kamieniarzy). – Trochę się napracowaliśmy, żeby uzyskać taki wynik. Jeździliśmy po całej Polsce, zarówno po kamieniarzach, jak i cmentarzach (zostawiając swoje ulotki). Korzystamy też z innych form reklamy (m.in. Facebooka) – mówi Klaudia.

Sposób na pamięć

TabQR to serwis specjalizujący się w sprzedaży kodów QR na nagrobki. Wykupując tutaj usługę, klient również tworzy swój materiał, który podpinany jest pod kod QR w formie pliku pdf (tekst i zdjęcia) lub strony html (filmy). Koszt tej usługi bez ograniczeń czasowych to 133 zł za pdf i od 149 zł za film.

– To usługa tańsza niż ceramiczne zdjęcie. Uważam, że powinna się rozpowszechnić chociażby ze względu na niską cenę. I choć Polacy są nadal zamkniętym i nieufnym narodem, niechętnym do dzielenia się zbyt wieloma informacjami na nagrobku, to jednak usługa ta staje się coraz bardziej popularna – mówi pracownica firmy.

Na jej stronie internetowej znajduję również wypowiedzi klientów: „Tabliczka z kodem QR z historią życia mojego dziadka pomaga mi radzić sobie ze stratą" (Jakub, 38 lat). Albo: „Tabliczka z kodem QR pozwala nam przekazać historię życia mojego ojca, który był zasłużonym kombatantem" (Anna, 50 lat). I zastanawiam się, czy odwiedzając groby bliskich, często zadajemy sobie pytanie, jak żyli, jacy byli i czym się zajmowali. Tabliczki z kodami QR mogą pozwolić zachować tę wiedzę. Wydają się też idealnym rozwiązaniem dla przyszłych pokoleń, aby pamięć o przodkach przetrwała. Jeżeli w ogóle kody QR będą jeszcze wtedy w użytku.

– Czy byłaby możliwość wykucia kodu QR bezpośrednio na nagrobku, czyli w kamieniu? – pytam Marka Zajchowskiego z Zako, rodzinnej firmy kamieniarskiej z Podkarpacia, która w swojej ofercie ma również kod QR.

– Jest taka możliwość, choć my tego nie praktykujemy – stwierdza.

Przyklejenie estetycznej tabliczki ze specjalnego tworzywa jest łatwiejszym rozwiązaniem.

Zajchowski przyznaje, że oferta, mimo niskiej ceny (najniższa: 150 zł na 5 lat, najwyższa: 500 zł na 30 lat), nie cieszy się wielkim zainteresowaniem. – W zeszłym roku sprzedaliśmy cztery kody, w tym roku jeden. Ale trzeba wziąć pod uwagę fakt, że mimo ogólnopolskiego zasięgu sklepu internetowego naszymi klientami są głównie ludzie z Podkarpacia – konserwatywni, raczej zamknięci na nowości technologiczne.

Żelazne zastępy

Biografia Stefana Formanowicza (urodzonego w Berlinie w 1901 r., do którego rodzice wyemigrowali za pracą) jest dość oficjalna, co potwierdza sam wnuk. Prócz tekstu głównego zawiera jedno zdjęcie, adres rodzinnej strony internetowej, a także wypisane ordery i odznaczenia.

Dowiadujemy się m.in., że Stefan jako 17-latek wstąpił w szeregi powstańców wielkopolskich, z których powstał następnie 1 Pułk Strzelców Wielkopolskich. Pułk walczył o Lwów, gdzie wykazał się męstwem. Gen. Iwaszkiewicz w rozkazie z 19 marca 1919 r. pisał: „żelazne zastępy Wielkopolan pod dowództwem płk. Konarzewskiego brawurowym atakiem (...) wpłynęły na zwycięstwo". W 1920 r. z Bobrujska na dzisiejszej Białorusi oddział Stefana cofał się pieszo ponad pół tysiąca kilometrów pod stolicę, by wziąć udział w bitwie warszawskiej. W swojej karierze wojskowej Stefan był kilkukrotnie ranny. Po II wojnie światowej zajmował się m.in. organizowaniem domów dziecka w dworach po byłych niemieckich właścicielach ziemskich. Zmarł w 1989 r.

Koncepcja kodów QR tak bardzo spodobała się Mariuszowi Formanowiczowi, że ma w planie wykupić jeszcze przynajmniej trzy kody, w tym dla ojca i stryja. Jednak w ich przypadku chciałby, żeby biografie były mniej formalne. Stryj na przykład z zawodu był lekarzem, ale pasjonował się pszczelarstwem. I tę informację rodzinny genealog chciałby zawrzeć pod kodem. ©

Lekcje z Herrnhutu

PAULINA MODEL

W tym saksońskim miasteczku z barokiem nie kłóci się modlitwa uwielbieniem, a w zabytkowych kamienicach można kupić szabatowe wino i współczesne powieści.

EVANGELISCHE BRÜDERGEMEINE HERRNHUT / MATERIAŁY PRASOWE

Ordynacja małżeństwa Jill i Petera Vogtów na prezbiterów Kościoła Morawskiego w Herrnhut (marzec 2015 r.)

Miasteczko to słynie w całych Niemczech i na świecie z gwiazdy składanej z papieru na Adwent. Wymyślił ją na początku XIX w. miejscowy nauczyciel matematyki, żeby pocieszyć dzieci misjonarzy, których rodzice głosili Ewangelię w dalekim świecie. P.H. Verbeek chciał także przemówić do wyobraźni przestrzennej swoich uczniów. Dziś składanie gwiazdy herrnhuckiej jest zwyczajem w wielu niemieckich rodzinach, a mniej uzdolnionym manualnie swoje kolorowe wyroby oferuje miejscowa fabryka.

Ale do Herrnhutu warto zajrzeć wcale nie ze względu na historię słynnej gwiazdy. To miejsce, które może wiele nauczyć.

– Kiedy tu przyjechałam, powiedziano mi, że Herrnhut ma inną atmosferę – mówi Emma. – Na ulicy spotykasz całą plejadę ludzi: różnych wiar, z różnych stron świata, wysoko i nisko wykształconych, sprawnych i niepełnosprawnych. I nie walczą oni ze sobą, bo jedno potrzebuje drugiego.

Horyzont

Miasto leży w Saksonii na styku granic: niemieckiej, czeskiej i polskiej. Liczy sobie nieco ponad 300 lat. Można je przejść w 15 minut. Stwarza wrażenie, że czas tu zwolnił – przeważająca część budynków ma charakter zabytkowy. Jednocześnie człowiek może tu usłyszeć znacznie więcej języków niż by się spodziewał. To z powodu bogatej sieci relacji misyjnych wspólnot religijnych Herrnhutu. Więc choć *de facto* małomiasteczkowy, ma on międzynarodowy charakter. Tu delegacja z Tanzanii, tu pastor z Holandii, tam misjonarka z Ameryki. Okaże się, że z barokiem nie kłóci się modlitwa uwielbieniem, a w zabytkowych kamienicach można kupić szabatowe wino, współczesne powieści, a za rogiem kebab.

Miejsce związane jest z historią husytyzmu. W XV w. Jana Husa spalono na stosie, zaś kilka lat później rozgorzały krwawe wojny husyckie. Zakończyły się one powrotem Zygmunta Luksemburskiego na tron praski. Co do zasady wrócił też katolicyzm, ale nie wszędzie. Część husytów (m.in. bracia czescy) obstawała dalej przy swoich przekonaniach. Nieść je będą przez kolejne wieki, a z każdym będzie coraz trudniej. Naborzeństwa odbywać się będą po domach – bez księdza – sprawowane przez wiernych. Za trwanie przy swoich przekonaniach groziło więzienie. Ulga dla potomków husytów przyszła dopiero w wieku XVIII.

Wtedy to braci czeskich, ukrywających się na habsburskich (a więc katolickich) Morawach, decyduje się przyjąć hrabia Ludwig Nikolaus Zinzendorf. W 1722 r. pada pierwsze drzewo (siekiera – świecka relikwia ostała się do dziś) i od podstaw powstaje Herrnhut – dosłownie: pod Bożą ochroną (po czesku Ochranov).

Ale to nie koniec historii. Bowiem, jak można sobie wyobrazić, mieszanie się miejscowych i przybyłych, różne zwyczaje i oczekiwania szybko doprowadziły do swarów. I to znacznych. Żeby im zaradzić, Zinzendorf jest zmuszony wrócić z Drezna. Gromadzi wszystkich w pobliskim Berthelsdorfie i tu się dzieje rzecz niezwykła. Panowie w surdutach i panie w czepcach, którzy jeszcze przed chwilą byli w gorącym sporze, teraz, jak wierzą, mocą Ducha Świętego podają sobie ręce i wspólnie przyjmują komunię. Te swoiste lokalne Zielone Święta miały miejsce 13 sierpnia 1727 r.

I tak rodzi się na dobre Herrnhut, a z nim: Kościół braci morawskich, spadkobierców husytów.

Co z tego zostało? Herrnhut, umieszczony na liście światowego dziedzictwa UNESCO, obecnie wygląda niemalże jak wyjęty z owych pamiętnych dni osiemnastowiecznych. Owszem, można tu kupić modę wietnamską i waldorfskie lalki, ale samo miasteczko nie straciło wyjątkowego charakteru, zaś bracia morawscy są tam do dziś. Choć już nie stanowią 100 proc. mieszkańców.

Przestrzeń

Miasteczko wzniesione jest w stylu baroku protestanckiego, oszczędnego w środkach, dalekiego od kapiącego złota znanego nam z polskich kościołów.

– Żeby zrozumieć Herrnhut, warto pamiętać, że jest to miasto, choć wielkości wsi – mówi Emma (imię zmienione), an-

tropolożka z lokalnego Muzeum Etnograficznego. – Założenia miejskie mają odbijać założenia społeczne i religijne. W centrum stoi kościół.

– Podoba mi się to, że w środku tego miasta jest Jezus – dodaje Albrecht Model, były starszy wolnego Kościoła ewangelikalnego Jesus-Haus.

Bracia morawscy (herrnhuci) wolą nazywać kościół *Kirchensaal*, Salą Kościelną lub Wielką Salą, w myśl tego, że nie powinno być jakiegoś specjalnego miejsca na *sacrum*, ale powinno ono przenikać całe życie. Metaforycznie określają ją też jadalnią, *Dining Room*, całej wspólnoty. To miejsce dla wszystkich. Co je wyróżnia? Całe jest śnieżnobiałe. Poza ławkami, stołem ołtarzowym i organami w zasadzie nie ma tam nic więcej. Prostota uderza. Ma pomagać skupić się na Najważniejszym.

Obecnie przy centralnym placu mieszczą się też instytucje dla osób z niepełnosprawnościami. W dobie komunizmu Kościół w NRD nie mógł prowadzić regularnej działalności edukacyjnej, więc skierował swoje siły w stronę kształcenia specjalnego i opieki. To, co było kiedyś wynikiem opresji systemu, dziś owocuje różnorodnością mieszkańców.

Wspólnota

Herrnhut ma ok. 1300 mieszkańców. Nawet dziś, liczony razem z przyległymi wsiami, ma w swoich granicach administracyjnych ok. 6000 dusz. To wciąż mniej niż Zawoja czy Ciechocinek. – A jednak jest tu wszystko, co potrzebne do życia – mówi Konrad Fischer z Heimatmuseum. Dwa muzea, dentysta, lekarz, szkoły – wymienia.

Poza tym można zjeść lody na nieczynnej stacji kolejowej, zajrzeć do biblioteki albo na leśny basen. Zaś wszystko poprzeplatane jest ogrodami. Ta barokowa idea – altan skąpanych w zielonościach, gdzie można napić się herbaty lub sięgnąć do kancjonału – wygląda uroczo.

– Podoba mi się to, że w głębokim sensie jesteśmy braćmi i siostrami. Nie mamy papieża albo charyzmatycznego lidera, którego każdy musi bezwzględnie słuchać – mówi Martin Theile, emerytowany proboszcz braci morawskich.

– Wspólnota ludzi o różnych poglądach, lecz wciąż kroczących razem, to coś, co może inspirować innych – wtóruje mu Peter Vogt, obecny proboszcz.

– U braci morawskich podoba mi się to, że ich biskup jest bratem miedzy braćmi – dodaje Erika Model z Jesus-Haus.

W istocie, choć protestantyzm kładzie znaczny nacisk na osobistą relację z Bogiem, po części fundując nasz europejski indywidualizm, tu ważna jest też wspólnota. Na początku istnienia społeczność herrnhutów była podzielona na tzw. chóry. Były to mniejsze wspólnoty dzielone według płci i stanu cywilnego, a więc takie jak np. niezamężne siostry czy wdowcy. Grupy te, poza małżeństwami, mieszkały razem – po stronie sióstr w Herrnhucie mieścił się np. dom wdów czy panien. Razem się modliły i wspierały. Nie był to sztywny podział na kasty, a raczej próba stworzenia wspólnot we wspólnocie, które łączy podobny los, i które mogą sobie służyć pomocą, a także towarzyszyć we wzroście duchowym.

BRACIA MORAWSCY NA POLSKIEJ ZIEMI

Bracia morawscy to przede wszystkim wspólnota w Tanzanii, która tam liczy 800 tys. członków, czyli ponad połowę wiernych morawczyków na całym świecie. Ale to też, onegdaj, Polska. Nad Wisłą (bliżej Odry w zasadzie) powstały cztery kolonie herrnhuckie. Najlepiej zachowała się ta w Piławie Górnej (Gnadenfrei). Arnold Kordasiewicz prowadzi tam Izbę Pamięci Braci Morawskich. W Piławie cmentarz herrnhutów zlikwidowano w 1978 r. Niemalże wszystkie z kilku tysięcy płyt nagrobnych rozkradziono, przeszlifowano, wyłożono nimi kurniki czy chodniki. Z uratowanych powstało składające się z ok. 30 płyt lapidarium. Samych grobów nigdy nie ekshumowano – chodząc po dzisiejszym parku, chodzimy po ich szczątkach.

Osadnictwo braci morawskich było całkiem liczne na ziemiach polskich. Częstokroć wiązało się z rozwojem przemysłu tkackiego – Górne Łużyce, gdzie leży Herrnhut, słynęły z tej gałęzi rzemiosła. Dziś można wybrać się jedynie szlakiem ruin oraz sal gimnastycznych czy harcówek dziwnie przypominających kościoły. Warto się pośpieszyć – dawna sala kościelna braci morawskich w Łodzi zawaliła się właśnie 15 sierpnia tego roku. © PaM

– Morawczycy mieli dobry zamysł na początku, reagując na to, co się działo w społeczeństwie. Dziś utraciliśmy nieco tej mądrości. Ludzie żyją w coraz większej izolacji – podsumowuje Theile.

Podział na chóry zaczął słabnąć w XIX w. w związku z sekularyzacją i innymi czynnikami, jednak pewien zmysł braterstwa został do dziś.

Jednym z podstawowych przekonań tutejszych chrześcijan jest równość. Wszyscyśmy równi wobec Pana i w śmierci naszej – mówią. Prawnik nie stoi wyżej niż cieśla, sklepikarz niżej niż farmaceuta. W sposób szczególny widać to na cmentarzu. Wznosi się on na łagodnych stokach za miastem. Groby sprowadzają się do poziomych, prostokątnych kamiennych płyt z imieniem zmarłego, datami i wersetem biblijnym. I takich płyt jest z sześć tysięcy.

W poranek wielkanocny to miejsce jednak ożywa. O świcie przybywa na cmentarz procesja, której towarzyszy charakterystyczna dla braci morawskich orkiestra dęta. Przy dźwięku trąbek i puzonów, przy jaśniejącym dniu, wspólnota pyta wyzywająco: „O śmierci, gdzie jest twe zwycięstwo?”.

Umywanie nóg, agapy i kapłanki

Pomysłem pierwszego pokolenia herrnhutów było wzajemne umywanie nóg i agapy (liturgia wspólnych posiłków). Ten pierwszy obrzęd utrzymał się jedynie przez krótki okres, lecz drugi – pozostał. Do dziś kilka razy w roku w Sali Kościelnej organizuje się spotkania przy bułeczkach z rodzynkami i herbacie, którym towarzyszą pieśni, świadectwa lub opowieści z misji.

Wartą uwagi jest także struktura klerykalna, szczególnie u zarania wspólnoty. Zinzendorf powiedział: „Siostry również mają prawo do kapłaństwa”. Wiemy, że Anna Nietschman, żona hrabiego, w 1758 r. wraz z mężem współprowadziła ordynację kobiet na prezbiterki – razem nakładali ręce (a to jest gest biskupi). W XVIII w. było to wydarzenie bez precedensu.

Jednak jak część wspomnianych wyżej rytuałów, i święcenia kobiet zanikły na długi czas. Do ordynacji prezbiterskiej kobiet Kościół wrócił w 1967 r., zaś pierwszą współcześnie ordynowaną biskupką braci morawskich w Europie kontynentalnej została w 2023 r. ks. Rhoënde Mijnals-Doth. ↦

PAULINA MODEL

Jasełka w Centrum Chrześcijańskim w Herrnhut. Międzynarodowa społeczność charyzmatycznych chrześcijan (wolny kościół ewangelikalny) zbiera się w Herrnhut od lat 70., choć oficjalnie zarejestrowana została jako stowarzyszenie w 1999 r. Wierni spotkają się w wyremontowanym przez siebie budynku dawnego szpitala. Na zdjęciu widoczna też wieloramienna gwiazda herrnhucka. Boże Narodzenie 2022 r.

Ekumenizm

↦ Herrnhut zaczął się od wspomnianego wyżej wyjątkowego pojednania w 1727 r. Nie była to jednak łaska dana raz na zawsze. Pod koniec XX w. i do tego małego miasta we wschodnich Niemczech dotarła fala odnowy płynąca ze Stanów. Przy kościele morawczyków spotykała się niewielka grupa, która coraz bardziej skłaniała się ku wielbieniu, modlitwom o uzdrowienie czy ku chrztowi dorosłych. W końcu doszło do bolesnej dla obu stron schizmy. Zdarza się również, że jedno z małżonków jest ewangelikalne, a drugie chodzi do braci morawskich.

Obecnie sytuacja ekumeniczna znacznie się poprawiła. Nie było świetlistego i wiekopomnego pojednania, jednak czas leczy rany.

– Jestem częścią małej grupy, w której modlimy się razem z osobami z obu Kościołów. Nieoficjalnie. Dobrze nam to robi – mówi Martin Theile. – Możesz czasem słyszeć szalone rzeczy o sobie nawzajem, ale kiedy faktycznie rozmawiasz z drugą stroną, to nie wierzysz we wszystko, co usłyszysz.

Leczenie pamięci i dialog

W pierwszym pokoleniu herrnhuci wysłali w świat więcej misjonarzy, niż cały protestantyzm przez poprzednie 200 lat, jakie minęły od wystąpienia Lutra. Misje z chrześcijańskiego punktu widzenia są czymś nieodłącznym, ale można je prowadzić na różne sposoby. Bracia morawscy starali się nieść Ewangelię, a nie opresję – znani są tacy, który zaprzedawali się w niewolę, by głosić Dobrą Nowinę niewolnikom. Jednak patrząc wstecz, widzimy, że i herrnhuci posiadali niewolników.

– Wiemy z materiałów archiwalnych, że bardziej ludzkie traktowanie nie było regułą. W dobie, kiedy niewolnictwo było powszechne, zdarzały się jednak głosy: „Jesteśmy równi wobec Boga i my nie mamy prawa niewolić innych". Znam przynajmniej jeden przykład, kiedy ktoś tak oponował – i był odsyłany i uciszany. Jakiś czas temu robiliśmy w muzeum spotkanie – w Herrnhucie wszyscy wiedzą o misjach, a jednak mało kto był świadomy, że morawczycy posiadali też niewolników – opowiada Emma.

Dziś w Kościele trwa proces, który jest nazywany uzdrawianiem pamięci.

Rzeczą, której niejedna wieś (albo miasteczko) może pozazdrościć Herrnhutowi, są próby rozmów i spotkań. Muzeum Etnograficzne wychodzi do mieszkańców z tematem, np. jak do zbiorów trafiały ludzkie czaszki. Chętny może się udać do Akademie Herrnhut lub Gesprächskreis (Koło Dyskusyjne) i porozmawiać o tym, co wywiera wpływ na społeczeństwo.

– Ostatnio debatowaliśmy nad tym, czy aplikować o znalezienie się na liście UNESCO. Spotykaliśmy się tygodniami, każda ze stron przedstawiała za i przeciw, zastanawialiśmy się, jakie będą tego konsekwencje – mówi Konrad Fischer.

Ostoja opozycji

Idąc na dłuższy spacer, dojdziemy do Großhennersdorf, wciąż w granicach administracyjnych Herrnhutu. Za czasów komunizmu tutejszy Katherinenhof, kościelny ośrodek diakonijny dla osób z niepełnosprawnościami, był ostoją dla opozycjonistów. Ci zaś po 1989 r. stworzyli tu kolejne miejsca spotkań – Begegnungszentrum – gdzie na warsztaty teatralne i nie tylko przyjeżdża młodzież z Niemiec, Czech i Polski. Zaraz obok jest Umweltbibliothek – instytucja, która m.in. dokumentuje pokojową rewolucję '89. W tym samym budynku mamy artystyczne kino wiejskie (Kunstbauerkino) razem z kawiarnią.

Tu Dirk Schulze zaserwuje nam lokalne piwo i puści film, który warto znać. Kiedy go odwiedzam, dowiaduję się, że za kilka dni we wsi obok (Rennersdorf, ale formalnie wciąż Herrnhut) rusza festiwal awangardowy (Faetzig Camp). W programie: zapatyści, punk, żydowskość oraz perspektywy queerowej współpracy na Górnych Łużycach.

To kontra do rosnącego w Saksonii poparcia dla partii prawicowych. – Niektórzy mówią, że Herrnhut to wyspa, że jest inny – tak, ale nie politycznie – przyznaje Gertrude (imię zmienione). – Ci, którzy wyjechali i mieszkali w różnych miejscach czy na misjach, bywają bardziej otwarci, ale reszta nie różni się pod tym względem od ludzi z okolicy.

– Martwi mnie rozwój prawicowych ruchów politycznych w regionie – dodaje Peter Vogt.

Soczewka

Herrnhut można potraktować jako atrakcję turystyczną niedaleką od naszej zachodniej granicy, ale też jako soczewkę i inspirującą lekcję. Soczewkę, w której rozpoznajemy powszechne konflikty i potrzeby chrześcijaństwa. Spory wspólnot tradycyjnych i młodych, gdyż problemy trudnej pamięci dotykają nie tylko protestantów. Ale i herrnhuckie doświadczenia można potraktować szerzej: jako lekcję radykalnej równości, wspólnoty stołu, dążenia do pojednania oraz tworzenia ram do wymiany myśli.

Fenomen Herrnhutu wciąż przemawia – prostota, równość i braterstwo – to wartości, które poruszają delikatne struny w wielu przybyszach. Innych przyciąga ruch charyzmatyczny czy klimat miejsca, gdzie prawie każdy zna każdego, a jednocześnie czuć międzynarodowy sznyt. Wygląda na to, że dziedzictwo husytów przetrwało.

© PAULINA MODEL

WOJCIECH

Bonowicz: *Pryncypia*

Jednak muszę napisać felieton społeczny, bo sprawa jest poważna. Chodzi o pryncypia, o to, jakie społeczeństwo budujemy i jakie chcemy budować w przyszłości. Nie można milczeć, kiedy kilkudziesięciu domom pomocy społecznej w Polsce grozi upadłość. Znów ratują je zrzutki, ale przecież nie wszystkim uda się zebrać potrzebne środki. Są też przyznane przez rząd dodatkowe pieniądze dla samorządów, ale – przynajmniej w momencie, gdy to piszę – nie jest jasne, czy tymi pieniędzmi można będzie wesprzeć zagrożone placówki. W mediach mówi się o tym, że dodatkowe środki mają wspomóc przede wszystkim służbę zdrowia i gospodarkę odpadami. O DPS-ach na razie ani słowa. Przeszło trzy tysiące osób nie wie więc, jaka czeka je przyszłość.

Rządy się zmieniają, a spraw nierozwiązanych przybywa. Dziennikarze natrafili na wypowiedź jednej z pań minister z... 2014 roku, która mówiła o konieczności reformy systemu dofinansowań. I że prace nad projektem reformy wkrótce się rozpoczną. Nie rozpoczęły się, o ile wiem, a jeśli nawet, to nic mi nie wiadomo o rezultatach. Potem było osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy – i też nic. System jakoś tam trwał, jeśli były protesty, to dorzucano DPS-om pieniędzy, ale systemowego rozwiązania problemu nie było. Rosły natomiast wydatki, coraz trudniej też było zatrzymać pracownice i pracowników, bo sektor pomocowy płaci słabo. O inwestycjach (remontach, rozbudowach, unowocześnieniach) szkoda nawet mówić. Placówki niepaństwowe, prowadzone w oparciu o umowy z samorządami, dawały sobie radę tylko dzięki wsparciu darczyńców, organizowaniu kiermaszów, kwestowaniu.

Nie zamierzam otwierać dyskusji, co lepsze – DPS-y czy mieszkania chronione. Mam przyjaciółki i przyjaciół, którzy w DPS-ie spędzili ponad połowę życia i traktują go jak swój dom. Mam też takich, którzy źle trafili i którym trzeba pomóc znaleźć lepsze miejsce. Pomysły na to, by otworzyć się na inne formy pomocy, są dobre, ale póki w sektorze brakuje osób chętnych do opieki, towarzyszenia, prowadzenia terapii itd., trudno będzie wprowadzić je w życie. A osób takich wyraźnie zaczyna brakować – i to nie tylko ze względu na wynagrodzenia. Choć skądinąd wysokość wynagrodzeń pokazuje, jakie jest rzeczywiste miejsce sektora pomocowego w społeczeństwie.

Albo się wierzy w wartość każdego ludzkiego życia, albo nie. Jeśli się wierzy, jeśli się taką wiarę wyznaje, no to trzeba zgodnie z nią każdemu starać się stworzyć godne warunki do życia, w szczególności zaś tym, którzy o to samodzielnie zadbać nie mogą. I nie dla jakiejś innej racji – że i ciebie to może spotkać, ciebie albo kogoś z twoich bliskich – lecz wyłącznie dla tej jednej: że każdy człowiek jest jedyną w swoim rodzaju wartością, historią, której nikt inny nie powtórzy. Wszystkich ludzkich potrzeb nie zaspokoimy, nie może być jednak tak, że nie potrafimy zaspokoić podstawowych. Na razie zdaje się zyskiwać na popularności filozofia: „Każdy musi sam o siebie zadbać". Pogląd ten, nawet jeśli nie wyrażany wprost, przenika do praktyki. Jest oczywiste, że jeżeli jakiejś instytucji zmniejszy się dotację, a równocześnie podniesie wymagania płacowe i nie zrekompensuje wzrostu wydatków, instytucja taka musi albo upaść, albo sama znaleźć środki na zasypanie powstałej dziury. I nawet jeśli jakimś cudem znajdzie te środki, to problem nie zniknie – w kolejnym roku sytuacja znowu się powtórzy. Jest też oczywiste, że taka instytucja nie będzie się rozwijać, doposażać, zatrudniać lepiej wykwalifikowanych pracowników. Znaczna część energii zatrudnionych w niej ludzi zużywać się będzie na uratowanie tego, co niezbędne.

Żyjemy w momencie nadzwyczajnym, to prawda. Wyzwań jest tak dużo, że nie wiadomo, jak właściwie ułożyć listę celów i zadań. Nie możemy też oczekiwać, że rząd w ciągu roku rozwiąże problemy nawarstwiające się latami. Na razie potrzebna jest doraźna pomoc. Ale w kalendarzu już powinno być „na sztywno" wyznaczone miejsce, w którym zacznie się prace nad rozwiązaniami całościowymi. Polityka dzisiejsza, podporządkowana rytmowi wyborów, zbyt często sprowadza się do „łataniny". Znaczenie rozwiązań całościowych, choć trudniejszych do przygotowania i przeprowadzenia, pokazuje się właśnie w sytuacjach nadzwyczajnych. Ciągle jesteśmy społeczeństwem dość ofiarnym. Ale jacy będziemy w przyszłości? Czy filozofia „każdy sobie" zwycięży? A może zaczniemy jednak doceniać ofiarność i opiekuńczość?

Jest taka książka dwojga amerykańskich uczonych, zatytułowana „Przetrwają najżyczliwsi". Lubię do niej zaglądać, ale przede wszystkim lubię jej tytuł. Książka dostarcza dowodów na to, że nie siła i agresja, ale przyjaźń i współpraca to, z ewolucyjnego punktu widzenia, strategie najkorzystniejsze. Przetrwali najżyczliwsi, a nie najsilniejsi. I także obecne kryzysy przetrwają te społeczeństwa – teraz podzielone i spolaryzowane – które będą potrafiły uznać, że możliwa jest polityka jedności. Że istnieje „klej", który to wszystko sklei. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

PONIŻEJ ZERA

Czy powrót Donalda Trumpa do Białego Domu to wyrok dla Ukrainy? Tak pytają w Donbasie i Charkowie.

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK Z KONSTANTYNÓWKI (OBWÓD DONIECKI, UKRAINA)

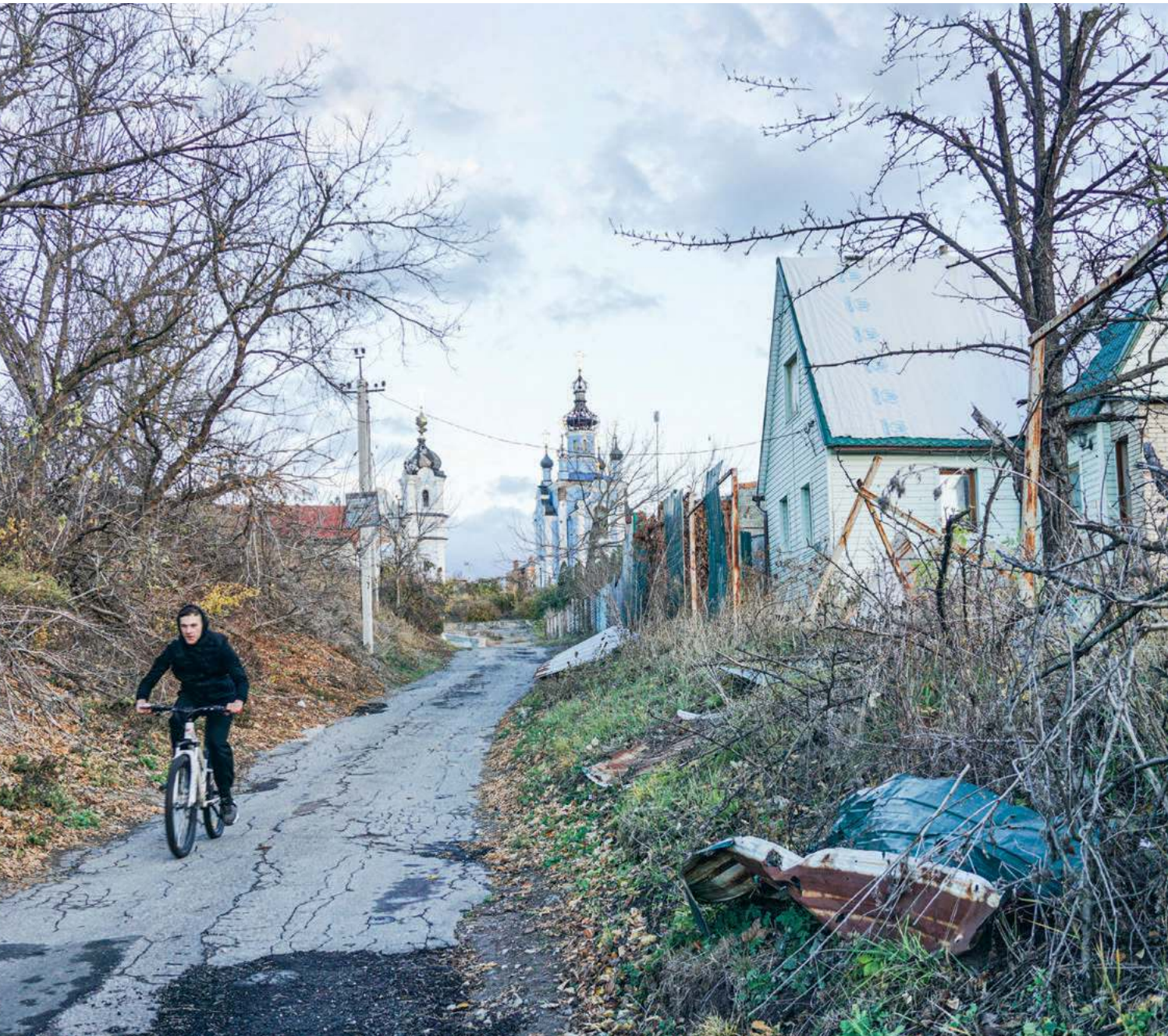

Temperatura w Donbasie troszkę powyżej zera. Wczoraj padał śnieg, dzisiaj drobny i dokuczliwy deszcz. – Mówimy na taką pogodę „europejska zima" – powiada Żenia, brodaty i ponury zwłaszcza dzisiaj żołnierz.

Niech już biorą ten Donbas

Stoimy na poboczu jednej z donieckich dróg. Żenia spluwa zamaszyście przez ramię. Splunie dziś jeszcze niejeden raz, przy okazji zadawanych mu pytań. Pytam o nastrój w związku z wyborem Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Zachód robił nas w konia. I będzie nas robić w konia – krzywi się, wierci wzrokiem niebo, które wyciska z siebie nieznośną lodowatą mżawkę. – A my co? Godzimy się na to, bo nie mamy wyboru. Bierzemy tę ich starą broń. Bo nie mamy wyboru. Ani wpływu.

Jeśli szukać nowości gdzieś w Konstantynówce, zwanej przez wszystkich czule „Konstachą", to na bazarze. Zgodnie z surowym reżimem godziny policyjnej, który obowiązuje w tym miasteczku położonym blisko linii ognia, bazar działa tylko cztery godziny w ciągu dnia, od 11 do 15. Pustawy, nie przypomina atmosferą tętniących życiem targowisk z zachodu kraju. W dodatku trafiony jakiś czas temu rosyjską rakietą, która wgryzła się w jeden z korytarzy między smętnymi blaszakami.

– Możemy liczyć na zamrożenie konfliktu. Rosjanie znowu zdążą nabrać sił i uzbrojenia, tak jak ostatnio. Gdybyśmy mieli stuprocentową gwarancję nietykalności... To niech sobie już wezmą ten Donbas, ludzie i tak już stąd powyjeżdżali – to mówi Wiera, handlarka w średnim wieku i tego dnia w średnim humorze.

– Jak prowadzić dalej tę wojnę? – ciągnie monolog. – Nie ma już mężczyzn. Walczy mój mąż, jeszcze od 2014 r., był jeszcze na donieckim lotnisku. Walczą moi bracia. Nie ma już nikogo. Kobiet niedługo też zabraknie.

Wiera pozwala sobie na niemrawy śmiech. Ktoś ze świstem zsuwa roletę na stoisku naprzeciwko. Przebiegający pod ścianą wychudły pies zerka ukradkiem na ogon makreli, który wystaje z pudełka na ladzie przed Wierą. – Temat wyborów nie był dzisiaj jakoś bardzo podejmowany – ciągnie kobieta. – Jedna tylko Irynka powiedziała, że Trump wygrał, więc wszystko będzie dobrze. A poza tym... Tutaj ludzie nie interesują się polityką, bo przestali już w cokolwiek i komukolwiek wierzyć.

– Zwłaszcza tym deputowanym! – zapala się sąsiadka, handlująca drobną elektroniką. – Naszym chłopakom nie zostanie już wkrótce nic innego, jak tylko ruszyć na Kijów – dodaje, mając na myśli ukraińskich żołnierzy.

Wierzcie w nas

– Lepiej przecież nie będzie. Może być tylko gorzej – odpowiadają kolejne zagadywane osoby na bazarku.

Deszcz ustaje, zaraz godzina policyjna. Na ścianie dawno zamkniętego kinoteatru Sputnik ktoś wysprejował hasło: „Wierzcie w nasze zwycięstwo!". Tynk odpadający płatami z całego budynku urwał część ostatniego słowa.

Obok pracuje jedna z nielicznych kawiarni. – Czy my w coś wierzymy? Na pewno nie w tym kraju – mówi młoda kobieta za barem. – A w Konstantynówce to już zwłaszcza, nam jest wszystko jedno.

– Co w związku z wyborami? – dodaje druga. – Na pewno zacznie się od tego, że będzie mniej dostaw broni. Poczekajmy. Trump powiedział, że wojnę może zakończyć w dobę – nie ukrywa drwiny w głosie.

Życie 12 kilometrów od linii frontu pozbawia mieszkańców „Konstachy" jakichkolwiek złudzeń. Do dnia inauguracji prezydentury Donalda Trumpa miasteczko może zdążyć znaleźć się już po drugiej stronie linii walk.

Kto jest gotowy dalej cierpieć

Oficjalnie 63 proc. Ukraińców jest gotowych znosić wojnę tak długo, jak to będzie konieczne – tak wynika z sondaży Kijowskiego Instytutu Badań Socjologicznych. Najwięcej takiej gotowości okazują mieszkańcy zachodnich i środkowych obwodów Ukrainy: odpowiednio 71 i 70 proc. Najmniej południowa i wschodnia część kraju: 50 i 38 proc.

„Najbardziej gotowi znosić dalej wojnę są więc ci, na których nie spadają KAB-y, kierowane bomby lotnicze" – komentuje administrator jednego z charkowskich kanałów na Telegramie, na którym przytoczone zostały te statystyki.

Charków to milionowe miasto we wschodniej Ukrainie, na które bomby lotnicze spadają codziennie. Po wpisie administratora w komentarzach zawrzało.

– A ty co, agent Kremla?

– W grupie „Północna Saltiwka" już dawno nie mają nic przeciw oddaniu Charkowa Rosji – pisze pisze ktoś inny. Saltiwka to niegdyś półmilionowa dzielnica, która w 2022 r. z racji położenia zebrała największe cięgi od artylerii i bomb.

– W Niemczech to mogą jeszcze długo znosić tę wojnę. A za oceanem to w ogóle, biznes się kręci. ↦

Zniszczony w zeszłym roku dworzec kolejowy w Konstantynówce. Na ścianie któryś z żołnierzy ukraińskich napisał: „Nie prosimy o wiele, potrzebujemy tylko amunicji artyleryjskiej i lotnictwa, resztę zrobimy sami". Konstantynówka, obwód doniecki, październik 2024 r.

Wieś Bohorodyczne w obwodzie donieckim jest całkowicie zniszczona. Listopad 2024 r.

↦ – Ta ankieta w ogóle nie jest przecież dla nas, tylko na sprzedaż dla naszych sojuszników – wisielczo komentuje kolejny użytkownik. Czystym rosyjskim, jak niemal wszyscy komentujący.

Na co pozwoli nam Trump

Równie gwałtowne dyskusje odbywają się pod ankietą z pytaniem: „Komu kibicujemy? Trumpowi czy Harris?". Charkowianie, również żyjący na bliskim zapleczu wojny, wydają się pozbawieni złudzeń tak samo jak konstantynowski bazar.

– A komu trzeba? – pyta jakiś cynik.

– To wybór bez wyboru. W każdym z wariantów wojna zamieni się w chaos.

– Ja jestem za Trumpem. Przy Demokratach dyktatorzy w ogóle niczego się nie boją, a sami Demokraci nie dają nam pozwolenia, żeby uderzać w Rosjan! (Chodzi o brak zgody administracji Bidena na użycie amerykańskiej broni do ataków w głębi Rosji).

– A nie martwi cię to, że ten twój Trump może po wyborach obrócić się do ciebie plecami? Nie wiesz, co siedzi w głowie tego zbzikowanego starca.

– Przy Demokratach wiecznie byśmy walczyli jedną ręką.

– A przy Trumpie będziemy walczyć dwiema? Toś niezły optymista. Mam nadzieję, że nie zmuszą nas do negocjacji, które skończą się spełnieniem kremlowskich życzeń.

– A z ciebie taki realista i nie chcesz żadnych rozmów? Jesteś gotowy umrzeć na hałdach Donbasu?

Czy ktoś wierzy w bajki?

– Przyjaciele, wojna skończy się za góra dwa-trzy dni! – obwieszcza administrator kanału chwilę po tym, jak Fox News ogłosiło Trumpa czterdziestym siódmym prezydentem USA.

– Nie zdziwię się, jeśli nie dawali nam F-16 dlatego, że czekali na zwycięstwo Trumpa. Teraz dadzą nam F-35 – ten komentarz zbiera falę śmiechu.

– Słyszeliśmy już o trzech dniach. To jest chyba jakaś kluczowa jednostka do pomiaru czasu, stosowana przez wszystkich skurwieli.

Trafiają się i słowa po ukraińsku: – Czy wy wierzycie w bajki?

Za oknem rozgościła się na dobre „europejska zima".

© ANTONINA PALARCZYK

CHRISTOPH SOEDER / AFP / EAST NEWS

Prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier wręcza Christianowi Lindnerowi akt dymisji. Z lewej kanclerz Olaf Scholz. Berlin, 7 listopada 2024 r.

Czas wilków

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Koalicja rządowa Olafa Scholza długo trzeszczała, aż w końcu się rozsypała. Decyzję o przedterminowych wyborach kanclerz chce odsunąć o kilka miesięcy i obiecuje, że nie będzie próżni decyzyjnej. Co to oznacza dla Niemiec, Europy i Ukrainy?

W środę 6 listopada wczesnym rankiem w politycznym Berlinie wielu, bardzo wielu przecierało oczy ze zdumienia. Chyba nikt nie sądził, że skala zwycięstwa Donalda Trumpa w wyborach w USA będzie tak duża. Na zewnątrz panował jeszcze poranny półmrok, a komentarze mediów mówiły już o historycznym dniu.

Jakby tego było mało, dzień ten okazał się pełen kolejnych wrażeń. Chwilę po godzinie 21 wieczorem kanclerz Olaf Scholz stanął przed kamerami i ogłosił, że poprosił prezydenta, aby ten zdymisjonował ministra finansów Christiana Lindnera z partii liberałów (FDP). W ten sposób po trzech latach istnienia koalicja rządowa w Berlinie ostatecznie się rozleciała.

Kumulacja rozbieżności

O perspektywie upadku tej dysfunkcyjnej koalicji mówiło się od dawna, w ostatnich miesiącach coraz częściej. Socjaldemokraci (SPD), liberałowie i Zieloni nie umieli porozumieć się w elementarnych sprawach: budżetu, polityki socjalnej, imigracji, obronności.

Najgłośniej swoje niezadowolenie okazywał Lindner, przewodniczący FDP – formacji gospodarczo-liberalnej. Jego partia w tym roku spadła w sondażach poniżej progu 5 procent. To dość logiczne, bo rząd, w którym więcej do powiedzenia mieli socjaldemokraci i Zieloni, promował wiele socjalnych rozwiązań sprzecznych z potrzebami elektoratu FDP, czyli przedsiębiorców.

Lindner stopniowo eskalował spór w koalicji. Ostatnio nie zgadzał się na propozycje budżetowe pozostałych partnerów, w tym na zawieszenie tzw. hamulca zadłużeniowego (konstytucja pozwala na to w nadzwyczajnych sytuacjach; Scholz uważał, że wojna w Ukrainie to uzasadnia). Napięcia i rozbieżności kumulowały się, aż doprowadziły do decyzji Scholza o wyrzuceniu Lindnera z rządu i rozpadu koalicji, bo FDP od razu wyszła z rządu.

Chadecy chcą wyborów w styczniu

Z Scholzem i SPD chcą nadal współpracować Zieloni, ale ten układ nie ma parlamentarnej większości. W ciągu kilku

miesięcy w Niemczech odbędą się więc nowe wybory do Bundestagu. Jednak Scholz i jego zaplecze chcą cały ten proces możliwie przeciągnąć i przeprowadzić głosowanie nad wotum zaufania, które utoruje drogę do wyborów, dopiero w połowie stycznia. Zakładając, że Scholz nie uzyska wotum zaufania, w tym scenariuszu mogłyby one odbyć się w marcu.

To oznaczałoby, że Niemcy będą mieć mniejszościowy rząd przez najbliższe pięć miesięcy, a może trochę dłużej – i to w czasie, gdy tak wiele dzieje się w polityce krajowej (tu zwłaszcza w sferze gospodarki, która kuleje) i światowej (powrót Trumpa).

Opozycja, zwłaszcza chadecy (CDU/ /CSU), domaga się, aby do głosowania nad wotum zaufania doszło jak najszybciej, tak żeby nowe wybory odbyły się już w styczniu. Kalkulacje chadeków są jasne: w sondażach utrzymują oni od dłuższego czasu znaczącą przewagę nad pozostałymi partiami. Mogą liczyć na maksymalnie 34 proc. głosów – to więcej niż łączne poparcie dla trzech partii, które do niedawna tworzyły rząd.

Jest więc pewne, że to przewodniczący CDU Friedrich Merz zastąpiłby Scholza na stanowisku kanclerza. Władza wróciłaby w ręce CDU, która w czasach Angeli Merkel rządziła krajem nieustannie przez 16 lat.

Fatalny bilans Scholza

Rozpad koalicji w Berlinie to trochę szok, ale także ulga dla wielu Niemców. Skłócony i dysfunkcyjny rząd już dawno utracił społeczne poparcie; ostatnio zadowolenie z jego pracy deklarowało zaledwie 14 proc. ankietowanych.

Zamiast rozwiązywać problemy kraju, liderzy partii koalicyjnych tracili czas na wewnętrzne intrygi i przerzucanie odpowiedzialności. W tym samym czasie szybko rosła skala realnych problemów. Niekontrolowana imigracja prowadzi do erozji społecznego zaufania. Zacierają się „silniki" wielkich koncernów przemysłowych, przede wszystkim motoryzacyjnych, które są fundamentem niemieckiej potęgi eksportowej.

Zwiększa się poparcie dla partii populistycznych i nacjonalistycznych: Alternatywy dla Niemiec i Sojuszu Sahry Wagenknecht. Na wschodzie kraju te dwie partie uzyskały w wyborach landowych tak duże poparcie, że nie jest możliwe utworzenie rządu bez ich udziału. Landy Saksonia i Turyngia, gdzie rozmowy nad utworzeniem koalicji rządowych na szczeblu landowym kolejny miesiąc są w impasie, mogą spodziewać się przyspieszonych wyborów.

Dodatkowo Scholz nie zdobył nawet ułamka szacunku, którym wśród europejskich partnerów cieszyła się Merkel. Obecny kanclerz zawalił stosunki zarówno z Francją, jak i Polską. W wyborach za oceanem trzymał kciuki za Kamalę Harris, podobnie zresztą jak niemal cały niemiecki establishment. Wybór Trumpa jest więc kolejnym wielkim wyzwaniem, na które upadły już rząd w Berlinie nie miałby dobrej odpowiedzi.

Groźny okres przejściowy

Niemieckie społeczeństwo, żeby dobrze funkcjonować, potrzebuje stabilności i możliwości solidnego planowania. Źle czuje się w sytuacji, która zmusza do improwizacji i podejmowania szybkich intuicyjnych decyzji. Tak jednak wygląda dziś rzeczywistość: naznaczona cieniem pandemii, wojnami, katastrofami klimatycznymi, niestabilnością polityczną, rozchwianiem porządku międzynarodowego.

W liście uzasadniającym odejście z rządu Scholza były już minister sprawiedliwości z FDP Marco Buschmann napisał, że grozi nam „czas wilków". W nim ludzkość coraz chętniej będzie sięgać po najbardziej egoistyczne instynkty tkwiące w naszej naturze. Tymczasem po 6 listopada dwa kluczowe kraje, gdy idzie np. o kwestię wsparcia Ukrainy – USA i Niemcy – są w okresie przejściowym. Oznaczać może to prymat spraw wewnętrznych nad strategicznymi decyzjami, w tym o pomocy dla Kijowa. Dzieje się to u progu zimy, przy zniszczonym systemie energetycznym Ukrainy i postępach Rosji na froncie. Jeden z wilków tego świata, Putin, nie zawaha się wykorzystać tej szansy.

Zaraz po ogłoszeniu wyniku wyborów w USA rozległy się w Niemczech głosy ekspertów: weźmy sprawy w swoje ręce, niech Scholz dzwoni do Macrona i Tuska, przygotujmy własny europejski pakiet pomocowy dla Ukrainy i plany obronne. Tyle że aparat decyzyjny siłą rzeczy działa inaczej, gdy rząd nie ma za sobą większości.

Obecność Niemiec, najludniejszego i gospodarczo najsilniejszego kraju Unii, jest niezbędna, jeśli mają toczyć się jakieś rozmowy na temat strategicznej przyszłości Europy. Oby więc do zmiany politycznej i wyłonienia nowego przywództwa w Berlinie doszło jak najszybciej. ©

Pomoc na zimę dla Ukrainy

„Niech każdy liczy tylko na siebie": taki komunikat wydała niedawno jedna z ukraińskich firm energetycznych. Zniszczenia w infrastrukturze na skutek nalotów są tak duże, że nie tylko ta jedna firma nie może gwarantować odbiorcom, że jesienią i zimą będą mieć prąd. Bliżej frontu, w obwodzie donieckim i części charkowskiego, już dziś energię zapewniają głównie mobilne kotłownie i agregaty.

Ale nie tylko w sferze energetyki może to być najcięższa wojenna zima dla Ukrainy. Chcemy pomóc naszym ukraińskim przyjaciołom – ludziom, do których już jeździliśmy z pomocą podarowaną przez czytelniczki i czytelników „Tygodnika" – i zebrać środki, za które będziemy mogli kupić agregaty inwerterowe, stacje zasilania i materiały z zakresu medycyny ratunkowej (np. opaski hamujące krwawienie). Chcemy je zawieźć, tak jak wcześniej, przede wszystkim na wschodnią Ukrainę.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik" jej patronuje.

Numery kont:

– w złotówkach:

20 10902 5900 0000 001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka (darowiznę można odliczyć od podatku).

https://inicjatywasasiedzka.org

Dziękujemy! „Tygodnik Powszechny" i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Napis „Pokój, chleb, praca" na jednym z murów w wiosce Marinaleda. Hiszpania, 1 października 2024 r.

Czerwona wieś na mapie Hiszpanii

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z MARINALEDY (ANDALUZJA)

Domy za kilkanaście euro miesięcznie, praca gwarantowana i niedzielne czyny społeczne: to wszystko w andaluzyjskiej miejscowości Marinaleda. Eksperyment tej „antykapitalistycznej wsi" trwa od ponad 30 lat. Wkrótce może się skończyć.

Wystarczy kilka minut, by zdać sobie sprawę, że to specyficzne miejsce na mapie Europy. Poruszając się wzdłuż głównej Avenida de la Libertad, alei Wolności, mijam liczne komunalne obiekty: szkoły, stadiony, basen, dom kultury, parki.

Ale to napisy na murach mówią najwięcej: „*Paz, pan, trabajo*" (Pokój, chleb, praca), „*Producimos, decidimos*" (produkujemy, decydujemy), „*Somos ejemplo que la utopía no es un sueño*" (Jesteśmy przykładem, że utopia nie jest tylko marzeniem). Do tego nawoływania do pokoju na świecie i kompleks sportowy imienia Che Guevary, dowódcy partyzantki komunistycznej w Ameryce Południowej w latach 60. XX w.

Trwa właśnie zbiór oliwek, więc na ulicach wsi, liczącej 2,5 tys. mieszkańców, widać jedynie przechadzających się seniorów. Nie ma tu ani turystów, ani imigrantów, więc pojawienie się osoby z zewnątrz budzi poruszenie.

Przy ratuszu powiewają tkaniny w trzech kolorach, symbolach wsi: zielonym (oznacza jej rolniczy charakter), czerwonym (to wysiłek) i białym (pokój). Umawiam się w tym miejscu z Juanem. Posiwiały niski mężczyzna ma sportową sylwetkę, choć zarzeka się, że sportu nigdy nie uprawiał, a jego jedynym wysiłkiem była praca. W zasadzie nadal jest, bo choć Juan Antonio Prieto Pradas jest na emeryturze, nie porzucił pracy w rolnej kooperatywie. Tam mnie zabiera, gdyż – jak mówi – jest to „serce wsi".

PRZESZŁOŚĆ | Wizyta w kooperatywie El Humoso to najlepszy sposób, by zrozumieć eksperyment społeczny, jakim jest Marinaleda, wieś należąca do prowincji Sewilla w Andaluzji.

To suche tereny, w głębokim interiorze Hiszpanii. Próżno szukać tu przemysłu. Jedynym źródłem dochodu jest ziemia, mimo że niezbyt urodzajna.

Przez setki lat mało się w tej okolicy zmieniło: tysiące hektarów w rękach nielicznych właścicieli ziemskich i chłopi pracujący dla nich od świtu do nocy. W XVIII w. bezrolni zaczęli płacić za użytkowanie ziemi. Miejscowi do dziś wspominają głód po wojnie domowej (1936-39), gdy powszechne były kradzieże oliwek i żołędzi. W latach 60. XX w. nasiliło się zjawisko emigracji: do Barcelony, a także do Niemiec, Francji, Szwajcarii.

PRZEBUDZENIE | Tak było również w Marinaledzie. Aż do 1977 r., kiedy powstał Związek Zawodowy Robotników Rolnych, który wygrał pierwsze wolne wybory po śmierci generała Franco, uzyskując w gminie większość absolutną.

Wkrótce nazwy ulic, dotąd związane z poprzednim systemem, zastąpiono tymi odwołującymi się do postaci lewicy: Che Guevary, Blasa Infante (autora hymnu Andaluzji), Salvadora Allende (prezydenta Chile).

Władzę we wsi objął charyzmatyczny lider Juan Manuel Sánchez Gordillo. Stanął na czele protestów. W myśl słów hymnu „Andaluzyjczycy, powstańcie, żądajcie ziemi i wolności", mieszkańcy wsi sformułowali swoje żądania. Zajęli zbior-

Jeden z pracowników El Humoso w koszulce z napisem „Kapitalizm jest problemem".

nik wodny i rozpoczęli okupację nieużytkowanej ziemi, należącej do księcia Infantado. 700 mieszkańców wsi prowadziło przez 13 dni strajk głodowy.

W końcu, po latach protestów, rząd Andaluzji wykupił od księcia 1200 ha ziemi i oddał w dzierżawę rolnikom z wioski. Widząc, że protesty przynoszą skutek, w ciągu kolejnych lat mieszkańcy Marinaledy będą wychodzić na ulice jeszcze wielokrotnie. W pobliskiej Sewilli sparaliżowali ruch kolejowy, lotnisko, zablokowali wejście do lokalnej telewizji (tak wywalczyli m.in. zmiany w zasiłku dla bezrobotnych).

KOOPERATYWA | Z ziemi przekazanej rolnikom stworzono osiem kooperatyw rolniczych (co było wymogiem formalnym, bo faktycznie funkcjonują one jak jedna).

Na fasadzie El Humoso widnieje napis: „To gospodarstwo przeznaczone jest dla bezrolnych robotników dniówkowych z Marinaledy". Kooperatywy mają kilkudziesięciu stałych pracowników, reszta to robotnicy dniówkowi. Zatrudniani są według potrzeb i w zależności od sezonu, nawet w liczbie kilkuset. Dlatego bezrobocie należy tu do najniższych w regionie, rzadko przekracza 7 procent.

Pensja dla wszystkich pracowników El Humoso jest równa: i dla prezesów kooperatyw (Juan był jednym z nich), i dla robotników. Ramię w ramię pracują w polu. – To 1400 euro na rękę dla stałych pracowników. Pozostali dostają 54 euro dziennie. Każdy, kto chce pracować, znajdzie u nas zajęcie. Przyjeżdżają także ludzie z sąsiednich wsi – mówi mi Juan, gdy spacerujemy po kooperatywie.

Ściany w biurze El Humoso wyglądają, jakby czas zatrzymał się kilka dekad temu. Stare zdjęcia z protestów, kalendarze rolnicze, ręcznie pisane hasła. Jedynie komputer w biurze technika rolnego Juana Pedro Kilera jest przejawem nowoczesności.

– Od trzech lat zmagamy się z suszą. Papryki już nie możemy siać. Brokułów nie mamy od czterech lat. Zasiew karczochów w tym roku zmniejszyliśmy z 40 do 10 hektarów. Teraz bardziej stawiamy na suche uprawy, np. bawełnę – mówi Kiler. Trzydziestokilkulatek, od trzech lat zajmuje się kontrolą zarówno upraw, jak też wykorzystania każdej kropli wody.

MŁODZI | Przed biurem spotykamy grupę nastolatków, która głośno się śmieje i puszcza muzykę. Mają właśnie przerwę w pracy, a właściwie w praktykach i nauce, którą organizują im władze komunalne.

Juan Antonio Prieto Pradas narzeka na młodych: – Młodzież dzisiaj nie docenia tego wszystkiego, o co my tak walczyliśmy. Wcześniej musiałem emigrować za pracą, pracowałem dla jakiegoś pana. W kooperatywie wszyscy jesteśmy równi. Każdy pracuje i zarabia tyle samo, niezależnie, czy jest prezesem (w kooperatywie prezes to prezydent), koordynatorem zmiany, czy zwykłym pracownikiem.

Z danych szkoły średniej z Marinaledy sprzed 12 lat wynikało, że 80 proc. mieszkańców wsi nie ukończyło szkoły podstawowej. To może oznaczać, że wielu widzi swoją przyszłość w kooperatywie rolniczej i nie dostrzega sensu edukacji. Choć ten trend powoli się zmienia.

POWROTY | Pracę po studiach w Sewilli znalazła w tej wsi María. Z dyplomem z zarządzania trafiła do administracji kooperatywy El Humoso. – Nie myślę o wyjeździe. Mam dobrą pracę, koszty życia są znacznie niższe niż w mieście. Do tego mamy dostęp do obiektów sportowych, a za miesięczny karnet na basen płacę tylko 6 euro – mówi María.

Swoją przyszłość w Marinaledzie widzi też 45-letni Francisco, z wykształcenia elektryk, który także pracuje w El Humoso. – Wolę pracę na świeżym powietrzu – śmieje się. Zagaduję go podczas pracy, kiedy przeładowuje przywiezione z pola oliwki. Wyjaśnia, że to wczesna odmiana przeznaczona do jedzenia.

– Moi rodzice walczyli o to miejsce. Miałem kilka lat, gdy zabierali mnie na protesty – wspomina Francisco. – Pracujemy po 8 godzin, w sezonie czasem nawet do 12. Nie mamy szefa, który nami dyryguje. Prezydent kooperatywy ma taką samą wypłatę jak ja, a znacznie więcej odpowiedzialności. Mam dom, który spłacam za 15 euro miesięcznie. Przedszkole córki kosztowało mnie 12 euro miesięcznie. Nie mogę narzekać.

NIEDZIELE | Juan przewozi mnie po wsi. Widzę, że nawet czarne komunalne śmietniki mają napis *el Humoso*, przypominający o głównym pracodawcy. Juan jest dumny zwłaszcza z parku i drzew rosnących wzdłuż alei Wolności: – Kiedy burmistrz Juan Manuel wygrał wybory, pierwsze, co zrobiliśmy, to zebraliśmy śmieci, posadziliśmy drzewa, posprzątaliśmy miejsca publiczne. Marinaleda była bardzo zadłużona, więc skrzyknęliśmy się i zaczęliśmy działać wspólnie. Wzorem z Kuby wprowadziliśmy „czerwone niedziele".

O tym, że „czerwone niedziele" wciąż istnieją, przekonuję się, gdy słyszę komunikat z jadącego ulicami auta z megafonem. Chętni mieszkańcy (praktyka ↦

↦ pokazuje, że głównie ci starsi, związani z kooperatywą) stawiają się o wyznaczonej godzinie, by wykonać niezbędne we wsi prace.

– Dzięki temu wieś oszczędza, a wciąż jest porządek. Tylko zaangażowanie ludzi jest coraz mniejsze. Żyjemy w czasach indywidualistów. Teraz większość myśli, że ich czas należy tylko do nich, i nie chcą robić nic dla innych – ubolewa Juan.

Denerwuje się też, gdy słyszy we wsi krytykę projektu, o który on i jego pokolenie walczyło 40 lat temu: – Mówią, że to dyktatura, ale gdyby nie kooperatywa i pomoc Ratusza, większość nie miałaby domów.

LIDER | Od lat 80. XX w. wśród osób gotowych do niedzielnych prac był przede wszystkim ówczesny burmistrz, Juan Manuel Sánchez Gordillo, przez zachodnią prasę okrzyknięty „Robin Hoodem". Dziś 72-latek, stał wówczas za projektem „antykapitalistycznej wsi". Choć nigdy nie należał do partii komunistycznej, mówił, że czuje się komunistą.

W wywiadzie dla „Diario de Sevilla" sprzed 15 lat przyznał: „Ludzie albo mnie kochają, albo nienawidzą. Nie ma uczuć pośrednich. Walczyłem i wymuszałem wiele rzeczy dla naszej wsi. Zmusiłem nawet władze Andaluzji do zabrania stąd policji".

Rzeczywiście, do dziś nie ma we wsi komisariatu (choć w ostatnich latach bywało, że by się przydał, np. w marcu 2018 r., gdy okradziono pięć garaży).

Pierwszy burmistrz eksperymentalnej wsi zyskał przydomek „Robin Hood" za kradzież ciecierzycy, oliwy i ryżu, które potem wręczył organizacji pozarządowej; było to w 2012 r. (w tym samym roku marka H&M stworzyła nawet specjalny t-shirt w ramach uznania dla lidera Marinaledy).

Poczynania burmistrza i życie w Marinaledzie obserwowała przez dziewięć miesięcy polska antropolożka Angelina Kussy z Uniwersytetu Pompeu Fabra w Barcelonie. – Nie były to zgromadzenia, na których podejmowało się decyzje na zasadzie demokracji bezpośredniej, jak reklamuje się często Marinaledę w artykułach z prasy na całym świecie. Były to raczej mityngi, na których ogłaszano wcześniej już podjęte decyzje – mówi Kussy w rozmowie z „Tygodnikiem".

Burmistrz Sergio Gómez Reyes

Francisco, pracownik El Humoso. Marinaleda, październik 2024 r.

Ze względu na chorobę legendarny burmistrz nie startował w zeszłorocznych wyborach i nie jest już tak aktywny politycznie. Ale ratusz nadal zdobią zdjęcia i pamiątki ze strajków, portrety Che Guevary i hasła nawołujące do socjalistycznych idei. Na poczesnym miejscu widnieje wizerunek lewicowego prezydenta Chile Salvadora Allende i hasło: „Przyszłość należy do wsi, nie do kapitału".

NOWY | W zeszłym roku, po 44 latach urzędowania, burmistrz Sánchez Gordillo ustąpił miejsca młodemu pokoleniu. Jego następcą został Sergio Gómez Reyes. Jest też nauczycielem historii w szkole. Ani on, ani dziesięcioro radnych nie pobierają pensji, a poza pracą w Ratuszu wciąż pracują w swoich zawodach.

Brodaty, czarnowłosy, aparycją przypominający poprzednika. Gdy się spotykamy, nie chce zasiadać za biurkiem. Mówi, że fotel i tak jest zepsuty, a on woli rozmawiać z ludźmi przy stole. Kiedy tak rozmawiamy, przynajmniej kilka razy ktoś bez pukania wchodzi do biura z jakąś pilną sprawą.

– Ojciec opowiadał mi, że już jako 10-latek musiał pracować *de sol a sol*, od wschodu do zachodu słońca – wspomina. – Społeczeństwo dzieliło się wtedy na klasy, a mój ojciec należał do tych najbiedniejszych. Czuł się nikim, a przez większość życia pracował dla latyfundystów. Projekt Marinaledy jest inny i zamierzamy go kontynuować.

Gómez Reyes przyznaje, że ich wieś uznawana jest w Hiszpanii za „czarną owcę": za tych, którzy mają stale wiele roszczeń i ciągle grożą strajkami. – Krążą o nas anegdoty, budzimy respekt wśród władz regionu. Krytykuje nas zwłaszcza konserwatywna Partia Ludowa, która stawia na masową turystykę i pola do gry w golfa. My mamy inny pomysł na siebie. W końcu trudno wskazać drugą taką wieś w Hiszpanii, która wywalczyła ziemię od księcia. Próbowano nas naśladować, ale w końcu ziemia lądowała w rękach prywatnych, a to niweczy wszystko – opowiada.

DOMY | Tym, co wyróżnia życie w Marinaledzie, są także tzw. domy z samodzielnej budowy (hiszp. *autoconstrucción*). Jest ich ponad 350, a obecnie buduje się 24 kolejne, choć na liście oczekujących jest ponad 160 rodzin. Tryb *autoconstrucción* polega na tym, że Ratusz zapewnia działkę i materiały, a przyszły mieszkaniec sam buduje swój dom, ewentualnie przy wsparciu innych w ramach „czerwonych niedziel".

Z tak zbudowanego domu odlicza się włożoną pracę, a resztę dzieli na płatności po 15 euro miesięcznie. Takiego domu nie można potem sprzedać, za to można go przekazać dzieciom czy wnukom. – Gdy władze innych wsi wyrzucają pieniądze w błoto, wymieniają

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

chodniki, my wolimy dopłacać ludziom do domów – mówi mi Sergio Gómez Reyes.

Dziś Marinaleda przygotowuje się do świętowania otwarcia nowo wyremontowanego centrum kultury, które będzie nosić imię byłego burmistrza. Brakuje jeszcze mebli, wyposażenia studia radiowego i telewizyjnego. Poprzednią telewizję Marinaledy zamknięto ze względu na brak licencji. Manuel Prieto Pradas, brat Juana i radny, liczy, że teraz będzie inaczej, bo można transmitować w internecie.

KRYTYKA | W książce „The Village Against The World" (w wolnym przekładzie: „Pewna wioska kontra świat") brytyjski dziennikarz Dan Hancox pisze, że Marinaleda to przykład polityki anarchistycznej, a także wrogości wobec hiszpańskich władz centralnych.

Zdaniem Hancoksa cała gospodarka Marinaledy oparta jest na subwencjach, więc wioska wcale nie przestała być gospodarką kapitalistyczną.

Dla przykładu: w latach 2000-2016 kooperatywa w Marinaledzie otrzymała ponad 9,5 mln euro z Unii Europejskiej w ramach programu PAC (Wspólnej Polityki Rolnej). W tych samych latach fabryka konserw należąca do kooperatywy otrzymała ponad 300 tys. euro subwencji od rządu regionalnego Andaluzji. Z kolei w budżecie Marinaledy za rok 2023 można przeczytać także o subwencjach rządu Andaluzji na program promocji zatrudnienia w rolnictwie (PFEA).

Ponadto Dan Hancox zwraca uwagę na niejasne, jego zdaniem, metody otrzymywania pracy w kooperatywie, a także zdarzające się czasami opóźnienia w wypłacie wynagrodzeń.

– Pytasz mnie, jak to możliwe, że gmina licząca dwa i pół tysiąca mieszkańców ma domy za 15 euro miesięcznie, dwa boiska do piłki nożnej, basen, centrum sportowe, boiska do tenisa, przedszkole, szkołę podstawową, szkołę średnią, a wkrótce także nowe centrum kultury? Kluczem jest kolektywizm zamiast indywidualizmu i działalność naszej kooperatywy – przekonuje mimo to Manuel Prieto Pradas.

PRZYSZŁOŚĆ | Jednak życie w Marinaledzie może się zmienić, bo kooperatywie – najważniejszemu pracodawcy „antykapitalistycznej wsi" – grozi sprzedaż.

W 1991 r., po licznych protestach mieszkańców Marinaledy, władze Andaluzji odkupiły farmę El Humoso od księcia Infantado, po czym udostępniły ją gminie, ale zachowały prawo własności. Dziś władze Wspólnoty Autonomicznej chcą, aby El Humoso znowu trafiło w ręce prywatne.

Mieszkańcy chętnie by ją wykupili. Jednak kwota 30 mln euro, na jaką wyceniono kooperatywę, to za dużo jak na budżet wiejskiego Ratusza.

Na razie nie ma innego chętnego kupca, więc życie w Marinaledzie toczy się wciąż tym samym rytmem. Nie wiadomo, jak długo jeszcze.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

REKLAMA

„WIECZNA LEWICA"
to niepowtarzalny zbiór aforyzmów i sentencji.

Marcin Giełzak zaprasza nas do rozważań nad pytaniem „czym jest lewica?" – zachęca do tego zarówno osoby, którym jest ona bliska, jak i tych, dla których jest to coś odległego i niezrozumiałego.

Nowe wydanie, które ukazuje się nakładem Wydawnictwa Prześwity, zostało uzupełnione i wzbogacone o nowe grafiki i aforyzmy oraz twardą oprawę.

„Wiesz, że trzymasz się lewej strony, jeśli jesteś po stronie biednych, wykluczonych, uciskanych. Bądź jednością z tymi, którym chcesz pomóc, a słów używaj tylko, jeśli musisz".

PREMIERA 15.11.2024 r.

Prześwity

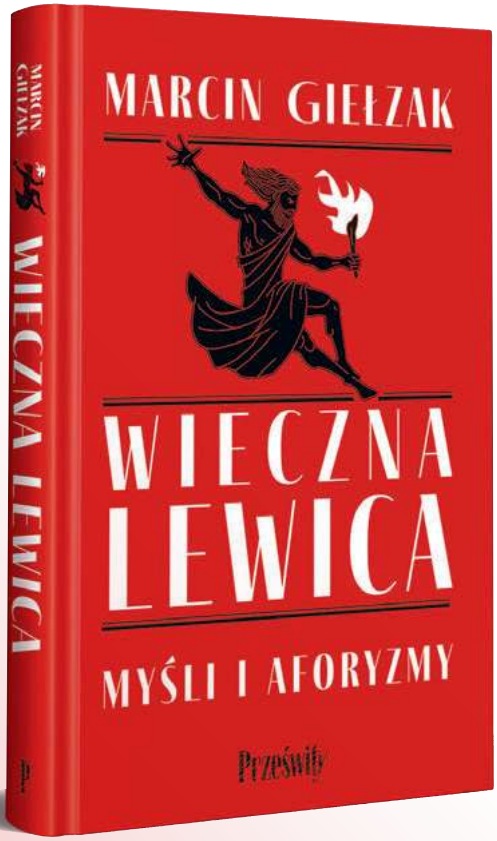

HISTORIA

ZE LWOWA DO DONBASU

Jesienią 1939 r. wielu polskich obywateli przekracza granicę niemiecko-sowiecką, uciekając spod jednej okupacji do drugiej. Niektórzy trafiają wkrótce do donieckich kopalń. Nieznana historia sprzed 85 lat.

STANISŁAW CALIK

Jest 24 października 1939 r., gdy na dworcu kolejowym w mieście Stalino (dziś Donieck) tłumy witają pierwszy pociąg przybyły ze Lwowa. Na peronie stoją przedstawiciele lokalnych władz, górnicy-stachanowcy (tj. rekordziści w wydobyciu węgla), działacze państwowych związków zawodowych. Amatorska orkiestra dęta gra sowieckie marsze na wesołą nutę.

Potem na placu dworcowym odbywa się wiec. Mówca przekonuje, że „przeklęty kapitalizm" pozbawił przybyszów, „lwowskich bezrobotnych", pracy i środków do życia. Ale górnicy z Donbasu nauczą ich, jak pracować w sposób socjalistyczny.

W następnych dniach sowieckie gazety będą pisać, że przybysze ze Lwowa

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Szczęśliwe życie sowieckich górników – pocztówka z kadrem z filmu „Wielkie życie", 1939 r.

kwaterują w doskonałych warunkach, że są zadowoleni oraz wdzięczni „partii komunistycznej i rządowi sowieckiemu za wyzwolenie ich z niewoli i wyzysku przez polską szlachtę, a także za zapewnienie im ludzkich warunków do życia i pracy".

UCHODŹCY WE LWOWIE | Przyjazd tego pociągu jest konsekwencją wcześniejszych wydarzeń: 17 września Armia Czerwona atakuje Polskę, która od ponad dwóch tygodni odpiera już niemiecką inwazję, a 22 września sowieccy żołnierze zajmują Lwów. Wkrótce Stalin anektuje zajętą połowę II Rzeczypospolitej do Związku Sowieckiego.

W okupowanym mieście zjawiają się rekruterzy z Sojuzorgnaborstroju, państwowej instytucji zajmującej się pozyskiwaniem i dystrybucją siły roboczej. Agitują do pracy w kopalniach węgla w Donbasie. Przyjmują wszystkich, bez względu na zawód i nawet stan zdrowia. Sojuzorgnaborstroj otrzymuje od państwa 200 rubli (tyle kosztuje para butów) za każdego pozyskanego. Rekruterzy obiecują złote góry: przestronne mieszkania, wysokie pensje, doskonałe warunki pracy.

W rzeczywistości ludzie, których prasa w Donbasie nazywa „lwowskimi bezrobotnymi", to nie mieszkańcy Lwowa. To uchodźcy z okupowanej przez Niemców części Polski. We Lwowie istotnie zarejestrowali się jako bezrobotni, by w jakikolwiek sposób zaistnieć formalnie wobec władzy okupacyjnej. To głównie Żydzi, ale także Polacy, Ukraińcy i Białorusini. W październiku 1939 r. we Lwowie zarejestrowanych jest ok. 60 tys. tych *de facto* uchodźców. Jest też wielu niezarejestrowanych. Dla 320-tysięcznego miasta to katastrofa humanitarna.

AGENCI W HOTELU | Uchodźcy, którzy nie mają stałego miejsca zamieszkania i pracy, są gotowi na wiele, aby znaleźć dach nad głową i zarobić na życie. Nawet pojechać do odległego Donbasu, o którym nigdy wcześniej nie słyszeli.

Tymczasem w Donbasie trwają przygotowania do przyjęcia „bezrobotnych ze Lwowa". Remontowane są hotele robotnicze, a w nich organizowane są „czerwone kąciki" – małe pokoje z portretami Lenina i Stalina, z literaturą (dziełami klasyków komunizmu), radiem i instrumentami muzycznymi.

Również NKWD się przygotowuje. Mikołaj Gorliński, zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej, wysyła do Donbasu dyrektywę z klauzulą „ściśle tajne", w której żąda zastąpienia kierowników i personelu hoteli robotniczych „zaufanymi ludźmi", czyli agentami. A ponieważ w kopalniach pracują głównie skazańcy lub osoby, które już odsiedziały swoje wyroki, nakazuje oczyścić kopalnie z „najbardziej okrutnego elementu przestępczego". Pomniejsi przestępcy mogą pozostać.

ZA GROSZE | Ci, którzy przybyli pociągiem 24 października, są rozmieszczeni w następujący sposób: 682 osoby trafiają do obwodu stalińskiego (dziś doniecki), a 418 do obwodu woroszyłowgradzkiego (dziś ługański). Będą pracować w 24 kopalniach, po 40-70 osób w każdej.

W praktyce okazuje się jednak, że na 1100 przywiezionych osób tylko pięć ma zawody górnicze. Reszta to pracownicy przemysłu lekkiego, urzędnicy, ludzie wolnych zawodów: rzeźbiarze, adwokaci, artyści, pisarze, lekarze itp. Zaszokowany zarząd kopalń nie wie, co z nimi zrobić. Do końca października ludzie siedzą bez pracy i bez dochodu. Potem stają się robotnikami fizycznymi, zarabiającymi marne grosze.

REALIA | W 1939 r. na ekranach sowieckich kin pojawia się film fabularny o donieckich górnikach „Wielkie życie". Filmowi górnicy są szczęśliwi, a jedyne, co ich martwi, to czy testy bardziej zaawansowanej metody wydobycia węgla zakończą się sukcesem. Film ogląda 19 mln widzów – zostaje kasowym hitem roku 1939.

Jednak przybysze ze Lwowa widzą inną rzeczywistość. Warunki w kopalniach są straszne. Sytuacja mieszkaniowa jeszcze gorsza. Np. w obwodzie stalińskim przygotowano miejsca dla 490 osób, a przyjechały 682. Ciasne pokoje w hotelach robotniczych są jeszcze zacieśniane.

Nie ma wystarczająco dużo miejsca dla rodzin z dziećmi. Trzy rodziny, po spędzeniu kilku dni pod gołym niebem, z desperacji okupują puste mieszkanie inżyniera. Właściciel, który tydzień później wraca z podróży służbowej, nie może wejść do domu. Wzywa milicję, która szturmuje mieszkanie, gdyż uchodźcy się w nim zabarykadowali. Zostają tymczasowo zakwaterowani w baraku bez ogrzewania – wkrótce chorują i trafiają do szpitala.

Górnicy widzą mękę przybyszów i nie kryją sceptycyzmu. „W Polsce oni byli bezrobotni przez osiem lat i żyli, ale tutaj nie przeżyją nawet ośmiu dni" – mówi Greczka, robotnik fizyczny. Serikow, urzędnik w kopalni, zgadza się z nim: „To dla nich dzicz! Wszystko jest drogie, ↦

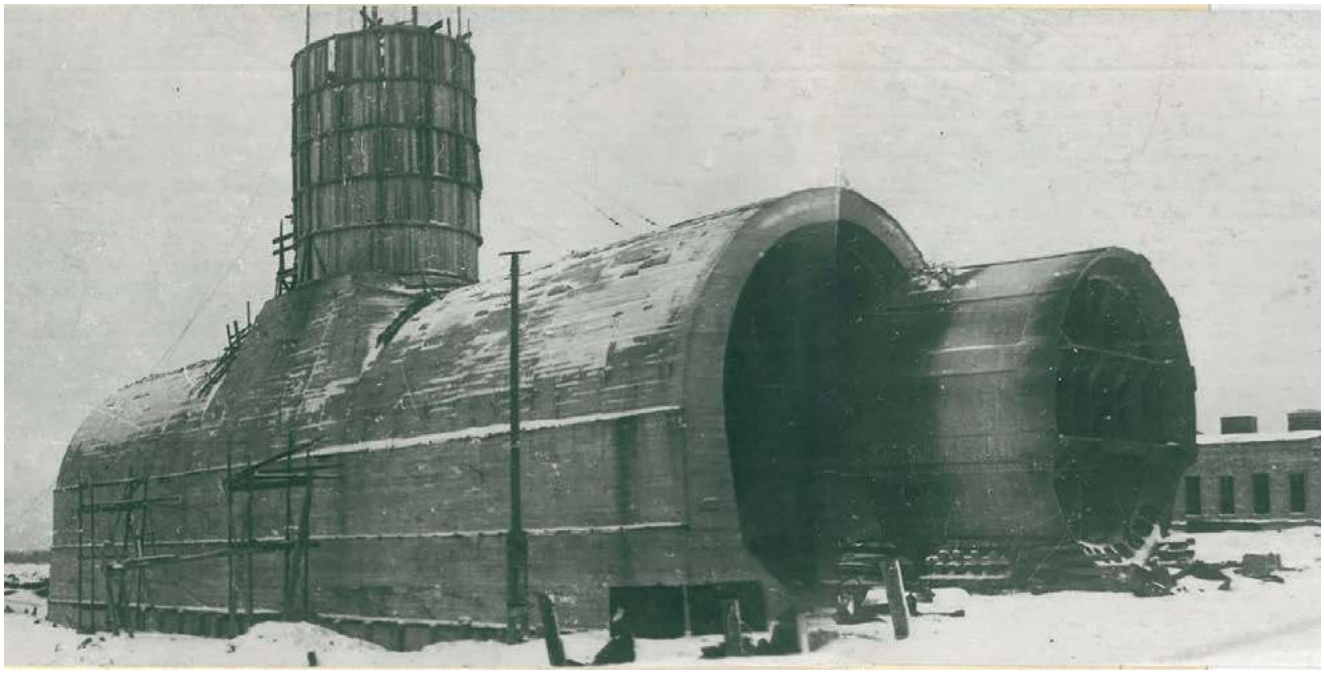

DOMENA PUBLICZNA

Keson do podziemnego tunelu na Budowie Specjalnej nr 1 w pobliżu Kijowa

↦ a sklepy puste. Wkrótce się rozproszą". Treść tej rozmowy, a także innych podobnych, trafia do NKWD. Rozmówcy, jako niezgadzający się z polityką partii, zostają skazani za „antysowiecką agitację" i zesłani do obozów pracy.

TRZY UCIECZKI | „Lwowscy bezrobotni" zaczynają uciekać z Donbasu. Jest wśród nich niejaki Wasyl Litner, dla którego jest to już trzecia ucieczka. Po raz pierwszy uciekł z Wiednia w 1938 r., po zajęciu Austrii przez III Rzeszę, i osiadł w Krakowie. Po ataku Niemiec na Polskę uciekł z Krakowa do Lwowa. Nie mogąc jednak znaleźć pracy (jest księgowym), zaciąga się do pracy w Donbasie i zostaje monterem w kopalni nr 19 w obwodzie stalińskim.

Litner nie wytrzymuje ekstremalnych warunków pod ziemią i po czterech dniach w kopalni jest chory. Po wyzdrowieniu zostaje skierowany do kołchozu. Znów choruje, a w końcu w lutym 1940 r. ucieka z Donbasu do Lwowa.

Rozważa kolejną, czwartą ucieczkę – tym razem przed czerwonym reżimem. Dowiaduje się, że ci, którzy przybyli z okupowanej przez Niemców części Polski, mogą zapisać się na powrót. Postanawia wrócić do Krakowa. Ale to jest pułapka NKWD: wszyscy, którzy się zgłaszają, zostają aresztowani – jako niezadowoleni z władzy sowieckiej – i z wyrokiem pięciu lat zesłani do łagrów.

TUNELE POD DNIEPREM | Tymczasem w listopadzie 1939 r. kolejny pociąg wiezie grupę 1288 „lwowskich bezrobotnych" do Kijowa. Zostali zwerbowani do Budowy Specjalnej nr 1 na kijowskich przedmieściach. Wątpliwe, aby rekruterzy wyjaśnili im, że mają budować pod korytem Dniepru tunele kolejowe tak szerokie, że pociągi będą mogły jeździć w dwóch kierunkach, a samochody i czołgi poruszać się między torami. Oznacza to pracę na głębokości ponad 30 metrów. Ze względu na zagrożenie dla zdrowia dzień pracy pod ciśnieniem jednej atmosfery ma trwać 6 godzin, a pod ciśnieniem trzech atmosfer – tylko 40 minut.

Ale ciężka praca to tylko jedna strona medalu. Druga to warunki życia. Wspomniany zastępca komisarza ludowego Gorliński raportuje do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy: „Na niektórych dzielnicach hotele robotnicze nie są przygotowane i wyposażone, nie ma wystarczającej liczby łóżek, pościeli,

OGŁOSZENIA

Na wniosek Mirosława Grojec wszczęto przed **Sądem Rejonowym dla miasta stołecznego w Warszawie** pod sygnaturą I Ns 1304/22 postępowanie o uznanie za zmarłego Mariana Stanisława Gardeckiego, urodzonego 16.07.1937 r. w Gręblinie, syna Jana Gardeckiego i Agnieszki Gardeckiej z domu Maślewskiej.

Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.

Przed Sądem Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 305/23 toczy się postępowanie z wniosku Bogdana Maślanki o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie udziału 60/320 w prawie własności nieruchomości położonej w Woli Radziszowskiej, oznaczonej jako działka nr 1754, objętej KW KR3I/00000671/6.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności następców prawnych Marcina Szczyrbaka, Magdaleny Twardosz, Jana Palucha i Ewy Szwedowej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swe prawo własności, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, o ile zostanie udowodnione.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Mikołaj Gorliński, zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych Ukraińskiej SRS

DOMENA PUBLICZNA

Mechanizujemy Donbas – plakat propagandowy z lat 30. XX wieku

ręczników, hotele robotnicze są zimne, brudne i zatłoczone. Posiłki na placówkach budowy są źle zorganizowane, w stołówkach tworzą się kolejki i dochodzi do bójek. Na placówce nr 9 miał miejsce przypadek, gdy robotnik upadł w pracy z powodu wyczerpania".

Są też opóźnienia w wypłatach pensji. Na początku ludzie otrzymują zaliczkę w wysokości 50 rubli. Wystarcza to na przeżycie pięciu dni, podczas gdy pieniądze nie są wypłacane przez kolejnych 18 dni. Głodni przybysze są zmuszeni wyprzedawać swoje rzeczy.

DONOSY | Agenci NKWD raportują o nastrojach wśród uchodźców pracujących na Budowie nr 1.

„W Niemczech jest lepiej, a w Związku Sowieckim można umrzeć z głodu. Smalcu w Związku Sowieckim nigdy nie widziałem" – tak miał się wyrazić Ignacy Baj, który przybył tu wraz z rodziną z Warszawy.

„W Związku Sowieckim żyje się gorzej niż w Polsce. W Polsce zarabiałem 2 złote, z czego złotówkę zużywałem, a złotówkę zatrzymywałem dla siebie" – to Stanisław Romanowski z Krakowa.

Józef Szymański mówi, że będzie zbierał ludzi, którzy przyjechali z Zachodniej Ukrainy, i nielegalnie wyjedzie do Turcji, a następnie do Francji, by wstąpić tam do polskiej armii.

„Nie chcę tu mieszkać ani minuty dłużej – tak ma się wyrażać niejaki Bronisław Kowalik. – Pozwólcie mi wrócić do domu. Nie przyjmę obywatelstwa sowieckiego. W Związku Sowieckim nic nie ma – nawet ziemniaki sprzedają na ulicy w limitowanej kwocie, jak to w Azji. Niechby mi zapłacili 1000 rubli, nawet wtedy nie chcę tu być, pojadę do domu".

„Nie podoba mi się tu i na pewno ucieknę do Niemiec" – to Aleksy Teśluk z Lublina.

„Chcę wszelkimi sposobami wyjechać do Niemiec i chcę zwrócić się w tej sprawie do konsula niemieckiego, a jeżeli on mi nie pomoże, to wyrwę się ze Związku Sowieckiego na własną rękę" – to Eustafiusz Artemliak z Lublina.

BEZDOMNI | Wśród uchodźców szybko rośnie liczba tych, którzy porzucają pracę w podziemnych tunelach. W związku z tym w grudniu 1939 r. w Kijowie utworzony zostaje specjalny urząd do ich zatrudniania.

Rano przed gabinetem szefa tego urzędu, nazwiskiem Litwinow, gromadzą się tłumy ludzi. Ten nie jest w stanie nic załatwić. Człowiek najwyraźniej chamski, uderza pięścią w stół i krzyczy: „Jeśli państwu się tu nie podoba, możecie wracać tam, skąd przyjechaliście". Tylko jak to zrobić?

Bez pracy i bez domu, uchodźcy śpią na ulicach, głodują. Na kijowskim dworcu kolejowym co noc śpi ok. 200 osób. Jest wśród nich wykwalifikowany tkacz z Łodzi z żoną i dwójką dzieci (młodsze ma trzy miesiące). Inny tkacz-mechanik rozładowuje drewno i zarabia 140-150 rubli miesięcznie, z czego 120 idzie na czynsz. Ucieka na kijowski dworzec, gdzie wegetuje, żebrząc o jedzenie. Szewc, również nocujący na dworcu, mówi: „Przyjechałem do Związku Sowieckiego jako do szczęśliwego kraju, do kraju słońca, a okazało się, że nie mam pracy i głoduję".

NIEWOLNICY | 3 lipca 1940 r. wicekomisarz Gorliński traci cierpliwość i wydaje dyrektywę: „W ostatnich miesiącach w Kijowie nastąpiła duża koncentracja byłych bezrobotnych i uchodźców powracających do zachodnich regionów, którzy wcześniej byli rekrutowani do pracy w zakładach przemysłowych". Nakazuje wstrzymanie wydawania przepustek na podróż do Lwowa i innych miast pod sowiecką okupacją. Bez takiej przepustki uchodźcy nie mogą kupić biletu kolejowego.

Ponadto Gorliński nakazuje stosowanie wobec uciekinierów przepisów rozporządzenia Prezydium Rady Najwyższej Związku Sowieckiego z 26 czerwca 1940 r. Zabrania ono „samowolnego opuszczania przez robotników i pracowników państwowych, spółdzielczych i publicznych przedsiębiorstw i instytucji". Taki ujęty uciekinier ma trafić do więzienia na okres do czterech miesięcy, po czym ma być zmuszony do powrotu do swojego miejsca pracy.

W ten sposób polscy uchodźcy stają się niewolnikami – własnością przedsiębiorstwa, w którym są zatrudnieni. W Związku Sowieckim praca nie jest prawem, lecz przymusem.

■■■

Paradoks historii: po tym, jak w czerwcu 1941 r. III Rzesza atakuje Związek Sowiecki, ci uchodźcy, którzy nie ulegli apelom Sojuzorgnaborstroju i pozostali we Lwowie, w większości zginęli. Głównie dotyczy to polskich Żydzów. Ci zaś, którzy zgodzili się pracować w kopalniach Donbasu lub w kijowskich tunelach, w większości zdołali ewakuować się na wschód – i przeżyli.

© STANISŁAW CALIK

NAUKA

GLEJ NA NOWO ODKRYTY

W cieniu neuronów swoją cichą pracę wykonują komórki glejowe. Budują ich osłonki, karmią je i czyszczą. Okazuje się jednak, że mają one więcej do powiedzenia w mózgu, niż sądziliśmy.

DANIEL KOZŁOWSKI

Neurony pociągają swoim wdziękiem. Ryciny wykonane przez Santiago Ramóna y Cajala, słynnego hiszpańskiego neuroanatoma przełomu XIX i XX w., można podziwiać jak dzieła sztuki. Komórki Purkinjego w móżdżku, fotoreceptory siatkówki, ale i neurony motoryczne łączące resztę układu nerwowego z mięśniami... Gdziekolwiek byśmy nie spojrzeli, zdumiewa nas różnorodność kształtów, które, jak twierdzimy, odzwierciedlają również funkcje tych komórek.

Komórki Purkinjego posiadają „szeroko rozpostarte" drzewo dendrytyczne – wypustki, które zbierają sygnały z różnych zmysłów i innych obszarów mózgu, aby kontrolować poruszanie się organizmu. Z kolei komórki bipolarne siatkówki, jak ich „dwubiegunowa" nazwa wskazuje, kontaktują się z fotoreceptorami na jednym swoim końcu, by otrzymać od nich informację o obserwowanej przez oczy scenie, oraz z komórkami zwojowymi na drugim końcu, by przekazać sygnały wzrokowe do mózgu. Molekularna budowa tych neuronalnych klocków lego zachwyca jeszcze bardziej – a tworzone z nich

neuroanatomiczne budowle fascynują swym skomplikowaniem.

Lekcja śpiewu

Nietrudno jest przekonać kogoś, jak ważne dla organizmu są neurony. Znamy wiele klinicznych przypadków, gdy uszkodzenie konkretnej struktury w mózgu prowadziło do charakterystycznej zmiany zachowania: pacjentów takich jak H.M., który stracił zdolność do tworzenia nowych wspomnień, czy S.M., która utraciła zdolność do odczuwania strachu. Przykłady ze świata zwierząt innych niż ludzie są równie liczne dzięki pracy neurobiologów. Jeden z moich ulubionych pochodzi z badań nad zeberkami. Te śpiewające ptaki zostały nauczone nowych, specyficznych dźwięków, które włączyły do swojego repertuaru nie za pośrednictwem słuchu, ale poprzez bezpośrednie oddziaływanie na mózg – sztuczną stymulację neuronów w obszarze odpowiedzialnym za uczenie się śpiewania.

A przecież nie wspomnieliśmy jeszcze o najważniejszej cesze neuronów – pobudliwości elektrycznej. Przez pobudzone komórki przepływają sygnały elektrochemiczne, których kulminacją jest potencjał czynnościowy. Kiedy potencjał czynnościowy dotrze do synapsy, czyli miejsca kontaktu jednego neuronu z drugim, neuroprzekaźniki przekażą wiadomość o bodźcu. Uważamy sygnały elektrochemiczne za medium, przez które neurony się ze sobą porozumiewają. Badając je, chcemy zrozumieć „język", którym posługuje się mózg. Choć również inne komórki wykazują pobudliwość, czego najlepszym przykładem jest badanie EKG serca, które *de facto* obserwuje aktywność elektryczną mięśnia sercowego, to właśnie ta cecha wyróżnia najbardziej znane komórki układu nerwowego.

No właśnie, najbardziej znane – lecz nie jedyne. Sam Ramón y Cajal poświęcał czas na rysowanie nie tylko własnoręcznie wybarwionych neuronów, ale i komórek, które z neuronami bardzo blisko koegzystują. Tym komórkowym sąsiedztwom bliżej do dobrze nam znanych wspólnot mieszkaniowych niż do pojedynczych domów rozsianych po rozległej wsi. Czym są komórki glejowe – „klej" mózgu, wspierający neurony i pełniący funkcję mózgowego czyściciela – i dlaczego coraz częściej się o nich mówi? Choć wzrost zainteresowania glejem jest widoczny już od wielu lat, ostatnie badania z udziałem pewnej przezroczystej rybki każą nam sądzić, że ich rola w przetwarzaniu informacji nerwowej była mocno niedoceniona.

Skoki w osłonce

Zacznijmy jednak od kilku dobrze zrozumianych faktów, które dadzą nam historyczny obraz tego, jak postrzegano glej. Choć wspomniana elektryczna pobudliwość neuronów pozwala im na szybkie przesyłanie sygnałów, czasami może nie być to wystarczające. Od tego, jak sprawnie zwierzę zareaguje, zależy jego życie. Zaś droga, jaką musi pokonać informacja o zagrożeniu – od zmysłów do tych obwodów mózgu, które odpowiadają za podejmowanie decyzji i poruszanie się organizmu – wymaga czasu. Ewolucja wprowadziła więc usprawnienie w postaci osłonki mielinowej w neuronach – i jest to na tyle efektywne rozwiązanie, że prawdopodobnie pojawiło się w ewolucji układów nerwowych niezależnie: u kilku grup pierścienic, owadów i wszystkich kręgowców (w tym nas).

Osłonka mielinowa pozwala na skokowe przesyłanie sygnałów elektrycznych wzdłuż aksonu – długiej wypustki przypominającej kabel, którą neuron-nadawca łączy się z komórką-adresatem. W neuronach niezmielinizowanych, czyli nie osłoniętych mieliną, jony sodu i potasu, odpowiadające za transport sygnału w obrębie komórki, przebywają całą trasę od początku aż do zakończenia aksonu, gdzie mieści się synapsa. Ich przepływ możemy identyfikować z prądem, podobnie jak przepływ elektronów w obwodach elektrycznych. Na drodze napotykają jednak opór, mogą też wyciekać przez błonę komórkową, co zmniejsza siłę przesyłanego sygnału, a proces generowania potencjału czynnościowego jest kosztowny i czasochłonny. Osłonka mielinowa izoluje akson – przez co bywa porównywana do izolacji kabla elektrycznego – umożliwiając regenerację sygnału w określonych niezmielinizowanych miejscach, zwanych węzłami Ranviera. Tam potencjał czynnościowy jest odnawiany i informacja przeskakuje do kolejnego węzła dziesiątki lub setki razy szybciej, niż gdyby akson nie posiadał izolacji (z prędkością 50-150 metrów na sekundę).

Ale czym jest osłonka mielinowa? U kręgowców mielinizacja neuronów zaczyna się wcześnie na etapie rozwoju i polega na owijaniu neuronów cienkimi warstwami błony komórkowej komórek glejowych (oligodendrocytów w mózgu i rdzeniu kregowym oraz komórek Schwanna na peryferiach układu nerwowego). W miejscach owiniętych glejem błona komórkowa neuronów jest niepobudliwa, co prowadzi do skokowego przesyłania sygnału. W wielu sytuacjach to nie fizjologia samych neuronów, lecz nieprawidłowe formowanie się osłonki wokół nich, prowadzi do przeróżnych chorób neurologicznych.

Komórki pod opieką

Inne typy gleju, które ze względu na ich gwieździstą budowę nazywamy astrocytami, pomagają neuronom zachować równowagę chemiczną w trakcie przesyłania informacji. Kiedy generowany jest potencjał czynnościowy, dochodzi do przetasowania jonów wewnątrz i na zewnątrz komórek – sód masowo napływa do środka neuronów, a chwilę później wypływa z nich potas, równoważąc dodatni ładunek wprowadzany przez jony sodu. To sprowadza neuron do swojego poziomu bazowego, gdy może oczekiwać na przekazanie kolejnego sygnału.

Jednakże konfiguracja jonów została zaburzona i aby komórki mogły dalej działać, stężenia jonów sodu i potasu w neuronach i na zewnątrz nich muszą wrócić do poprzednich wartości. Między innymi w tym pomagają astrocyty, które posiadają kanały jonowe i są zdolne wykryć zwiększone stężenie potasu w przestrzeni międzykomórkowej. Pobierają one nadmiar jonów potasu i transportują go do pobliskich naczyń krwionośnych lub magazynują.

Oprócz tego komórki glejowe chronią neurony przed toksycznym nadmiarem różnych substancji chemicznych, którymi neurony komunikują się ze sobą. Na przykład tzw. komórki glejowe Bergmanna w móżdżku posiadają receptory glutaminergiczne – wykrywają jeden z popularnych neuroprzekaźników, glutaminian, i przekształcają go do glutaminy. To pomaga również w recyklingu związków chemicznych – glutamina jest następnie ↦

Danio rerio na obrazie wykonanym w tzw. mikroskopie konfokalnym, pozwalającym na przedstawianie obiektów w trzech wymiarach.

NATIONAL INSTITUTES OF HEALTH / EAST NEWS

wysyłana z powrotem do neuronów i przekształcana kolejny raz do glutaminianu. Zapobiega to toksycznemu działaniu glutaminianu w przestrzeni zewnątrzkomórkowej. Astrocyty czynią podobnie z dopaminą, serotoniną i innymi substancjami uwalnianymi przez neurony.

Jak łatwo zauważyć, nawet gdy opisywałem funkcję komórek glejowych, skupiłem się głównie na roli neuronów w przekaźnictwie nerwowym i tym, jak fizjologia gleju wspiera te procesy. A czy moglibyśmy zmienić naszą perspektywę? Co by się stało, gdybyśmy pomyśleli o komórkach glejowych nie tylko jako o „piastunkach" neuronów, ale jako o jednostkach przesyłających informację?

CAJAL INSTITUTE / NEI / DOMENA PUBLICZNA

Santiago Ramón y Cajal, profesor anatomii i histologii na Uniwersytecie w Walencji, autor rysunku (pierwszego z prawej) neuronów łączących się z komórkami siatkówki oka, ok. 1885 r.

Na sąsiedniej stronie: Komórki móżdżku pod mikroskopem. Turkusowym kolorem oznaczono komórki Purkinjego, będące rodzajem neuronów. Przy pomocy swoich wypustek (dendrytów) tworzą połączenia z synapsami innych neuronów móżdżku.

Złudzenia przezroczystej rybki

Wśród popularnych organizmów modelowych neurobiologii znajdziemy małą rybkę *Danio rerio*, znaną również z akwariów. Choć przebadano różne jej stadia rozwoju, neuronaukowców najbardziej interesuje stadium larwalne, gdy danio ma ok. 6-8 dni i ok. 6 mm długości. Danio nie przypomina wtedy dorosłych osobników, ale odznacza się bardzo ważną cechą: jej półprzezroczyste ciało pozwala zobaczyć znajdujące się wewnątrz organy – choćby bijące serce czy naczynia krwionośne.

Ułatwia to również obrazowanie mózgu, czyli obserwowanie aktywności komórek nerwowych w czasie. Dzięki manipulacjom genetycznym jesteśmy w stanie wprowadzić do neuronów białko, które pod wpływem zewnętrznego bodźca sygnalizuje przepływ informacji przez neurony poprzez zwiększanie lub zmniejszanie intensywności świecenia zależnie od stanu komórki.

Metodę tę nazywa się mikroskopią wielofotonową. W przypadku innych gatunków często musimy dokonywać dodatkowych operacji, by móc w ten sposób obserwować mózg. Z danio sprawa jest prostsza. Choć rybka pozostaje unieruchomiona, może poruszać swoim ogonkiem, co przyjmuje się za odpowiednik pływania – wystarczy oświetlić rybkę warstwą światła i zebrać płynącą z aktywnych komórek nerwowych odpowiedź – fluorescencję. Dzięki temu jesteśmy w stanie zapisywać sygnały z tysięcy neuronów naraz. Biorąc pod uwagę, że cała rybka ma ok. sto tysięcy neuronów, jest to niesamowita okazja do obserwowania, co dzieje się w różnych obszarach układu nerwowego podczas konkretnych zachowań, takich jak polowanie, poruszanie się czy podejmowanie decyzji.

Odpowiednie manipulacje genetyczne pozwalają pod mikroskopem wielofotonowym obserwować również astrocyty. W ten właśnie sposób odkryto, że te komórki glejowe mogą zbierać informacje, których akumulacja prowadzi do decyzji: poddać się, czy płynąć dalej.

Rybka jest pod nieustannym wpływem przemieszczających się mas wody (z powodu prądów czy fal), potrafi jednak oszacować, jak daleko podryfowała od poprzedniej pozycji i próbuje przemieścić się tam z powrotem. Podobny efekt można wywołać, pokazując jej poruszające się naprzemienne czarne i białe paski płynące do przodu – tak jakby wywołując u niej wrażenie, że porusza się z prądem. Danio próbuje zminimalizować efekt tego bodźca poprzez intensywne, ale krótkotrwałe ruchy. Moglibyśmy to porównać do pogoni za uciekającym pociągiem.

Co rządzi zachowaniem

Tę reakcję (zwaną odpowiedzią optomotoryczną) można również badać u unieruchomionej rybki, obserwując próby płynięcia, sprowadzające się do poruszania ogonkiem. W eksperymencie możemy manipulować bodźcem wzrokowym. W przypadku unieruchomionej rybki, aby mogła ona odczuwać (pozorne) efekty swych działań, bodziec wzrokowy w postaci napływających pasków musi zwalniać, gdy rybka próbuje go doścignąć.

Możemy też zaaranżować taką sytuację, w której kolejne machania ogonkiem nie przynoszą oczekiwanego rezultatu – prezentowany bodziec porusza się tak samo szybko jak przedtem. Jak wówczas zareaguje rybka? Poddaje się i nie podejmuje kolejnych prób płynięcia przez dłuższy czas – podobnie jak my, gdy biernie obserwujemy odjeżdżające nam ze stacji wagony.

Badacze z Kampusu Badawczego Janelia w amerykańskim Ashburn – ośrodka przodującego w badaniach neuronaukowych – zaobserwowali spadek aktywności neuronów, gdy larwa danio przechodziła ze stanu aktywnego (próba odpłynięcia) do pasywnego (poddanie się). Jednak w tym samym czasie aktywność komórek glejowych wzmagała się, co objawiało się rosnącym stężeniem w nich jonów wapnia. Działo się to na kilka sekund przed tym, jak rybka przechodziła w stan pasywny.

Aby sprawdzić, czy ta aktywność gleju ma jakiś przyczynowy wpływ na zachowanie rybki, przeprowadzono szereg eksperymentów. Laserowe usunięcie kilkuset astrocytów z obszarów bocznego tyłomózgowia doprowadziło do skrócenia okresu pasywnego u unieruchomionych rybek, jak i zwiększyło aktywność rybek pływających swobodnie. Usunięcie takiej samej liczby neuronów czy nawet

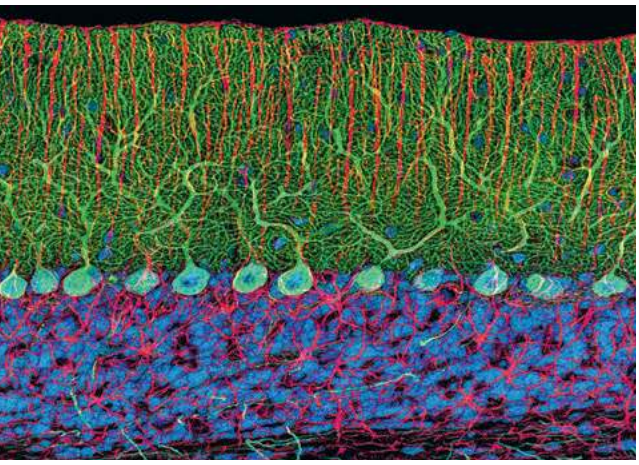

THOMAS DEERINCK / NCMIR / EAST NEWS

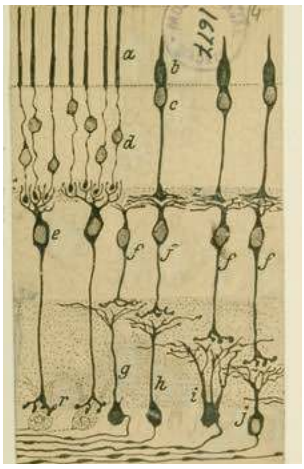

CAJAL INSTITUTE/ NEI / DOMENA PUBLICZNA

fragmentów przedniej części układu nerwowego, w której znajdują się obszary odpowiedzialne za widzenie, nie doprowadziło do podobnych efektów.

Opisany eksperyment był tylko jednym z wielu testów, które przeprowadzili badacze. Aplikując odpowiedni związek chemiczny do astrocytów, zablokowali również sygnalizację chemiczną wewnątrz nich – konkretnie to, jak wapń przemieszcza się między częściami komórek – co doprowadziło do wydłużenia okresów aktywnych u rybki.

Odwrotny efekt uzyskano, zwiększając stężenie wapnia w komórkach glejowych poprzez stymulację optogenetyczną (kontrolę zmodyfikowanych genetycznie komórek z użyciem światła) – rybki pływały mniej. Te zestawiono z badaniami kontrolnymi, w których podobne interwencje, choć związane z użyciem innej substancji lub oświetlanie innych struktur mózgu, nie wpłynęły na zachowanie rybki. Gdy zatem weźmiemy pod uwagę wszystkie te eksperymenty, wydaje się prawdopodobne, że astrocyty faktycznie są jednym z przystanków dla przesyłanej informacji.

Naukowcom udało się również zlokalizować adresatów sygnałów wychodzących z astrocytów. Były nimi... neurony. Pobudzanie tych towarzyszy gleju również doprowadziło do pasywności rybek.

Moda na glej

Ktoś mógłby powiedzieć więc, że historia zatoczyła koło – oto wracamy z powrotem do aktorów pierwszoplanowych, neuronów. Jednak warto się nad tym chwilę zastanowić. W nauce często wykonujemy konkretne eksperymenty na pewnym układzie, bo „tak jest wygodnie" – mamy do tego odpowiednie narzędzia i fundusze. Nie znam jednak żadnego naukowca, który określiłby przeprowadzany przez siebie eksperyment za „wymarzony". Zawsze można znaleźć jakieś zastrzeżenia i problemy, z którymi poradzić sobie może inne, być może sprytniejsze lub bardziej wyrafinowane badanie.

Nie inaczej jest z badaniami mózgu i astrocytami. Rzucające się w oczy własności komórek nerwowych i ich znacznie większe rozmiary mogły doprowadzić do początkowego braku zainteresowania glejem i tendencji badaczy do myślenia o mózgu i zachowaniu wyłącznie w kontekście neuronów. Opisane przeze mnie badanie zmienia naszą perspektywę. Komórki glejowe nie stanowią, jak mogliśmy zobaczyć, wyłącznie pasywnego rusztowania układu nerwowego.

Czy glej częściej powinien być głównym bohaterem badań układu nerwowego? Być może. Sama nauka, w tym neurobiologia, nie jest jednak wolna od trendów, które pchają dziedziny wiedzy w różnych kierunkach – które z kolei nowe pokolenia badaczy uważają często za błędne. Tak było np. z flogistonem w termodynamice (postulowanym nośnikiem energii) czy obecnie z teorią strun w fizyce cząstek i teorią zintegrowanej informacji w badaniach nad świadomością. Również w neurobiologii naukowcy postulowali, że więcej miejsca powinno poświęcać się pojedynczym komórkom nerwowym, konkretnym procesom, całym sieciom neuronów, oscylacjom w mózgu, zachowaniu zwierząt, glejowi...

Która z tych dróg jest „słuszna"? Czy w ogóle możemy zadać takie pytanie? W przypadku gleju prawdopodobnie poglądy badaczy zmienią się jeszcze wielokrotnie.

© DANIEL KOZŁOWSKI

REKLAMA

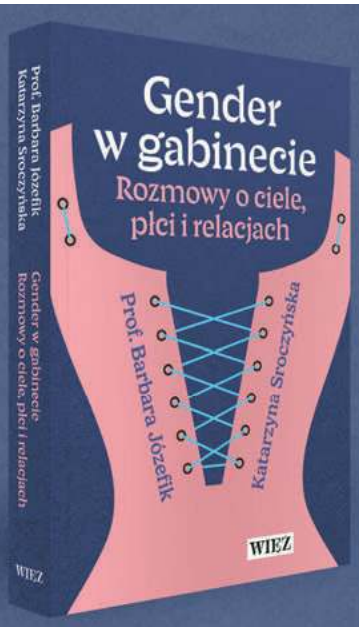

O sprawach płci odpowiedzialnie, rzetelnie i z wielkim wyczuciem

WIEŻ
WYDAWNICTWO.WIEZ.PL

Perspektywa feministyczna zostaje w tej książce osadzona w kontekście historycznym, socjologicznym i kulturowym. Dzięki imponującej erudycji prof. Barbary Józefik czytelnik otrzymuje pogłębiony opis „zjawisk genderowych", a dodatkowym walorem tej niezwykłej rozmowy jest spotkanie z myślą filozoficzną i antropologiczną od Platona i św. Augustyna po Judith Butler i Michela Foucaulta.

PROF. BOGDAN DE BARBARO

Jedne z najważniejszych książek o Ameryce, jakie napisano!

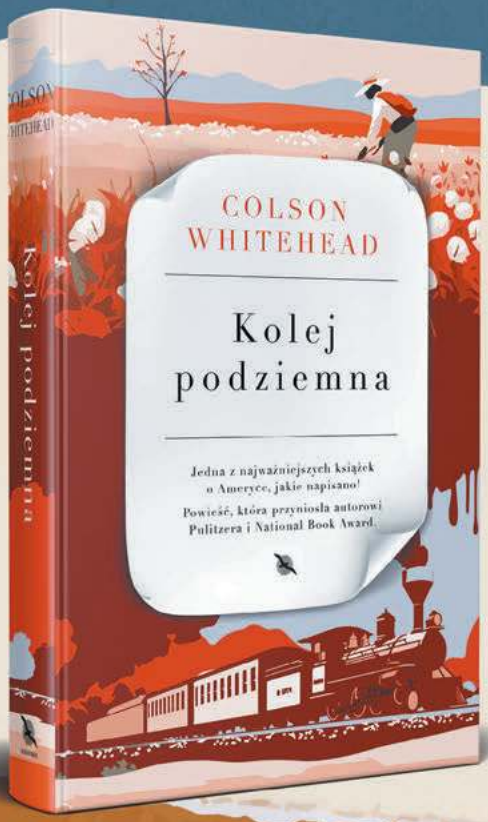

Powieść, która przyniosła autorowi Pulitzera i National Book Award.

Baśń o wolności i sile ducha.
Niezwykła mieszanka dokumentalnej prawdy i najbardziej wymyślnej fikcji.

Jeśli ktoś chce zrozumieć ten kraj, musi pojechać koleją. Pędząc przed siebie, wyjrzyjcie z wagonu, a zobaczycie prawdziwą twarz Ameryki.

„THE WASHINGTON POST"

Epicka saga uhonorowana Nagrodą Pulitzera.

Zainspirowana losami rodziny autora historia, która daje świadectwo sile ludzkiej pamięci i woli przetrwania.

Odyseja Afroamerykanów z ich rodzimego kontynentu do ziemi, której nie wybrali.

„THE WASHINGTON POST"

WYDAWNICTWO ALBATROS

KLASYKI ALBATROSA

REKLAMA

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Stoisko bukinistów przy nabrzeżu Sekwany w Paryżu

TYGODNIK POWSZECHNY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP" 46/2024

Codzienna walka

DOROTA MALINA

Jean-Baptiste Andrea, pisarz: Czytelnicy mówią mi: „Czegoś takiego się po Goncourcie nie spodziewałem" albo „Już dawno nie czytałam takiego Goncourta". A przecież dobrych powieści jest dużo, to literacki światek tworzy dość chłodny, nieprzystępny obraz literatury.

Jeszcze się taki nie urodził, żeby Goncourtom dogodził. Najbardziej prestiżowa francuska nagroda od zawsze wzbudza kontrowersje – stawka jest wysoka, bo to nie tylko prestiż, lecz także duże pieniądze. W gąszczu nagród literackich wyłącznie Goncourt gwarantuje wykładniczy wzrost sprzedaży. Laureat dostaje symboliczny czek na dziesięć euro, ale dzięki czerwonej banderoli „Prix Goncourt" ląduje pod wszystkimi choinkami.

Jeśli Francuz miałby przeczytać w roku tylko jedną książkę, to na pewno zda się na wybór Akademii Goncourtów. Liczby przyprawiają o zawrót głowy: „Anomalia" Hervégo Le Telliera (Goncourt 2020) sprzedała się w ponad milionie egzemplarzy, „Najskrytsza pamięć ludzi" Mohameda Mbougara Sarra (2021) – to 570 tys., natomiast laureat roku 2023, Jean-Baptiste Andrea, ma na koncie ponad 700 tys. sprzedanych egzemplarzy. Nie licząc tłumaczeń.

Wyjątek stanowiła Brigitte Giraud (Goncourt 2022), której „Żyć szybko" to „tylko" 200 tys. sprzedanych książek. I nieelegancka krytyka ze strony niektórych członków jury, m.in. Tahara Ben Jellouna, który publicznie wyraził niezadowolenie z werdyktu, mówiąc, że „to błaha książeczka, zupełnie bez stylu". Autobiograficznej opowieści o miłości i żałobie zarzucano brak epickiego rozmachu. ↦

CZTERNAŚCIE GŁOSOWAŃ | Rok później rozmachu nie brakowało. Na sześciusetstronicowej powieści Jeana-Baptiste'a Andrei „Czekając na nią" spotykamy niskorosłego rzeźbiarza, który ucieka do cyrku, arystokratkę, która psuje sobie cerę książkami, eleganckie salony, florenckie burdele, rzymskie Hollywood (Cinecittà) i watykańskie pałace. A wszystko to na tle wielkiej historii.

Książka porwała czytelników, jeszcze zanim Akademia przyoblekła ją w czerwoną banderolę: przed 7 listopada 2023 r. sprzedało się 50 tys. egzemplarzy. A zaraz potem dziesięć razy więcej, co zapewniło tytułowi wielomiesięczną obecność w księgarskich zestawieniach. W 2023 r. była to najlepiej sprzedająca się pozycja – przegonił ją tylko komiks „Asteriks. Biały Irys", ale z małym Galem nie da się konkurować, bo jest wszędzie, nawet w całodobowych delikatesach.

Nie znaczy to jednak, że wygrana Andrei była przesądzona. Tak jak w przypadku Brigitte Giraud dziesiątka akademików głosowała trzynaście razy. I ciągle był remis. Werdykt zapadł dopiero w czternastej turze – rozstrzygnął podwójny głos przewodniczącego. Faworytką bukmacherów była „bardzo literacka" książka Érica Reinhardta „Sarah, Susanne et l'écrivain" o kobiecie opowiadającej historię swojego życia pisarzowi. W recenzjach pojawiają się hasła „proustowski" i „metafikcja", co zawsze zwiększa szanse na nagrodę. Wydaje się natomiast – choć oczywiście nikt nie mówi tego otwarcie, żeby nie wyjść na snoba – że zmniejsza je dobra sprzedaż i popularność. Bo wartościowa literatura nie może być przecież łatwostrawna i porywająca. Musi stawiać opór, eksperymentować z językiem, zdania mają być długie, a tematy wzniosłe.

Tym razem Akademia Goncourtów, nie bez oporów, nagrodziła „Czuwając nad nią", czyli książkę, w której wszystko jest prawdziwe i dosłowne: twardy karraryjski marmur, skrzydła, na których bohaterka chce polecieć, a także czarne koszule wioskowych faszystów. Tylko Violę Orsini, Mimo Vitalianiego i miasteczko Pietra d'Alba wymyślił autor. I zrobił to tak przekonująco, że wielu nie uchroniło się przed guglowaniem.

CZTERNAŚCIE LISTÓW | Jean-Baptiste Andrea zdecydowanie powinien wydać autobiografię, bo jego losy potwierdzają frazes, że życie pisze najciekawsze historie. Jak na laureata Goncourtów przystało, udzielił już tylu wywiadów, że dość łatwo można je zrekonstruować.

Na świat przychodzi w 1971 r. w podparyskim Saint-Germain-en-Laye, ale dorasta w Cannes, gdzie do dziś mieszka (z przerwą na Paryż i Stany Zjednoczone, o czym za chwilę). To w cieniu palm i w szacownych murach Institut Stanislas odkrywa zamiłowanie do teatru i literatury. Pisze wiersze, jeden przynosi nawet na lekcję francuskiego i proponuje nauczycielce, żeby zamiast klasyków, to właśnie jego utwór analizowali na lekcji. Fascynuje się włoską sztuką, którą odkrywa podczas szkolnych wycieczek (Cannes od granicy z Włochami dzieli zaledwie sześćdziesiąt kilometrów) i w Abruzji, skąd pochodziła jego babcia.

Mimo ogromnej pasji do książek spełnia marzenia rodziców – studiuje handel i politykę na prestiżowych paryskich uczelniach. A potem próbuje pogodzić pasję z pieniędzmi i... wybiera kino. Jest reżyserem i scenarzystą, ma na koncie kilka filmów, m.in. horror „Droga śmierci" oraz czarną komedię „Big Nothing" (doskonale zna angielski).

Nie porzuca jednak marzeń literackich. Pisze powieść „Ma reine" („Moja królowa"), którą rozsyła do wydawców. Dostaje czternaście listów odmownych. Tak, listów, bo Francuzi trzymają formę i swoje „Thanks, but no thanks" przysyłają na kredowym papierze. Wreszcie trafia na swoją dobrą wróżkę, Sophie de Sivry, założycielkę i prezeskę wydawnictwa L'Iconoclaste. De Sivry zaprasza go do swojej stajni i szybko okazuje się, że obstawiła czarnego konia – powieść czterdziestosześcioletniego debiutanta zgarnia mnóstwo nagród (m.in. Femina des lycéens, Prix du premier roman, Prix Alain-Fournier, Prix de la Fondation Jacqueline de Romilly).

Dwie kolejne, „Cent millions d'années et un jour" („Sto milionów lat i jeden dzień") z 2019 r. oraz „Des diables et des saints" („O diabłach i świętych") z 2021 r. też zostają doskonale przyjęte. No a czwarta, „Czuwając nad nią", w listopadzie 2023 r. rozbija bank. Czego wydawczyni i przyjaciółka autora niestety nie doczekała – w maju 2023 r. po ciężkiej chorobie umiera na nowotwór. Odbierając nagrodę, Andrea ze wzruszeniem wspomina kobietę, której tak wiele zawdzięcza.

CZWARTA STRONA OKŁADKI | Książkę dedykuje jednak Berenice, swojej partnerce, która zajmuje się garncarstwem i ceramiką. Główny bohater powieści, Michelangelo Vitaliani, zwany Mimo, jest rzeźbiarzem. Tak jak jego wielki renesansowy imiennik wydobywa z bloków marmuru mięśnie, żyłki i emocje. Ma ogromny talent i mikry wzrost, który jeszcze utrudnia mu i tak skomplikowany start. Wbrew przeciwnościom losu wywodzący się z biednej rodziny Mimo zdobywa najwyższe laury, rzeźbi dla rodu Orsinich, Watykanu i Mussoliniego (a przynajmniej dostaje od niego zamówienia).

Najważniejsze dzieło jego życia, Pietà, wzbudza w ludziach tak silne emocje, że Watykan zamyka je pod kluczem (a czytelnik przez całą książkę stara się odgadnąć dlaczego). Tak jak autor zawdzięcza wszystko Sophie de Sivry, Mimo nie zostałby wielkim rzeźbiarzem bez Violi Orsini, arystokratki, z którą połączy go wieloletnia przyjaźń. Choć, jak czytamy na czwartej stronie okładki, „tych dwoje nigdy nie powinno się spotkać". Mimo pracuje przy remoncie willi Orsinich, w której Viola, w oczekiwaniu na zamążpójście, mieszka. Spotykają się w dość niesamowitych okolicznościach i już na zawsze pozostaną dla siebie ważni.

I chociaż markiza Orsini nazywa Mima „odrażającym małym stworzeniem" i twierdzi, że córka ma szczęście, że jej nie zgwałcił, Viola regularnie wymyka się z nim na schadzki. Umawiają się na cmentarzu, gdzie dziewczyna przynosi mu książki i wieści z wielkiego świata. Viola nie chce bowiem podzielić losu markizy – siedzieć i pachnieć, od czasu do czasu rodząc dzieci. Jest głodna wiedzy, ciekawa świata, chce podróżować, latać i wyzwolić się z tyranii patriarchatu.

„Skąd to wszystko wiesz?" – pyta ją Mimo, kiedy dziewczyna tłumaczy mu wojenne sojusze. „Czytam gazety. Nie wolno mi, mama mówi, że to niszczy cerę młodych dziewcząt". Sprytna Viola wykupuje jednak wyrzucony przez ojca „Corriere della Sera" od ogrodnika. Wiadomo – kobiety, które czytają, są niebezpieczne. I Violę w końcu udaje się spacyfikować. Ale – szczęśliwie – niej jest to koniec jej historii. ©

DOROTA MALINA: Miesiące po Goncourcie to literackie tournée pełne spotkań i wywiadów. Pańskie właśnie dobiega końca. Jak się Pan czuje?

JEAN-BAPTISTE ANDREA: Jest garstka laureatów, która bardzo źle znosi Goncourta. Może związane jest to z wiekiem, w którym go otrzymują, albo z ogólnym stanem emocjonalnym – doświadczenie rzeczywiście jest niesamowite. Człowieka porywa ogromna fala, wszystko jest intensywne, nowe i ekscytujące. Nigdy nie przypuszczałem, że i mnie przypadnie to w udziale.

Czy przez ten rok miał Pan w ogóle możliwość, by pisać?

Absolutnie nie. Ale ja i tak nie kontroluję tego, kiedy piszę. Pewnego dnia wpadam na pomysł i zaczynam. Aktualnie nie mam żadnego, nie sądzę jednak, żeby było to związane z Goncourtem. Za każdym razem, kiedy kończę książkę, zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek coś napiszę. Trzeba być cierpliwym i wykazać się pokorą.

Czeka Pan zatem na przypływ inspiracji.

Tak, co nie znaczy, że jestem całkiem bierny. Obserwuję rzeczywistość.

Nie wierzy Pan w pisarską dyscyplinę?

Po prostu u mnie to nie działa. Kiedy pisałem scenariusze w tandemie, faktycznie pracowałem codziennie. Teraz mam wrażenie, że lepiej, żebym robił co innego, odpoczywał, przyglądał się światu. Kiedy już mam pomysł, wtedy praktycznie nie odrywam się od klawiatury.

„Czuwając nad nią" to powieść historyczna, która wymagała pogłębionej kwerendy.

Owszem, po raz pierwszy stworzyłem fresk historyczny, ale pisałem o sprawach, okresach i regionach, którymi od dawna się interesuję. Czasy totalitaryzmu dogłębnie badałem na studiach. Włochy to kraj, który dobrze znam. Często tam jeżdżę, mam włoskie korzenie. W sztuce renesansu też całkiem nieźle się orientuję – nie jestem oczywiście ekspertem, ale bardzo ją cenię. Krótko mówiąc, sprawdzałem tylko to, co było mi potrzebne.

Na przykład rok wprowadzenia na rynek styropianu.

CELINE NIESZAWER / MATERIAŁY PRASOWE WYD. ZNAK

Jean-Baptiste Andrea. 11 września 2023 r.

Żeby czegoś nie przeinaczyć, czytałem sporo o Piecie Michała Anioła. Sprawdzałem, czy podróżowała. Okazało się, że w 1964 r. pojechała do Stanów Zjednoczonych i właśnie przy tej okazji użyto nowego materiału, jakim był styropian. Wykorzystałem ten fakt w książce, ale natknąłem się na niego przez przypadek. Wydał mi się ciekawy – dziś styropian bierzemy za pewnik, ale przecież nie zawsze go mieliśmy.

Nie kusiło Pana, by przekuć ten pomysł na scenariusz filmu?

Parę lat temu przestałem pisać scenariusze. W 2016 r. sprzedałem dwa ostatnie projekty seriali i od którejś z wielkich platform, chyba od Amazona, usłyszałem: „Bardzo nam się podobają, ale są zbyt oryginalne". To mnie przerosło. Wtedy powstała moja pierwsza powieść. Nie musiałem się nikomu tłumaczyć, zastanawiać, ile będzie kosztowała każda scena i w którym momencie widz może się znudzić. Jako pisarz czuję się wolny. Tej swobody w kinie nigdy nie zaznałem.

Wielu pisarzy robi odwrotnie. Wolą pisać scenariusze seriali, bo w ten sposób mogą trafić do większej publiczności.

Sprzedałem we Francji 700 tysięcy egzemplarzy swojej książki. Niełatwo przyciągnąć do kina 700 tysięcy widzów.

Pańska książka jest wyjątkiem.

Tak, miałem szczęście. Prawdą jest, że Francja to kraj literatury, ale nie ma co się łudzić – statystyczna książka sprzedaje się u nas w tysiącu, dwóch tysiącach egzemplarzy. Więc gdyby moim celem było zarabianie pieniędzy, nigdy nie zacząłbym pisać. Sam mam wielu znajomych pisarzy, którzy jak tylko napiszą książkę, marzą o adaptacji filmowej, bo nie znają realiów tego przemysłu. Ja je znam. Miałem tam swoje wzloty i upadki. Chciałem iść dalej.

W powieści także jest muzyka, montaż. Pojawiają się twarze, które każdy może sobie wyobrazić i nie potrzebuje do tego aktorów. Nic nie jest ustalone raz na zawsze, książkę można czytać wiele razy, dowolnie ją reinterpretować. Mnie to zachwyca.

Uważa Pan więc, że literatura to sztuka szlachetniejsza od kina?

Nie powiedziałbym, że bardziej szlachetna, ma większą moc oddziaływania. Choć dużo trudniej zrobić dobry film, niż napisać dobrą książkę. Proszę przypomnieć sobie reżyserów, których debiut panią zachwycił. Często pierwszy film jest najbardziej osobisty, nikt nie wywiera na reżysera nacisków, bo budżet z reguły jest skromny. Kolejne filmy często rozczarowują. Z literaturą jest inaczej.

Owszem, zdarza się, że któraś książka ulubionego autora mniej przypadnie pani do gustu, ale częściej mamy do czynienia z rozwojem i długim trwaniem. Na rynku literackim znacznie łatwiej się utrzymać, bo nie ma tak ogromnej presji jak w kinie. Nie ma też dwudziestotysięcznej publiczności próbnej, która mówi pani wprost, co myśli. W kinie organizuje się takie pokazy i kiedy przychodzą złe recenzje, należy inaczej nakręcić albo zmontować sceny. Ciągłe drobne kompromisy i ustępstwa osłabiają pierwotny pomysł.

Tyle że w Polsce poziom czytelnictwa jest dość niski.

We Francji jest niewiele lepiej.

Niemożliwe, we Francji wszyscy czytają!

Tymczasem ja ciągle słyszę narzekania, że czytamy coraz mniej. Powiem pani, że jestem wielkim przeciwnikiem tych biadoleń, bo zamieniają się w samospełniające się przepowiednie. Mówienie, że ludzie nie czytają, w pewnym sensie daje im przyzwolenie, żeby nie czytać. Nieczytanie staje się normą. Uważam, że należy ↦

wzmacniać pozytywny przekaz, propagować czytelnictwo.

Jest jeszcze jeden problem: wielu ludzi ma dość stereotypowy obraz literatury. Przekonałem się o tym właśnie po Goncourcie. Czytelnicy na spotkaniach bardzo często mówili mi: „Nie sądziłem, że jestem w stanie przeczytać Goncourta" albo „*Tego* się po Goncourcie nie spodziewałem" albo „Już dawno nie czytałem *takiego* Goncourta". Choć *takich* Goncourtów jest dużo. Problem polega na tym, że najgłośniej mówi paryski światek literacki, a on tworzy dość chłodny, żeby nie powiedzieć: wrogi, obraz literatury.

Walczy Pan z nim?

W dzień otrzymania nagrody zdałem sobie sprawę, że całe życie prowadzę heroiczną walkę. Dokładnie od dnia, kiedy jako dziewięciolatek powiedziałem: „Chcę być poetą". A potem: „Chcę pisać, chcę opowiadać historie". I zewsząd słyszałem, że to nie jest zawód. Przez całe życie słyszałem od nauczycieli, od rodziców (którzy, rzecz jasna, mówili to z miłości): „Czemu ty tak ciągle siedzisz w kącie i skrobiesz?". Znajomi mieli pięciocyfrowe pensje, a ja nie zarabiałem nic, ale i tak byłem szczęśliwy. Sukces przyszedł do mnie późno. I dopiero teraz, po tej wielkiej nagrodzie, wszyscy klepią mnie po plecach i mówią: tak, Francja to kraj literatów. Tymczasem status pisarza jest ogólnie bardzo niski. Nadal postrzega się nas w kategoriach wędrownych cyrkowców, dziwaków na marginesie społeczeństwa, którzy powinni znaleźć sobie prawdziwą robotę, jeśli nadal chcą zabawiać się pisaniem. W Europie żywo się teraz dyskutuje o statusie pisarza, o braku zabezpieczeń socjalnych i tak dalej.

A więc tak, walka z całym światem jest ważnym motywem mojej książki. Mimo Vitaliani walczy ze wszystkimi, łącznie z własnymi wątpliwościami, żeby stać się tym, kim chce.

Viola też walczy.

Oczywiście. Viola jest amalgamatem silnych kobiet, które mam w bliskim otoczeniu – matki, wydawczyni, żony. Mam szczęście przyjaźnić się z inteligentnymi mężczyznami, ale kiedy patrzę na społeczeństwo jako ogół, przytłacza mnie męska głupota. Moja matka była silną feministką i wychowała mnie tak, że długo nie zdawałem sobie sprawy, jak brutalni i tępi mogą być faceci.

Postać Violi jest zatem hołdem na cześć wszystkich ważnych dla mnie kobiet. I kiedy analizuję sytuację kobiet w latach 20. XX wieku i dziś, z przerażeniem stwierdzam, że postęp, owszem, jest, ale kosmetyczny. Dziś kobiety ciągle zarabiają mniej. Jasne, mogą głosować i mają więcej praw, ale kwestie fundamentalne pozostają nierozwiązane. Kobietom nadal trudniej jest zdobyć dobrą posadę czy wynagrodzenie. Tak nie powinno być. W losach Violi chciałem przedstawić tę kobiecą walkę, którą podziwiam oczami Mima. © Rozmawiała DOROTA MALINA

Jean-Baptiste Andrea
CZUWAJĄC NAD NIĄ
przeł. Beata Geppert
Znak 2024

REKLAMA

JULIEN DE ROSA / AFP / EAST NEWS

Kamel Daoud, laureat Nagrody Goncourtów. Paryż, 4 listopada 2024 r.

Uśmiech Szeherezady

DOROTA MALINA

We Francji ogłoszenie laureata Nagrody Goncourtów to wielkie święto literatury, więc 4 listopada fraza „Kamel Daoud" padała w wiadomościach częściej niż „Kamala Harris".

Algierski pisarz od początku był faworytem. Choć przewodniczący kapituły Nagrody Goncourtów, Philippe Claudel, zastrzegał, że „to przede wszystkim wybór literacki", nikt nie ma wątpliwości, że był to również, o ile nie przede wszystkim, gest polityczny. I to taki, który mógł mieć realne konsekwencje – dzielnicowy komisariat został uprzedzony o możliwości zamieszek. Jury nagrodziło bowiem Algierczyka, który kala gniazdo, krytykując islamistyczną mizoginię i ślepą bigoterię. Aby dać głos tym, których algierski rząd ucisza, musiał przeprowadzić się do Francji.

Oczywiście polityczne nie wyklucza literackiego i Kamel Daoud, zdaniem niektórych, sprawnie je łączy. O podwójnej agendzie pisarza świadczą już zawarte w książce motta. Pierwsze z sumeryjskich mitów, drugie z algierskiej Karty Pokoju i Narodowego Pojednania. Uchwalony w 2005 r. dokument stał się podstawą amnestii islamskich bojowników odsiadujących wyroki za zbrodnie w czasie wojny domowej. Przytoczony przez Daouda artykuł 46 grozi długim więzieniem i wysoką grzywną każdemu, kto „przez swoje deklaracje wykorzystuje narodowe rany do osłabiania demokratycznych instytucji". Innymi słowy, w imię „narodowego pojednania" założono knebel wszystkim, którzy domagali się sprawiedliwości dla ofiar.

O tym właśnie traktuje nagrodzona powieść „Houris" (fr. „Hurysy"). Jej bohaterką jest Aube, właścicielka salonu fryzjerskiego Szeherezada, ofiara wojennej masakry. W 1999 r. islamiści napadli na jej miasteczko, wymordowali całą rodzinę, a pięcioletniej dziewczynce poderżnęli gardło. Aube cudem przeżyła, choć straciła głos, a na szyi została jej blizna, makabryczny siedemnastocentymetrowy „uśmiech", który wprawia przechodniów w zakłopotanie. Przypomina bowiem o tym, o czym chcą zapomnieć.

Aube ma ogromną potrzebę opowiedzenia o swojej tragedii. Kiedy więc przypadkowo zachodzi w ciążę, swój długi monolog kieruje do płodu. Do nienarodzonej córki, Hurysy, którą z pewnością „zabije z miłości", bo Algieria nie jest krajem dla kobiet.

Książka odważna i potrzebna – to nie ulega wątpliwości. Trzeba ją przeczytać, żeby zrozumieć rany współczesnej Algierii i zagrożenia radykalizmu. W tym kontekście wstyd zapytać, jak to się czyta. No ale skoro wybór był „przede wszystkim literacki", to można przecież zerknąć i na styl. A ten, niestety, męczy. Oczywiście, nie wszystkie książki muszą płynąć warto, nie można oczekiwać od prozy tylko przeźroczystego języka w stylu Annie Ernaux. Ciężki temat wymaga ciężkich narzędzi. Ale po 416 stronach na wysokim C – alegorie, metafory plus dość zawiła struktura narracyjna – czytelniczka, przynajmniej pisząca te słowa, jest jednak zmęczona.

Zdaniem Marguerite Duras „pisanie jest bezgłośnym krzykiem", którego mamy obowiązek słuchać. Cóż, nikt nie obiecywał, że będzie miło. ©

KATARZYNA KUKIEŁKA / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU CONRADA

Nowe przygody Mistrza Eckharta

ANTOINE SÉNANQUE, PISARZ:

Francuski duch laickości niemal instynktownie odrzuca organizację religijną. Ale można być spragnionym duchowości, nawet jeśli nie chodzi się na coniedzielną mszę.

SZYMON ŁUCYK: Czytając „Krzyże z popiołu", wędrujemy razem z bohaterami powieści po zakamarkach dominikańskiego klasztoru. Skąd u Pana, z wykształcenia lekarza neurologa, taka znajomość tajników klasztornego życia?

ANTOINE SÉNANQUE: Razem z żoną lubimy podróżować szlakiem kościołów romańskich i średniowiecznych opactw. Z tym właśnie zajęciem wiąże się mój pisarski przydomek. Sénanque to miejsce niedaleko Awinionu, gdzie mieści się jedno z najpiękniejszych opactw cysterskich w Prowansji. Wiosną otoczone jest kwitnącymi polami lawendy. Uwielbiam je odwiedzać.

Jestem chrześcijaninem – wierzę w Boga, choć nie praktykuję. Moje lektury mają przeważnie charakter duchowy. Tuż przed snem zwykłem czytać któreś z kazań mistyka i teologa Mistrza Eckharta, który jest także głównym bohaterem mojej powieści.

Powieść przenosi czytelników do apokaliptycznego wieku XIV: czasów inkwizycji, herezji i epidemii dżumy, która zdziesiątkowała Europę. Z powodu tej scenerii i sensacyjno-filozoficznego charakteru obu książek francuscy krytycy porównują często „Krzyże z popiołu" do „Imienia róży" Umberto Eco.

Muszę się przyznać, że nie czytałem dotąd „Imienia róży"! Choć teraz, z powodu głosów recenzenckich, w końcu zapewne sięgnę po tę powieść. Znam jej fabułę, widziałem ekranizację „Imienia róży" z Seanem Connerym w roli głównej – jestem wielkim fanem tego aktora.

Co prawda obie historie dzieją się w wieku XIV, ale obrałem całkiem inną ścieżkę niż Eco. W „Krzyżach z popiołu" nie ma śledztwa detektywistycznego. Moim zamiarem było przybliżenie, w atrakcyjnej formie powieści przygodowej, postaci i myśli Mistrza Eckharta.

To postać barwna i tajemnicza: gwiazda teologii, charyzmatyczny dominikanin, profesor Sorbony. Porywał tłumy swoimi kazaniami głoszonym nie po łacinie, ale w języku ludu – czyli po niemiecku. W końcu jednak inkwizycja oskarżyła go o herezję. Przed prześladowaniami uchroniła go zapewne śmierć, skądinąd w niejasnych okolicznościach.

Kres życia Eckharta owiany jest tajemnicą. Dominikanin zaginął, nigdy nie odnaleziono jego ciała, nie wiadomo, gdzie został pochowany. Większość encyklopedii przyjmuje jako datę śmierci lata 1326-28. Pisząc o nim i jego filozofii sprzed 1326 r., trzymałem się faktów. Wszystko, co zdarzyło się potem, jest czystą fikcją – czyli moim wyobrażeniem na temat tego, jak mogły wyglądać ostatnie lata jego życia.

Pamiętam, że po raz pierwszy zetknąłem się z Eckhartem całkiem przypadkowo 30 lat temu, w pewnej księgarni. Na początku kompletnie niczego z jego pism nie rozumiałem. Ale jego mowy przenikał duchowy płomień, podobny do tego, który wyczuwałem w klasztorach cystersów. Dlatego pomyślałem sobie, że Eckhart i ja mamy ze sobą coś wspólnego. Studiowałem więc jego pisma przez wiele lat, aż wreszcie zacząłem lepiej go pojmować.

Eckhart głosił konieczność wyrzeczenia się wszystkiego oprócz Boga, nie tylko dóbr materialnych, lecz także duchowych. Jak to rozumieć?

ANTOINE SÉNANQUE (ur. 1959) – francuski pisarz i lekarz neurolog, autor powieści i esejów. Jako prozaik zadebiutował w 2004 r. W tym roku ukazała się po polsku jego powieść awanturnicza z wątkiem filozoficznym „Krzyże z popiołu", dobrze przyjęta przez francuską krytykę. Sénanque otrzymał za nią nagrodę Polski Wybór Nagrody Goncourtów (2023). Gość tegorocznego Festiwalu Conrada.

Antoine Sénanque
KRZYŻE Z POPIOŁU
przeł. Monika Szewc-Osiecka
Znak Horyzont 2024

Dla Eckharta „oderwanie", jak to określał, nie jest celem samym w sobie, ale środkiem do tego, co najważniejsze, czyli zjednoczenia się z Bogiem albo wręcz – przemienienia się w Boga. Według niego to przepis na spełnione życie dla każdego, nie tylko dla wybranych.

Wysoko postawiona poprzeczka.

Stąd jego nauczanie nie mogło podobać się Kościołowi, który po śmierci Eckharta potępił część jego pism. Oderwanie, czyli skrajna asceza, przypomina nieco zalecenia buddyjskie. Trzeba odłożyć na bok nie tylko wszystkie troski materialne, ale i potrzeby duchowe. Chodzi o wytworzenie w sobie duchowej pustki, pozbycie się wiary, nadziei czy nawet samego pragnienia połączenia się z Bogiem. Zdaniem Eckharta, aby Stwórca mógł się na nowo objawić człowiekowi, powinien on mieć wewnątrz siebie zupełną pustynię.

Postulat „oderwania" wydaje się nierealny, by nie powiedzieć – szalony. W powieści doświadcza tego sam Mistrz Eckhart, kiedy spotyka na swojej drodze beginki. To okazuje się dla niego pułapką.

Trzeba wyjaśnić, że beginki były w XII-XIV wieku pobożnymi kobietami mieszkającymi we wspólnotach, głównie na zachodzie Europy, na terenie dzisiejszej Belgii, Holandii i Niemiec. Zobowiązywały się do życia w czystości, ale nie składały ślubów zakonnych. W pewnym sensie wyprzedzały swoją epokę – utrzymywały się z prostych prac: krawiectwa, opieki nad potrzebującymi. Dziś jeszcze można oglądać dawne domy beginek (beginaże) w belgijskiej Brugii.

Warto poczytać ich poematy. Należą one, moim zdaniem, do szczytowych osiągnięć duchowości. Beginki pisały piękne wiersze i pieśni, w których opiewały mistyczne połączenie z Bogiem przez miłość w sposób niezwykle zmysłowy.

„Okryj mnie płaszczem Twego bezmiernego pragnienia"...

Właśnie! Tego rodzaju wiersze ściągnęły na nie oskarżenia o herezję ze strony inkwizycji. Wybitna beginka, Małgorzata Porete, zginęła spalona na stosie w Paryżu.

Zanim do tego doszło, Kościół próbował sprowadzić kobiety na „dobrą drogę".

Dlatego wysłał do nich kaznodziejów dominikańskich, a wśród nich właśnie Eckharta, co kazało się błędem. Jemu blisko było bowiem do mistyki beginek, nawet jeśli nad drogę miłości przedkładał drogę poznania. Na kartach powieści próbuję wyobrazić sobie spotkanie Mistrza Eckharta z beginką Matyldą, postacią stworzoną na kanwie życiorysów innych sióstr. Duchowe oczarowanie kobietą poddało ostatecznie ciężkiej próbie teorię czystego oderwania.

Powieść zaczyna się dwadzieścia lat po szczycie zachorowań na dżumę. Bohaterowie chodzą wśród grobów ofiar zarazy. Na ile tę traumę można porównać do efektów ostatniej pandemii?

Muszę wyjaśnić, że zacząłem pisać moją powieść jeszcze przed pandemią covidu, choć kontynuowałem ją już w jej trakcie. Pamiętajmy, że czarna śmierć zabiła dwie trzecie Europejczyków. W tym sensie trudno ją porównywać do pandemii – nie były to absolutnie plagi o tej samej skali.

Wspólna była natomiast atmosfera. Wielki strach, izolacja w domach, nieufność do drugiego człowieka jako potencjalnego źródła zarazy – to rzeczy uniwersalne.

Narrator powieści mówi: „Ludzie unikali się nawzajem i zakrywali twarze. Społeczeństwo rozpadło się w drobny mak". I dalej o tym, że epidemia atakowała nie tylko ciała, ale i dusze.

Czarną śmierć postrzegano powszechnie jako karę Bożą. Dlatego uważano, że unicestwia nie tylko ciało, ale i duszę. Dla ludzi wieków średnich był to znak nadciągającej apokalipsy. Dziś w zlaicyzowanym świecie nie patrzymy w ten sposób na wirusy. Tutaj tkwi fundamentalna ↦

REKLAMA

HUMOR ZZA KULIS
Jacek Szczerba

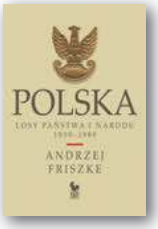

POLSKA. LOSY PAŃSTWA I NARODU 1939-1989
Andrzej Friszke

PARYŻ. PRZEWODNIK LITERACKO-HISTORYCZNY
Krzysztof Lubczyński

FLIRT Z PARALIPOMENĄ. MITOLOGIE
Jan Gondowicz

ALFABET POLIFONICZNY
Tomasz Jastrun

ORKIESTRA ULICZNA Z CHMIELNEJ
Maciej Klociński

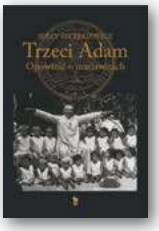

TRZECI ADAM. OPOWIEŚĆ O MARIAWITACH
Jerzy Pietrkiewicz

PODRÓŻ ROMANTYCZNA
Marcin Król

CZYTAJCIE KSIĄŻKI ISKIER
ISKRY

Zeskanuj

ZAJRZYJ NA:
www.iskry.com.pl
Wydawnictwoiskry
wydawnictwoiskry

↦ różnica między średniowieczem a naszą epoką.

Bohater powieści, dominikański przeor Wilhelm, uczeń Mistrza Eckharta, jest jednym z ocalałych. To doświadczenie łączy go z innymi ludźmi.

Dostrzegam tu jakiś rodzaj braterstwa tych, którzy przeszli wspólnie apokaliptyczną katastrofę. Dwie główne postaci powieści: Wilhelm i jego wróg, wielki inkwizytor Ludwik, nie mogą do końca się nienawidzić, bo zachowują wspólnotę losu z czasów epidemii. Nie można czegoś podobnego wymazać z pamięci. Należą do tych nielicznych, którzy ocaleli – i to ich zbliża, mimo że toczą ze sobą walkę.

Pisząc powieść, interesowałem się też medycznym aspektem dżumy. Może nie zdajemy sobie sprawy, że dżuma wciąż istnieje i pewne jej formy są nadal śmiertelne, choć mamy przeciw niej szczepionki. Na świecie notuje się rocznie dziesiątki, a może setki zmarłych na nią osób. Największym ogniskiem dżumy jest dziś Madagaskar.

Ale nawet w Europie, np. w Alpach, napotykamy świstaki pogryzione przez pchły, które mogą przenosić dżumę. Wiele wskazuje na to, że właśnie za sprawą tych gryzoni myśliwi zarazili się wirusem w średniowieczu.

Mroczną atmosferę powieści rozświetla blask przyjaźni między młodymi mnichami – Antoninem i Robertem. Pierwszy uwielbia księgi i pracę w skryptorium, drugi – nie umie czytać i woli gospodarskie zadania. Mimo to łączy ich coś bardzo mocnego.

Ten temat jest dla mnie bardzo ważny, przyjaźń jest czymś tajemniczym. Bardzo lubię zgłębiać jej sekret w moich książkach. W miarę pisania wątek Antonina i Roberta zaczął się rozrastać, choć na początku chciałem się skupić tylko na losach Eckharta. Przyjaźń mnichów wymyka się rozumowi, zgodnie z powiedzeniem Michela de Montaigne'a o jego więzi z Étienne'em La Boétie: „bo to był on, bo to byłem ja". Wiara Antonina jest intelektualna, wiara Roberta – prosta, mocno trzymająca się ziemi. Mimo to łączy ich coś silnego.

Antonin, syn lekarza, nie tylko lubi księgi, ale też zajmuje się w klasztorze leczeniem współbraci, bardzo dobrze zna właściwości ziół. W dodatku ma bardzo podobne imię do Pańskiego. Czy Antonin to Pańskie alter ego?

Antonin nieco mnie przypomina, bo pochłania go duchowość i ówczesna medycyna – przede wszystkim ziołolecznictwo kultywowane w średniowiecznych klasztorach. Ale, prawdę mówiąc, od Antonina wolę Roberta. Jego wiara jest nieco surowa, lecz czysta i mocna. „Wtrącam" go do karceru inkwizycji, aby pokazać, że mimo osamotnienia i opuszczenia nie porzucił praktyk duchowych. Potrafi nawet wygłaszać kazania do... karaluchów, które chodzą po jego więziennej celi.

Jak odebrano Pana powieść we Francji? Czy w jednym z najbardziej laickich krajów Europy życie chrześcijańskiego teologa spotkało się z zainteresowaniem czytelników?

„Krzyże z popiołu" czytano na dwa sposoby. Pierwszy był świecki: recenzenci widzieli w nich powieść przygodową, która zabiera czytelników w podróż w czasie i przestrzeni. Ale nie brakowało też czytelników, którzy zwrócili przede wszystkim uwagę na postać wielkiego mistrza duchowości.

Francuski duch laickości niemal instynktownie odrzuca organizację religijną: księży, nabożeństwa, instytucję Kościoła. Ale można być spragnionym duchowości, nawet jeśli nie chodzi się na coniedzielną mszę.

Dostrzega Pan ten głód duchowości wokół siebie?

Tak – nawet jeśli przybiera on formę bardziej swobodną niż religijność. Mechanizacja i postępy sztucznej inteligencji spychają sferę duchowości na bok, ale ona nie zniknie. Mam nawet nadzieję, że z czasem będzie rosła w siłę. Dlatego, choć na ogół raczej pesymistycznie patrzę na kierunek zmian w świecie, nie obawiam się o naszą przyszłość duchową. Każdy z nas może mieć w sobie cząstkę Mistrza Eckharta.

© Rozmawiał SZYMON ŁUCYK

REKLAMA

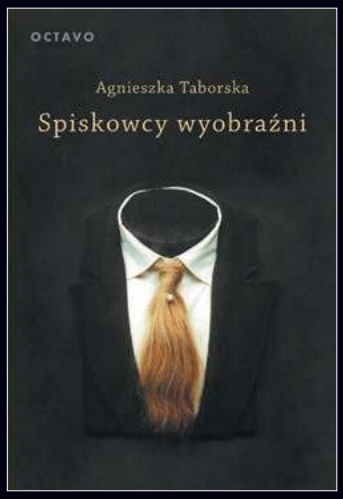

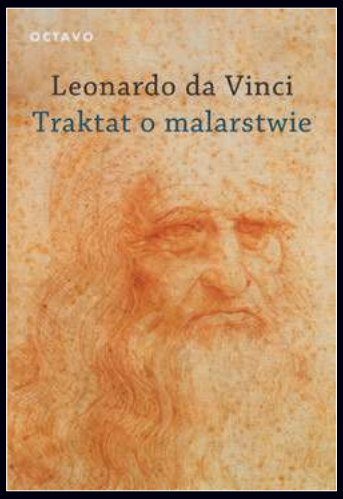

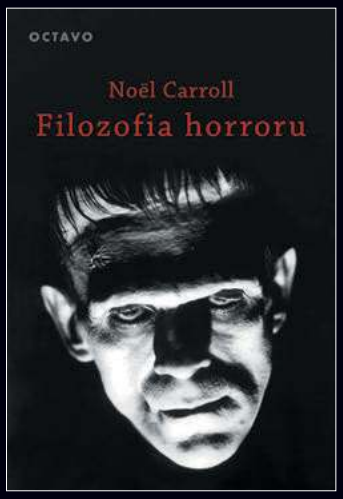

Agnieszka Taborska
Spiskowcy wyobraźni

Leonardo da Vinci
Traktat o malarstwie

Noel Carroll
Filozofia horroru

słowo/obraz terytoria

Nasze bestsellery ponownie w sprzedaży

Tylko do 30 listopada masz szansę przedłużyć lub rozpocząć prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w dotychczasowej, niższej cenie. Nie czekaj – już dziś wybierz swoją prenumeratę i zagwarantuj sobie nieprzerwany dostęp do wartościowych treści!

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	CENA Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
▪ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
▪ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
▪ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
▪ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
▪ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
▪ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

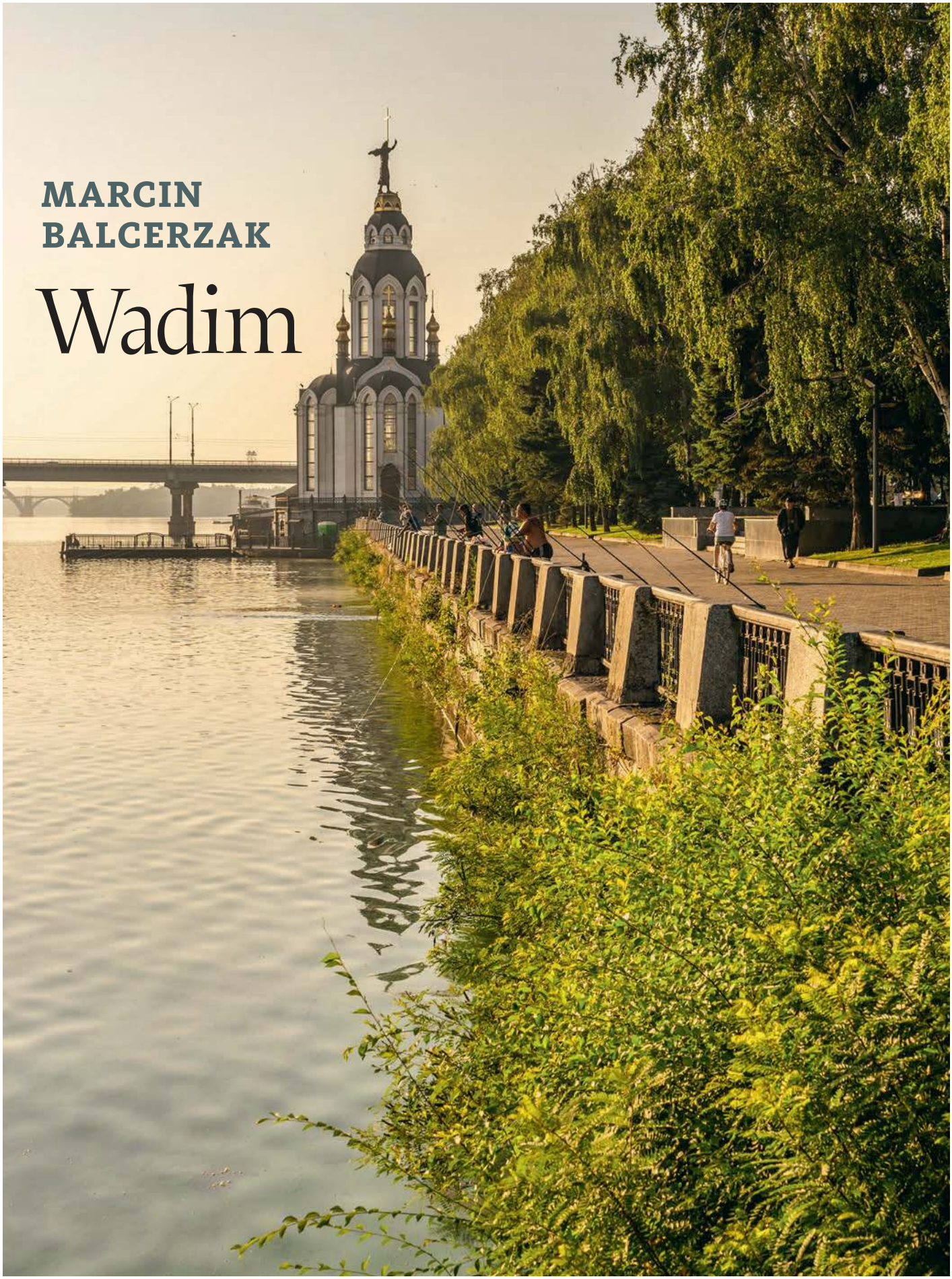

MARCIN BALCERZAK

Wadim

CAVAN / STOCK.ADOBE.COM

Wadim odważnie oglądał każdy film wojenny, dopiero będąc w Polsce, nie dzieląc żadnego na film produkcji amerykańskiej i produkcji obojętnej, a bywało, że trafiał na filmy produkcji koreańskiej i też mu to nie przeszkadzało. Co prawda, raz Wadim złapał się na tym, że włączył przypadkowo stary film wojenny produkcji radzieckiej, który wydał się mu za bardzo subtelny, i że w te hełmy sowieckie w Afganistanie strzelali mudżahedini za mało przekonująco. W snach za to widział, jak hełmy razem z głowami ruskich żołnierzy rozpadają się przy byle podmuchu wiatru od strony gór Hindukusz albo w czasie mgły przylazłej od strony Karakorum.

Ostatnio Wadim nawet przestał brać we śnie jeńców, tylko od razu strzelał kacapom po nogach, żeby leżąc na zimnej skale wykrwawiali się jak najdłużej. W snach tylko Wadimowi okrucieństwo przychodziło ot tak.

Zresztą, mógłby Wadim zadzwonić do dyspozytora snów i poprosić o zmianę pakietu na platynowy, ale jak? Drony na niebie pocięły fale łączące ziemię z dyspozytornią. Czy będzie musiał już zawsze zabijać kacapów? Może kiedyś dodzwoni się do dyspozytorni, prosząc, żeby wreszcie wyłączyli mu te przykre sny.

Postanowił za to, że nie będzie już nigdy bił braw żadnej reprezentacji piłkarskiej. Bez względu na kolor koszulek.

Świat, jak kiedyś się wydawało Wadimowi, jest skończony. Wystarczyło wyjść przed dom i stał płot, a za płotem płynął Dniepr. Ale nie ciągnęło go nigdy, żeby wyjeżdżać, nawet blisko, do Polski, bo po co. A może i ciągnęło, ale nie pamiętał kiedy. Jak miałby pamiętać każdy oddech, nie można ich zliczyć.

Z landszaftami, które malował, było inaczej. Każdy pamiętał. Pamiętał, jakie kolory nakładał na płótna i w jakiej kolejności. Jakie były tematy zleceń, z którymi przychodzili do niego klienci. Najpierw szkicował ołówkiem na płótnie kształty, żeby ostatecznie wypełnić je kolorami, niebieskim albo żonkilowym, jak artysta niepośledni.

Żadna muza jednak nie pukała do jego mieszkania z natchnieniem, gdy malował na przykład grzyby rosnące u stóp mrowiska. Wystarczyłoby zrobić zdjęcie, ale jak się wyraził zamawiający obraz pod tytułem „Grzyb z mrowiskiem w tle", ile on musiałby się nałazić po lasach, żeby znaleźć taki kadr.

Innym razem obraz pod tytułem: „Dzień jednocześnie i noc". Tak Wadim musiał go podpisać, żeby kupujący miał pewność, że przeniknięcie jednego w drugie Wadim mu namalował, a nie co inne.

Nie miał też Wadim w zwyczaju z kogokolwiek się śmiać. Nawet jak do twarzy pokurczów zamawiających płótna domalowywał atletyczne ciała, zamiast malować tak, jak stali przed nim: ich wielkie brzuchy i byle jakie twarze. Raczej te piękne męskie mięśnie na brzuchu woleliby, to samo na rękach i nogach, więc Wadim malował. Z łatwością to mu wychodziło, taki w głowie miał Wadim magazyn pełen pięknych męskich ciał. Skąd ich tyle brał?

Życie za każdym razem mogłoby mu się ułożyć inaczej, gdyby miał wiele żyć. Przy tym tylko jednym trzeba uważać na wszystko dookoła. Można na niewłaściwej lotni się znaleźć w powietrzu nad oceanem, gdy nagle przestanie ją wznosić wiatr. Albo, biorąc pod uwagę miliony strzał wystrzelonych w wiekach średnich w powietrze przez królów, trzeba było mieć nieskończenie wiele szczęścia, żeby nie podejść pod jedną. Tak samo teraz, patrzeć ma Wadim w niebo wciąż, i patrzeć, i co z tego nieba spadnie poza deszczem?

Wydawać się Wadimowi zaczęło, że jeden z tysięcy dronów, wcześniej przelatujących nad jego głową, właśnie się uwziął i poleciał zwyrodniały za Wadimem za granicę do Polski. Zamierzał akurat na jego łbie naładować swój akumulator, wyciągając z mózgu Wadima neurony. I komu trzeba tłumaczyć, że są to drobne impulsy elektryczne, w czasie wojny na wagę złota jak proch.

Czekać by pozostawało Wadimowi tylko, jak po chwili dron odrzuci Wadima puste szczątki, jak robią pająki z wessanymi muchami.

Martwił się Wadim codziennie, że nie mógłby cały dzień i całą noc chodzić, patrząc tylko w niebo. Lepiej od razu byłoby podejść pod drona kamikadze i zaprosić go do siebie na głowę. Zdejmując czapkę, by doprawdy wszystko, co złe, już się skończyło.

Że malować to trzeba umieć. Nieraz tak myślał Wadim o sobie, nawet gdy sprzedawał najdroższy swój landszaft za tysiąc hrywien, na którym widać Putina, jak diabły ciągną go za nogi do piekła na dole, a u góry anioł pokazuje Putinowi nieopierzoną gołą dupę. Takie też trudno by było zdjęcie gdzieśkolwiek zrobić na świecie, tak samo jak tego grzyba z mrowiskiem w tle. Ale też, co do pomysłu takiego na obraz, Wadim się wzdrygał i gdyby mógł, odkupiłby dzisiaj ten obraz niedobry, i kto wie, a może i by wyrzucił z Putinem ten obraz z diabłami w niepamięć.

Dobra już dobra. Może jedynie potrzebowałby wyjechać Wadim gdzieś, żeby tematy na wybitne obrazy same go odnalazły. Może za długo już siedzi nad rzeką Dniepr i głupio wpatruje się w nieruchome spławiki.

W Krakowie zaś na Kazimierzu, jakby wynajął sobie stary strych i ukradłby któryś z pędzli Matejki z muzeum, to z głowy same by popłynęły pomysły na arcydzieła. Ktoś by pomyślał wówczas, że namalowałby nie tak pięknie jak Ołeksandr Bohomazow, ale dwieście razy lepiej.

Wybiegłby z domu, to do Lwowa by dobiegł w tydzień, po to, żeby na murach Akademii Narodowej Sztuk Pięknych farbą i pędzlem napisać: „Już żałujcie, że muszę stąd wyjechać, szubrawcy". A w przyszłej biografii o Wadimie pewnie ↦

napiszą mniej więcej, że jako członek cyganerii lwowskiej mazał farbą po murach dostojnej akademii farbami, po których ślad został po stu latach do dzisiaj, pomimo sikania psów na ściany i innych politycznych zamalowywań.

Później już tylko granica w Medyce, a gdy wlazł Wadim na dach autobusu, widział już przez lornetkę smog nad Krakowem. A weźmie i właśnie narysuje już ten smog u siebie w kołonotatniku poślinionym ołówkiem, siedząc na tym autobusie.

Ale skąd ma wziąć spokój na rysowanie i nietrzęsącą się rękę? Buja tu na dachu autobusu i wieje. A co, jeśli już leci za nim rakieta wystrzelona celowo, by dosięgła Wadima i go rozdarła? A gdyby zaraz za granicą polsko-ukraińską wykopał sobie w ziemi jamę i już z niej nigdy by nie wychodził do skończenia świata? Nikt nie powie, że to głupi byłby pomysł, ale pracochłonny.

Zamiast sztalugi powinien targać za sobą Wadim do Polski łopatę do kopania jam. Wcale by się nie zatrzymywał na noc w przypadkowym domu, tylko by spał w wykopanej dziurze w szczerym polu. I też dlatego pierwsze, co zobaczył w Polsce, to psy przestraszone z Ukrainy, biegające z kośćmi w pyskach. Chciały je gdzieś koniecznie zakopać, tyle że ze strachu powypadały im te kości ze zdrętwiałych psich pysków, i leżą gdzie bądź, bieląc się tylko teraz w polu jak w piosence.

Wziął też ze sobą Wadim niewystrzelone patrony na wypadek, gdyby zapomniał co i jak. Wyjmie je z plecaka dopiero, jak bezpiecznie stanie za sztalugą w Krakowie na strychu, z Matejki pędzlem w ręku.

Adresy jakieś ma poprzesyłane na telefonie w Polsce. A jak nie znajdzie czasu na odwiedzenie wszystkich? I co, gdyby miało się okazać, że w Kołobrzegu na przykład miałby namalować swój najważniejszy obraz, a traf zrządzi, że nie trafi nigdy do Kołobrzegu? Co innego, jakby w telefonie czekał na niego jeden adres, do jednej osoby z zaproszeniem na całe życie. A może zacznie pod Barbakanem w Krakowie sprzedawać landszafty z karykaturami polskich królów.

Albo jeszcze może się przydarzyć, że folie reklamowe w różne wzory będzie dla zarobku przyklejał do szyb w salonach piękności, zamiast odmalowywać swój strach na strychu farbami pomieszanymi z prochem z patronów i pajęczynami.

Strugać też, jak mu każą, z drewna fujarki i na jarmarkach z rękodziełem grać na nich ludowe ukraińskie melodie ze stepu? A nie nauczy się przecież grać ani strugać w drewnie przez rok.

Koleżanka Daria uczyłaby z nim tańców ludowych w domu kultury w Rzeszowie, jakby tylko nie zniechęciła się, ucząc najpierw tańczyć Wadima o drewnianych nogach.

Ale wokół Wadima teraz nie ma nikogo, komu chciałby o tym opowiedzieć. Nawet gdyby komuś szczególnie zależało na tym, żeby teraz być z Wadimem i ostrzegać go szturchańcami przed zabłąkaną ruską rakietą, gdy stoi na dachu autobusu, to i tak nikt mu nie przychodzi na myśl. A zresztą, jeśli już nikt w Ukrainie nie jest żywy? Została już na zawsze wydarta strona z mapą Ukrainy z atlasów świata?

Pod wodą może zamieszka Wadim w Polsce, jak bóbr albo ryba, skoro nie wziął ze sobą łopaty.

Ile razy jeszcze miałby do siebie mówić, że będąc w Polsce, już jest obiecującym artystą, a landszafty, które malował do tej pory, przekaże do swojego kiedyś tam muzeum w wiosce, z której uciekł?

W Krakowie jednak przy kostce brukowej żeby poszedł robić, prosiła go pani z agencji pracy, bo nikomu już w Polsce nie chce się ciężko pracować. Będzie spał w siedmioosobowym pokoju, jednak z cotygodniową pewną wypłatą. Ona może go zapewnić, że wyśle Wadima do jednej z tych firm, która uczciwie zapłaci. Jak Wadim nie przyjmie tej pracy, będzie musiała zamknąć agencję i sama wrócić na Ukrainę.

Artystów, jeszcze mu powie pani, jest w brygadzie od układania kostki paru. I nauczyciele muzyki są. A także niebanalni dizajnerzy sztuki użytkowej z akademii we Lwowie, z kierunków sztuk dekoracyjnych i wzornictwa. Na niedzielę wykupi też dla całej brygady bonus, czyli bilety do muzeum sztuki współczesnej, żeby sobie w środku porobili zdjęcia, być może dla inspiracji na przyszłość. Sama wozić ich będzie i przywozić osobiście z Nowej Huty, gdzie będą rewitalizować centrum, kładąc kostkę brukową w miejsce płyt chodnikowych. Gdyby bardzo chcieli, uprosi wykonawcę, żeby mogli poodciskać swoje dłonie na donicach z jeszcze nie stwardniałego na zawsze betonu. Niech ją Wadim poprawi, jeśli się myli, ale myśli, że upamiętnieni będą na sto lat, aż do następnej rewitalizacji.

Jakiś czas, owszem, dawało się radę, dopóki Wadim mógł klęczeć przez osiem godzin na betonie.

Potem Kołobrzeg. Bo jak to, miałoby się okazać, że czeka na Wadima morze zleceń na wielkie marynistyczne

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 46/2024

REDAKCJA: Monika Ochędowska, Grzegorz Bogdał
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Jacek Taran

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

KONKURS NA NAJLEPSZE OPOWIADANIE towarzyszy drugiej edycji minifestiwalu literackiego poświęconego krótkiej formie. Minifestiwal „Temat: Opowiadania” odbędzie się w tym roku 16 listopada w warszawskiej Księgarni Czarnego (start o godz. 12.00, wstęp wolny).

Na tegoroczną odsłonę konkursu wpłynęło ponad pięćset zgłoszeń, z których jurorzy – reprezentanci „Tygodnika Powszechnego”, Wydawnictwa Czarne, Państwowego Instytutu Wydawniczego oraz Wielkiej Litery – wybrali zwycięzcę – publikowane tu opowiadanie „Wadim” MARCINA BALCERZAKA.

Laureatem ubiegłorocznego konkursu został Patryk Zalaszewski. Swoją pracą zachwycił redakcję Wydawnictwa Czarne, które zdecydowało się wydać jego debiutancki zbiór opowiadań „Luneta z rybiej głowy”. Książka trafiła do księgarń 13 listopada.

malowanie na płótnie okrętów, a on by nie pojechał do Kołobrzegu?

Nie teraz, może jeszcze nie teraz, bo nie było co się łudzić, że farby sobie kupi i zacznie malować społeczne murale na blokowiskach w Kołobrzegu za pieniądze z Urzędu Miasta.

Ale kwiaty lubi Wadim sadzić. A przycinać drzewom gałęzie nie jest przecież sztuką, mając elektryczne nożyce do cięcia żywopłotu. Podeschłym roślinom będzie Wadim zakładał nawodnienie kropelkowe, rozciągając plastikowe rury i zakładając zraszacze. Kosić trawę kosiarką spalinową nie zapomniał. A wcześniej nauczy się zakładania trawnika z rolki. A jak już na Wałach Chrobrego się nauczy ogrodniczego rzemiosła, będzie projektował zieleń w przydomowych ogrodach w Ukrainie. Usypywać się nauczy klomby, wodospady się nauczy robić i formy przeróżne zacznie nadawać żywopłotom i krzewom. Zobaczy, ile znajdzie radości w przesadzaniu starych drzew. A gabiony będzie ustawiał jak Fidiasz na Akropolu kolumny. Niech tylko Wadim pomyśli, że niedługo nikt nie będzie kupował obrazów, bo tyle już ich będzie namalowanych. A gdzie będzie Wadimowi bliżej do sztuk pięknych, jak nie w ogrodzie?

Może też później urządzać ogrody pod Kijowem oligarchom. Prawdziwe parki ze stuletnimi dębami, z podziemnymi spływami łódką wśród jaskiń, i zielone scenografie w salach koncertowych na tysiąc osób w kopalniach. Koparki sobie w Polsce pokupuje Wadim, używane, traktorki, glebogryzarki, wertykulatory i karczownice. Z Kazachstanu mu naprzyjeżdża pracowników, którzy spać będą w jurtach, a jeść będą upolowane sokoły i króliki, które im powypuszcza Wadim nocą w krzaki. Za jedno euro na godzinę Kazachowie ci ogród, jaki będziesz chciał, Wadim, wyszykują. Wysłałbyś lepiej te blejtramy niepomalowane do domu kurierem, a nie nosisz je ze sobą i stawiasz bezużytecznie na piasku z widokiem na polskie morze.

Teraz to Wadim ma wracać, kiedy jego najgorsze sny się sprawdzają? Gdy drony kamikadze latają po całej Ukrainie, szukając niepatrzących w górę głów?

Koniec naprawdę, Wadim, powiedział i więcej nie poszedł sadzić trawy. Zostawia też za sobą bez żalu rabaty i klomby, a także zimowe ogrody rosnące tylko w krajach, gdzie nie jest już ciężko żyć. Przyrzekł sobie, że więcej nie zabije żadnego kreta w ogrodzie łopatą, ani nie będzie bezdusznie robił oprysków, zabijając nie tylko mszyce, ale też żaby, żuki i Bogu ducha winne ważki.

Edvard Munch napisał wtedy list do Wadima z Norwegii. Chodził z tym listem Wadim przeszczęśliwy po całym Kołobrzegu. Żeby dłużej nie czekał, było napisane po ukraińsku, tylko przylatywał do Norwegii. Koniecznie, bo Wadim ma talent równy talentowi Muncha i niech da sobie spokój z Malczewskim, niech przestanie oglądać jego krakowskie bohomazy. Munch odstąpi mu swoją pracownie nieodpłatnie. Co innego materiały do malowania, które będzie musiał sobie Wadim kupić sam. Ale to szczegół, bo z socjalu w Norwegii odłoży sobie na nie najgorsze farby. Munch pokaże Wadimowi to miejsce, gdzie zobaczył „Krzyk”. I wiele innych miejsc, o których nie będzie się rozpisywał.

Jakby był Wadim za bardzo jego osobą skrępowany, Munch sam poprowadzi rękę Wadima, rękę z pędzlem i jest duża szansa, że powstanie wówczas obraz „Szept”, sławny jak onegdaj „Krzyk” na cały świat.

A co do dobrego lekarza psychiatry, o którego się pytał Wadim na wszelki wypadek, odpowiada, że dostanie adres prawnuka lekarza, który leczył Muncha przy jego czterech obrazach „Krzyku”, po namalowaniu których zaraz zrobiło się Edvardowi gorzej. Jemu się leczyło nieźle u niego, ale dzisiaj lekarstw jest przecież nieskończenie więcej i nie musi się wcale stać, że Wadim do końca życia będzie pierdolnięty. Za dużo rzeczy żeby też nie brał ze sobą, tylko bagaż podręczny, a mniej zapłaci za przelot.

Wszyscy odradzali Wadimowi wylot. Mam to w dupie, odpowiadał im i tyle.

Będzie Munch czekał na Wadima na lotnisku Gardermoen w Oslo w środę. Tylko jak miałby Wadim nie przylecieć, to żeby się więcej Munchowi nie pokazywał na oczy.

© MARCIN BALCERZAK

MARCIN BALCERZAK (ur. 1967) – mieszka i pracuje w Sieradzu.

BETTMANN / GETTY IMAGES

Adrienne Rich w bibliotece Uniwersytetu Yale. 28 lutego 1966 r.

Role i relacje

EMILIA KONWERSKA

Nieustannie się przedstawia: jestem intelektualistką, matką trzech synów, Żydówką, lesbijką. Kuleję i mam tiki. Oraz przywilej pisania.

Opublikowała ponad trzydzieści książek poetyckich, eseistycznych i prozatorskich, stając się jedną z centralnych postaci ruchu feministycznego. Jej teksty dawno temu weszły do kanonu – dorobiła się za ich sprawą opinii autorki „radykalnej". Teraz – dzięki esejom w przekładzie Kai Gucio – zyskujemy dostęp do szerszego spektrum twórczości Adrienne Rich, a także jej zainteresowań, poszukiwań, zmagań i wzruszeń.

ZACZNIJ OD SIEBIE | „Chcę dziś porozmawiać o przywilejach, tokenizmie i władzy. Wszystko, co mogę wam na ten temat powiedzieć, zostało z trudem wywalczone, a usłyszycie to z ust kobiety uprzywilejowanej ze względu na przynależność klasową i kolor skóry, z ust ulubionej córki ojca, wykształconej w college'u Radcliffe, który wówczas nazywano przybudówką Harvardu. Pierwsze czterdzieści lat przeżyłam w ciągłym napięciu między światem, który nauczyli mnie widzieć Ojcowie i za którego widzenie mnie nagradzali, a przebłyskami zrozumienia, jakie widywałam okiem outsiderki" – mówi Rich do absolwentek Smith College w roku 1979.

Ta wypowiedź jest nie tylko osobistym wyznaniem, ale też dobrym przykładem jej metody. Rich nieustannie podkreśla znaczenie koloru skóry, wielokrotnie porusza temat więziennictwa, przemocy wobec czarnoskórych, kolonializmu. Już w latach 70. rozprawia się z liberalnym sloganem obiecującym, że „możesz być, kim tylko chcesz", i przypomina o znaczeniu pochodzenia, statusu społecznego oraz nierównym dostępie do edukacji. Zawsze zaczyna przy tym od siebie.

Rewizja – to metoda jej pracy. Rich nie tylko analizuje historię przemocy i poddaje krytyce twórczość swoich mistrzów. Często powraca do swoich wierszy sprzed lat i na czynniki pierwsze rozkłada motywy, które nią kierowały podczas pisania – przede wszystkim poszukiwanie pozbawionego emocji (czytaj: męskiego) języka, poruszanie uniwersalnych (czytaj: męskich) tematów, a także próby odseparowania się, odcięcia od bohaterek.

Cytuje przy tym samą siebie i wskazuje na miejsca, w których chciała się podobać mężczyznom. Przyznaje, że zależało jej na opinii ojca, profesorów, starszych poetów. Rysuje mapę kobiecych uwikłań, a siebie stawia w jej centrum: była zdolną córką, ale już jako dziecko nabawiła się przez to tików nerwowych. Dlaczego wyobrażona postać kobiety tak często stanowi obiekt zainteresowań męskich autorów, a piszące kobiety nie stworzyły opakowanej w stereotypy figury mężczyzny? Dlaczego kobiety nie piszą dla innych kobiet?

PO PROSTU MATKA | „Moje dzieci przysparzają mi największego cierpienia" – zapisze w dzienniku. Doświadczenie macie-

rzyństwa jest jednym z tematów, które porusza w swoich tekstach, ale z pewnością nie zgodziłaby się na określenie go „najważniejszym". Nie tylko analizuje pozycję matek i proces „wydawania dzieci na świat". Opisuje też własne doświadczenia i chyba ta część jej rozważań (a może wyznań) ma do dziś największą moc.

„Gniew i czułość" to esej, w którym opisuje macierzyństwo poprzez uczucia inne niż miłość, czułość czy troska: „być może jestem potworem – antykobietą – istotą popędliwą i niezdolną do czerpania normalnej i miłej pociechy z miłości, macierzyństwa, radości z innych ludzi". Wielokrotnie wspomina o poczuciu straconego czasu, tęsknocie za spokojem i możliwością pisania. Przyznaje, że jako autorka i matka cały czas musi „odkładać na bok" swoje pomysły. Jako jedna z pierwszych publicznie walczy o prawo do zmęczenia, gniewu, zniecierpliwienia. Nie przestaje być twórczą i osobną jednostką w czasach, kiedy kobiety, żony i matki miały być przede wszystkim spolegliwe i uczynne.

W esejach dotyka też problemu płci jako kreacji, teatru, odgrywania ról. Bycie jak „inne kobiety" stanowi dla niej problem. Od trzynastego czy czternastego roku życia czuje, że odgrywa jedynie „rolę istoty płci żeńskiej". W wieku szesnastu lat miewa „niemal nieustannie poplamione tuszem palce". Szminka i wysokie obcasy z tamtej epoki są dla niej „trudnym do opanowania kamuflażem". Kiedy (nieoczekiwanie) postanawia wyjść za mąż i urodzić dziecko, potem drugie, a za chwilę trzecie, ma wreszcie poczucie dobrze wykonanego obowiązku. Oto stała się prawdziwą kobietą. Czy nie tego oczekiwał od niej świat?

Cierpi i walczy z nienawiścią, głęboko skrywaną agresją, jaką budzą w niej dzieci, zastanawia się, czy wszystkie kobiety tak mają. Czy kobiecość polega na ukrywaniu gniewu? Cytując swoje dzienniki z czasu macierzyństwa, bardzo wcześnie mówi o systemowym osamotnieniu kobiet, braku wsparcia. Analizie poddaje także relacje matek z ich dziećmi i właśnie w ukrywanym, potajemnym gniewie widzi źródło najważniejszej emocji, która towarzyszy matkom do końca – poczucia winy.

CZASAMI CÓRKA | Ciekawe jest spojrzenie Rich na relację matka–córka. Ten związek pełen napięcia, złości, niewyrażonej miłości, lęku i samotności zdaje się nie mieć podobnych. Córki nie chcą stać się swoimi matkami, a matki nie chcą urodzić samych siebie. Brakuje zrozumienia i konfrontacji. Rich uważa, że matki musiałyby najpierw umieć zaopiekować się sobą. Okazać sobie samym czułość i wyrozumiałość. A nikt ich tego nie nauczył. Obwiniają swoje córki tak samo, jak obwiniają siebie – za niedostatki w urodzie, niemoc.

Rich poddaje też krytyce rolę „dobrego ojca", który może bezkarnie „objaśniać świat". Patrzy wstecz na siebie – dziewczynkę, która zawsze wolała tatę. Analizuje dobrze znaną z książek i filmów figurę „żydowskiej matki" i patriarchalne realia, które za nią stoją. Cały czas podkreśla, że nasze matki były takie, jaki był otaczający je świat. Wspomina też o swojej czarnej opiekunce, odnotowuje własne akty dziecięcego rasizmu, brak wdzięczności. Sumiennie i z surowością notuje wszystkie odcienie swojego uprzywilejowania.

PO WRAK | Od kiedy zaczęła pisać (a zaczęła wcześnie), co roku wydawała książkę. Za pierwszy tom poezji „A Change of World" (1951) otrzymała prestiżową nagrodę Yale Younger Poets Award, a o jej wierszach pisali wówczas W.H. Auden, Erica Jong i Sylvia Plath. W tytułowym wierszu z tomu „Zejście do wraku" (polskie wydanie w przekładzie Jerzego Jarniewicza) zawarła najważniejszą ideę swojego pisania i tworzenia w ogóle: „to po to tu jestem: po wrak, a nie po opowieść o wraku". Rich poszukiwała swojego języka i systemu wartości. Metaforą rozpadu związku są u niej próby jądrowe.

Ale oprócz tego, że sama pisała, była też interpretatorką poezji, autorką tekstów krytycznych, wnikliwą badaczką. Uważała za swój feministyczny obowiązek zajmowanie się twórczością kobiet. W „Esejach zebranych" znajdziemy jej teksty o Charlotte Brontë czy Elizabeth Bishop. Rozprawia się z mitami wokół Emily Dickinson, z której samotności (wyolbrzymionej) i szaleństwa (przesadzonego) kultura zrobiła fetysz. Z nieukrywanym zachwytem pisze: „W tym pokoju z białymi zasłonami i wysokim sufitem rudowłosa kobieta o orzechowych oczach i kontraltowym głosie pisała wiersze o wulkanach, pustyniach, wieczności, samobójstwie, fizycznej pasji, dzikich bestiach, gwałcie, władzy, szaleństwie, rozłące, demonie, mogile". W tym jednym zdaniu tworzy jeden z najbardziej poruszających portretów wyobraźni, która wygrywa z doświadczeniem.

Pisanie było dla niej potrzebą i umiejętnością burzącą zastane porządki. W swoich esejach wspomina więźniów, którzy najbardziej wolni czuli się, czytając i pisząc poezję, cytuje autorki z Ameryki Południowej, wspomina o pakistańskim więźniu z Guantanamo, który nie zwariował tylko dlatego, że napisał tam tysiące wierszy (początkowo wydrapywał je paznokciem w styropianowych kubkach). Walczy o prawo do poezji zaangażowanej. W roku ataku na World Trade Center krytykuje amerykańską politykę i budowanie patriotyzmu opartego na lęku. Nie przyjmuje nagrody z rąk Billa Clintona, pisze list.

OSOBISTE HISTORIE | Krytyce poddaje natomiast „wiersze turystyczne", poetyckie migawki z podróży, kolonialne podglądanie świata. Krytyka książek z podróży, literackiego turyzmu, oglądania rzeczywistości jak dekoracji wydaje się dziś czymś wyjątkowo interesującym. Rich, nie tylko twórczyni, ale też uważna czytelniczka, uderza w pisarza na wakacjach łowiącego powierzchowne wzruszenia, egzotyczne obrazki, ślizgającego się po powierzchni „innej" codzienności „innych" ludzi.

Znajdziemy w jej esejach refleksje o ucieczce w „sferę osobistą", Rich widzi w modzie (już pod koniec lat 90.) na osobiste zwierzenia, historie „oparte na faktach", *talk-shows* zagrożenie, które oddala nas od wspólnych, globalnych problemów. Uważa fascynację „osobistymi historiami" za fetysz kultury masowej. Dziś pewnie podobnie powiedzielibyśmy o kategorii „prawdy", która każdej, nawet najbardziej banalnej historii nadaje wartość. ©

Adrienne Rich
ESEJE ZEBRANE. KULTURA, POLITYKA I SZTUKA POEZJI
przeł. Kaja Gucio
Karakter 2024

Nadzieja w futbolu

MICHAŁ OKOŃSKI

Autorzy tego świetnego reportażu zastrzegają, że nie napisali książki piłkarskiej, ale nie mają racji. Pokazali przecież i to, że ów sport może czynić ludzi lepszymi.

Zaczyna się mocno: „Dzieckiem trzeba się opiekować. Kiedy już je zabijesz, nie wyrzucisz go tak zwyczajnie za drzwi. Szczęście nie może przecież leżeć pod domem. Zakopiesz zwłoki pod ścianą pokoju, ziemię wyrównasz, a całość zasłonisz swoim łóżkiem. Będziesz spał nad dzieckiem i pilnował: po pierwsze, żeby nic mu się nie stało, po drugie – żeby szczęście z domu nie uciekło”.

KOLEJNE ROZDZIAŁY – ten pierwszy opowiada o piłkarzach Albinism Sport Club z Tanzanii; kraju, gdzie do niedawna zabijano noworodki dotknięte albinizmem, bo wedle miejscowych szamanów fragmenty ich ciał mogły służyć za talizman zapewniający powodzenie – utrzymują temperaturę i tempo. Oprócz piłkarzy-albinosów Anita Werner i Michał Kołodziejczyk odwiedzają kibiców i zawodników grającego na terenie Turcji kurdyjskiego (i represjonowanego za swoją kurdyjskość) klubu Amedsport.

Są też w Rwandzie, gdzie spotykają byłego bramkarza reprezentacji kraju, Tutsi, który w 1994 r. ocalał z ludobójstwa ukrywany przez kolegów z drużyny, będących Hutu. Oraz w Brazylii, gdzie rozmawiają z zawodnikami, którzy przeżyli katastrofę samolotu wiozącego w 2016 r. drużynę klubu Chapecoense na finał Copa Sudamericana. Dodajmy: wiozącego z nienapełnionymi do końca zbiornikami paliwa, bo firma przewozowa oszczędzała, na czym się dało. Zginęło 71 osób – sportowców, działaczy, dziennikarzy.

O TYM, ŻE PIŁKA może tłumaczyć świat, Werner i Kołodziejczyk pisali już w swojej pierwszej książce, „Mecz to pretekst”. Tym razem przekonują, że może też dawać nadzieję. „Nadzieję na lepsze życie, albo na życie w ogóle. Może uchronić przed śmiercią, uratować, albo nauczyć żyć, kiedy umarło wszystko dookoła. Może podnieść po traumie, dać skrzydła, dać siłę, pomóc być zauważonym” – tłumaczą we wstępie.

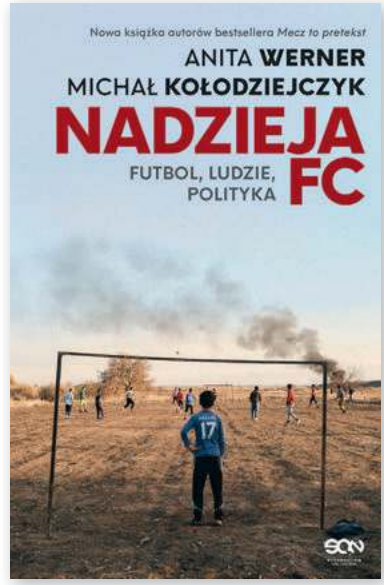

Anita Werner
Michał Kołodziejczyk
NADZIEJA FC. FUTBOL, LUDZIE, POLITYKA
Wydawnictwo SQN 2024

Przyznam, że bardzo tej nadziei potrzebowałem – a właściwie wszyscy jej potrzebowaliśmy. I ci spragnieni świetnie opowiedzianych historii, i ci szukający pokrzepienia serc, i ci zbrzydzeni komercyjnym obliczem współczesnego futbolu (autorzy zastrzegają wprawdzie, że to nie jest książka piłkarska, ale w tym jednym przypadku nie mają racji, bo przecież pokazali, jak ów sport może czynić ludzi lepszymi). I w końcu ci, którzy nauczyli się nie ufać tzw. celebrytom czy influencerom.

Rzecz w tym, że Werner z Kołodziejczykiem – prezenterka „Faktów” TVN i dyrektor redakcji sportowej Canal+, oboje rozpoznawalni, nagradzani, cieszący się potężnymi zasięgami w mediach społecznościowych – nie odcinają kuponów od niewątpliwej popularności. Gwiazdy futbolu, do których mają ułatwiony dostęp? Owszem, pojawiają się w tej opowieści, ale gdzieś na dalekim planie, jak wtedy, gdy ich przewodnik po świecie albinizmu Edward Severin robi przerwę w opowiadaniu, bo Robert Lewandowski musi mieć chwilę, by nie wykorzystać rzutu karnego w pierwszym meczu Polaków na mundialu w Katarze („Telewizor jest dość mały, wisi pod sufitem w części restauracji, która znajduje się pod dachem, ale tych kilka zajętych stolików stoi na zewnątrz. Dochodzi dziewiąta wieczorem, w Dar es Salaam nadal jest gorąco. Pudło Lewandowskiego niespecjalnie kogokolwiek obchodzi...”).

KIEDY WIĘC AUTORZY PISZĄ, że „kochają reporterską robotę”, są wiarygodni, a zanim wyruszą w świat na spotkanie swoich bohaterów, zgromadzą imponujący research. Oglądają filmy, rozmawiają z ekspertami, a ich rwandyjska biblioteczka rozciąga się od Jeana Hatzfelda po Michelę Wrong, z Wojciechem Tochmanem i Dariuszem Rosiakiem pomiędzy.

Nadzieja, o której piszą, nie jest oczywiście prosta – tak jak nie jest prosta droga do odrodzenia drużyny Chapecoense po katastrofie, i jak nie są proste ścieżki bohaterów pozostałych rozdziałów. Ale dzięki temu możemy w nią uwierzyć. Gdybym się nie bał, że w dzisiejszym świecie może to wpłynąć negatywnie na sprzedaż, tobym powiedział, że dostaliśmy głęboko religijną książkę. ©℗

Kuchnia cosplay

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Gotowanie staje się kostiumową zabawą. Bo przecież jest ono też magią, przemianą, fantazją, a bywa i walką.

Tradycja wynaleziona to coś, co sprawia wrażenie, że wywodzi się ze zwyczajów praojców, choć tak naprawdę powstało niedawno, dla potrzeb wspólnototwórczych, a częściej jako dobry biznes. To np. taniec zbójnicki, jarmark świąteczny, ale też góralski dwór na Kujawach, a w nim kotlety chłopskie i nalewki babuni, które naszych pańszczyźnianych praojców przyprawiłyby o wstrząs. Ciekawe, co powiedziałby Eric Hobsbawm, twórca tego pojęcia, gdyby przeczytał o kulinarnych tradycjach krasnoludów? Na przykład w wydanej właśnie „Uczcie bohaterów" – książce kucharskiej z gry fabularnej Dungeons&Dragons.

Kyle Newman, Jon Peterson, Michael Witwer, **UCZTA BOHATERÓW. OFICJALNA KSIĄŻKA KUCHARSKA DUNGEONS&DRAGONS**, przeł. Marek Starosta, Znak Literanova 2024

MIMO KLING I CYNOWYCH MIS na fotografiach potraw, nie jest to kuchnia rekonstrukcyjna alt-średniowiecza, w użyciu jest malakser i shaker, wśród składników ziemniaki yukon gold czy, na Asmodeusza!, cebula granulowana. Przepisy każą używać gotowego bulionu i mrożonego ciasta kruchego. Priorytetem jest konwencja. Owszem, autorzy przekopali się przez uniwersum D&D w poszukiwaniu wzmianek o daniach i składnikach, już sam tytuł książki to nazwa czaru z 5. edycji „Podręcznika gracza". Ale ostatecznie „Potrawka warzywna qualinesti" okazuje się ratatują, a „Żebra rotha w sembiańskim miodzie" – żeberkami wieprzowymi barbecue (autorzy lojalnie ostrzegają, że mięso rotha trudniej dostać).

Rozdziały o kuchni ludzi, elfów, krasnoludów, niziołków i ras rzadkich to fajna zabawa kuchennymi stereotypami, twórcze rozwinięcie zasady, że światy fantasy powinny brzmieć celtycką muzyką. Kuchnia krasnoludów jest górnicza, mięsno-kiełbasiana, konserwatywna, ciężka i swojska (kogo nie rozczuli „kiełba z gnieciuchami"?). Kuchnia elfów, cóż, wyjaśnia, dlaczego elfowie są tacy szczupli. A ludzi? Ludzie np. nie stosują długiego marynowania, bo żyją krótko. Wiele obiecuje kuchnia ras rzadkich – drakonów, goliatów, trytonów: ma być odważna i hybrydowa jak same te istoty. Diabelstwa lubią ostro, półork zje wszystko. Ale gdzież ta przygoda, gdzie wyzwanie? Pod kostiumem nazw kryją się kurczak, chilli con carne czy szaszłyk, bezpieczne jak zabawkowy toporek. ■

Anita Sarna, Karolina Krupecka, **WIEDŹMIN. OFICJALNA KSIĘGA KUCHARSKA**, Znak Horyzont 2023

ANDRZEJ SAPKOWSKI we wstępie do księgi kucharskiej świata Wiedźmina przypomina, że podstawową cechą fantasy jest „realność nierealności": wymóg zawieszenia racjonalności i uznania wymyślonego za prawdziwe. By to czytelnikowi ułatwić, autor buduje analogie do znanego świata. Wiedźmińskie uniwersum to przetworzenia klasycznych opowieści i znanych krain, a wiedźmińska kuchnia to trawestacja do kwadratu: ubaśniowiona kuchnia tych ostatnich. Próżno szukać tu raków, którymi zajadali się Geralt z Borchem Trzy Kawki, autorki prowadzą nas po lokacjach gry „Wiedźmin: Dziki Gon" (a więc trawestacja do sześcianu!), od Białego Sadu przez Skellige po Toussaint, adaptując europejskie swojskości: kasze, gulasze, paszteciki, klopsiki, które na TripAdvisorze komentowano by jako *traditional!* i *original!* Najfajniejszy jest rozdział o Kaer Morhen – rozczulająca prostota kuchni paru chłopa pichcących dla siebie i dla Ciri. ■

Dinah Bucholz, **NIEOFICJALNA KSIĄŻKA KUCHARSKA HARRY'EGO POTTERA**, przeł. Ewa Horodyska, Maria Borzobohata-Sawicka, Znak Literanova 2022

UCZNIOWIE HOGWARTU wolą rodzinność i lokalność. „Nieoficjalna książka kucharska Harry'ego Pottera" zamiast stylizowanymi fotosami cieszy elegancją szkiców i typografii. To po trosze fanfik, po trosze kompendium – każdy przepis odsyła do książkowej sceny. To także solidny zbiór anglosaskich klasyków: wszystkich tych pajów, pasztecików i rumsztyków, puddingów i custardów. Jest nawet kremowe piwo z Hogsmeade i fasolki wszystkich smaków Bertiego Botta. ■

KSIĄŻKI TE ZNAJDZIECIE raczej na dziale „Fantasy" niż na „Kuchni", który to regał ostatnio skarlał. Samo gotowanie już tak nie uwodzi – w sieci blogową zasadę „gotuj ze mną" wypiera porządek instagramowego „patrz, jak gotuję", w książkach zaś gotowanie szuka nowych narracji. Fantasy ich dostarcza, kuchnia staje się rekwizytem cosplay – kostiumowej zabawy. Bo przecież jest ona też grą, magią, wyprawą, przemianą, fantazją, a bywa i walką. Autorzy „Uczty bohaterów" podpowiadają, że kompania to ci, co dzielą się chlebem (*cum panis*). I że do sesji D&D czy do serialu, zamiast miski chipsów, lepiej przyrządzić sobie blachę niziołkowych przysmaków owsianych. ©℗

KULTURA

MAESTRA

Kiedy pojawia się na ekranie, piekło zamarza. Nie chodzi nawet o fizyczny wizerunek, kojarzący się z Królową Śniegu – w łączeniu inteligencji i instynktu, kreatywności i rzemiosła, talentu i charyzmy ta aktorzyca nie ma sobie równych.

ANITA PIOTROWSKA

ARMANDO GALLO / ZUMA PRESS / FORUM/ FORUM

Czy Cate Blanchett jest najlepszą aktorką naszych czasów? Darujmy sobie niemierzalne, za to jakże klikalne klasyfikacje. Z pewnością zasługiwałaby na miejsce w ścisłej czołówce, obok Meryl Streep i Frances McDormand, bijąc je ostatnio na głowę swoim pracoholizmem.

Za chwilę na toruńskim festiwalu Camerimage będzie przewodniczyć międzynarodowemu jury, w tamtejszym Centrum Sztuki Współczesnej otworzy się trzynastoekranowa instalacja z nią w roli głównej, zaś na Apple TV wzbudza poznawczy niepokój w serialu „Sprostowanie" Alfonsa Cuaróna.

Akcent

Patrząc na jej najwybitniejsze dokonania rzec by się chciało, iż w ekranowej doskonałości Blanchett jest coś zgoła nieludzkiego. Androidalnego albo elfickiego, co dostrzegł Peter Jackson, powierzając jej rolę Galadrieli – szpiczaste uszy i diadem zakładała we wszystkich sześciu adaptacjach tolkienowskiej sagi o Śródziemiu.

Swoim wystudiowanym chłodem i posągową fizjonomią może kojarzyć się z północnogermańskimi boginiami. I choć w żyłach Australijki płynie inna krew (angielska, francuska, szkocka), to coś jest na rzeczy – idealnie sprawdziła się niedawno w mówionej z akcentem i lekko przerysowanej roli kanclerki Niemiec w politycznej komedii „Rumours" Guya Maddina i Evana Johnsona. Szlifowała ten akcent jako Żydówka z powojennego Berlina w „Dobrym Niemcu" (2006) Stevena Soderbergha, a w języku Goethego mówiła częściowo w filmie „Tár" (2022) Todda Fielda, grając pierwszą dyrygentkę w historii berlińskiej orkiestry.

To zresztą mistrzyni akcentów, wziętych z rozmaitych epok, narodowości, klas społecznych, od autentycznych postaci. „Majestatyczna", „androgyniczna", „bez wieku" – wszystkie te chwytliwe określenia znajdowały wielokrotny i dosłowny wyraz w jej dorobku.

Kostium

Liczby też mówią za siebie, bo mając 55 lat, Blanchett zdążyła zagrać w kinie i telewizji około setki ról, otrzymując za nie ponad dwieście nagród. „Kimże jest ta niezwykła istota?" – zastanawiał się trzy dekady wcześniej Geoffrey Rush, inny wielki aktor z Antypodów, widząc młodszą koleżankę na deskach australijskiego National Institute of Dramatic Art.

Ponoć nawet w momentach jej scenicznego „nicnierobienia" przenikały się ze sobą w sposób cudownie migotliwy dwie cechy: pewność i wrażliwość. Ten sam Rush, po spotkaniu z nią na planie „Elizabeth" (1998) Shekhara Kapura, słusznie przepowiadał, iż angielska monarchini już zawsze będzie mieć twarz Cate Blanchett. Zwłaszcza że zdobywszy za tę rolę pierwszą z aż ośmiu nominacji do Oscara, dekadę później zagrała dojrzalsze (i też nominowane) wcielenie Elżbiety Pierwszej.

Również za sprawą tych ról kategoria „kina kostiumowego" nabierała szerszego sensu. Widzieliśmy, jak pod ciężarem monarszych szat ciało kobiety robi się coraz bardziej fantomowe, jak się powoli unieważnia zaszyte w królewskich gorsetach i zakute w zbroi. Zaś metamorfoza krotochwilnej dziewczyny w potężną Królową Dziewicę, odgrywającą swoje dziejowe role aż po całkowite stopienie się z nimi, ostatecznie utorowały Blanchett drogę z Sydney i Londynu do Hollywoodu.

Ikona

Tam powitano ją jak swoją, dopatrując się podobieństwa do dawnych gwiazd kina, na przykład do słynnych hitchcockowskich blondynek. Choć za swój wygląd szufladkowane były do kategorii niebezpiecznych *femmes fatales*, to mistrz suspensu ze szczególną rozkoszą redukował je do roli ofiar, kontrolowanych i często karanych za swoją seksualną władzę.

Emanująca starym hollywoodzkim glamourem Blanchett przez lata będzie obsadzana w rolach niby podobnych, zazwyczaj „po warunkach" i w zgodzie ze sprawdzonym *emploi*. Aczkolwiek jej odtwórczy geniusz oraz powiew ↦

Cate Blanchett, 24 maja 2018 r.

↦ nowych czasów, z dużo większą świadomością genderową, sprawią, że będą to zupełnie inne kobiety. Wewnętrznie popękane i zarazem pełnokrwiste, wymykające się stereotypowym portretom. Przedsmak tego dała Blanchett już w „Aviatorze" (2004) Martina Scorsesego, gdzie bezszwowo przeistoczyła się w legendę kina Katharine Hepburn, zdobywając pierwszą statuetkę Amerykańskiej Akademii.

I chociaż pisano, że „ikona zagrała ikonę", to nie tyle aktorską personę z lat 30. oglądamy na ekranie (a i zewnętrzne podobieństwo mogło być dyskusyjne), co żywą osobę, rozwibrowaną najróżniejszymi emocjami. Podrobiony akcent, dorysowane piegi, wyuczone manieryzmy i umiejętności sportowe stanowiły jedynie część tej roli, intuicyjnie szukającej autentyczności na granicy kreacji i mimikry.

Queer

Udało się też pochwycić, nie tylko za sprawą charakterystycznych męskich stylówek, biseksualny rys przedwojennej aktorki. Blanchett, która karierę filmową rozpoczęła grając na wakacjach przypadkową rólkę cheerleaderki w egipskiej komedii o bokserach zatytułowanej „Kaboria" (1990), wraz z wiekiem i aktorską dojrzałością coraz lepiej odnajduje się w wyrafinowanych rolach queerowych. Bądź po prostu męskich.

W „I'm Not There. Gdzie indziej jestem" (2007) Todd Haynes obsadził ją w jednym z sześciu wcieleń postaci wzorowanej na Bobie Dylanie. Scena londyńskiej konferencji prasowej, z bohaterem zmęczonym, wyobcowanym, mocno sarkastycznym, zachwycała „bezwysiłkowym" efektem – jakby to prawdziwy Dylan performował sam siebie.

Z kolei niemiecki artysta Julian Rosefeldt w filmowej instalacji „Manifesto" (2015) powierzył Blanchett wszystkie trzynaście głównych ról, by uczynić z niej twarz głośnych programów ideologicznych i artystycznych XX w., a jednocześnie pokazać, do ilu przeobrażeń jest zdolna. Była więc robotnicą, choreografką, naukowczynią, maklerką czy bezdomnym mężczyzną i już za chwilę zobaczymy te wcielenia na wystawie w Toruniu.

Ukoronowaniem ról typowo queerowych była oczywiście kreacja w melodramacie „Carol" (2015) Todda Haynesa. Widać w niej tragiczne rozdarcie bohaterki, ale i ową aktorską dwoistość, jaka zarysowała się ongiś w australijskich rolach teatralnych. Tym razem oglądamy perfekcyjną panią domu z nowojorskiej klasy wyższej lat 50., w momencie, gdy wali się jej świat, bo zakochała się w dużo młodszej sprzedawczyni i aspirującej fotografce.

> Ponoć nawet w momentach jej scenicznego „nicnierobienia" przenikały się ze sobą w sposób cudownie migotliwy **dwie cechy: pewność i wrażliwość.**

To jej oczami patrzymy na dojrzałą Carol, stąd też owo fetyszyzujące spojrzenie, w którym odbija się zrazu ikoniczna Blanchett. Czyli kobieta wystylizowana i powściągliwa, ubrana w doskonale skrojone garsonki i takież pozory. Z czasem jednak chłodna uwodzicielka zamienia się w czułą kochankę, topniejącą pod wpływem zakazanego uczucia. I gotową przyjąć na siebie gigantyczne koszty swojej transgresji. Scena finałowego spotkania dwóch kobiet, zwłaszcza milcząca wymiana spojrzeń, to zaiste mistrzostwo aktorskiego minimalizmu.

Prymuska

Absolutną, wręcz nadludzką mistrzynią była również w roli Lydii Tár ze wspomnianego filmu Fielda. Chciałoby się rzec: maestrą, jakkolwiek sama bohaterka odrzuca to słowo, bowiem rozbiwszy batutą szklany sufit w renomowanej orkiestrze nie potrzebuje żadnego potwierdzenia. Ta wybuchowa mieszanka perfekcji, pasji, pychy i perwersji została stworzona w scenariuszu z myślą o Blanchett właśnie.

Anegdota głosi, że kiedy jadący autem Field usłyszał telefoniczną odmowę od jej agentki (Cate miała wtedy inne plany na najbliższe trzy lata), stracił panowanie nad kierownicą i skasował pojazd. Nic dziwnego: trudno wyobrazić sobie inną aktorkę w roli tak wieloznacznej, w dodatku tak bezczelnie polemizującej i z rolami płciowymi, i z polityczną poprawnością. Mało która też byłaby aż taką prymuską, ucząc się niemieckiego, dyrygentury, gry na fortepianie (od węgierskiej pianistki Emese Virág) tudzież „intelektualnej" modulacji głosu (z archiwalnych nagrań Susan Sontag).

Chociaż jej bohaterka (jako artystka, szefowa, partnerka, lesbijka) co chwila przekracza rozmaite granice, Blanchett potrafi, i to znacznie bardziej niż scenarzysta, ją wybronić, a nawet dodać jej humorystyczny rys. Pozwala zobaczyć w niej domniemanego przemocowca płci żeńskiej, lecz także nawiedzaną przez duchy i tajemnicze głosy ofiarę własnych ambicji. Albo i świata niegotowego na zmianę tradycyjnych ról i karzącego kobietę dużo surowiej za jej przekroczenia.

Empatia

To zresztą częsty motyw przewijający się w losach jej bohaterek: degradacja, publiczny ostracyzm, skazanie na wieczną niesławę. Dlatego uznana, wiodąca idealne życie dokumentalistka z nowego serialu „Sprostowanie" musi skonfrontować się z najgorszą wersją siebie, opisaną w książce, która ma ją zniszczyć za realne bądź przypisywane jej występki z przeszłości.

A może to jedynie fikcja literacka odwracająca, w imię ślepej zemsty, stereotypy związane z płcią? Najbardziej bezlitośnie obszedł się ze swą bohaterką Woody Allen w „Blue Jasmine" (2013), albowiem groteskowa mitomanka, która straciła wszystko ujawniając finansowe szwindle niewiernego męża, to chyba najtragiczniejsza postać w dorobku Blanchett. Mimo tego bankrutka w chanelowskim żakiecie, jadąca na prochach i procentach, raz jeszcze okazuje się budzącą współczucie ofiarą. Bo wprowadzając się do swojej siostry, tej mającej „gorsze geny", i rozpaczliwie próbując odbudować społeczny status, wpada w kolejne pułapki swoich aspiracji, aż do samozatracenia.

I nie tylko grane przez Blanchett luksusowe kobiety doświadczają infamii i strącenia z piedestału. W „Notatkach

o skandalu" (2006) Richarda Eyre'a gra londyńską nauczycielkę, żonę i matkę wykreowaną przez media na potwora z powodu jej romansu z piętnastolatkiem. Niewątpliwie naruszyła tabu i zasłużyła na potępienie, aczkolwiek staje się ono szczególnie dotkliwe, gdy przychodzi z najbardziej wrażliwych stron – od bliskiej rodziny i od starszej przyjaciółki, która dla własnych perwersyjnych celów próbowała wykorzystać jej zaufanie i słabość.

Blanchett, uwolniona na chwilę ze swego perfekcyjnego i często dość monolitycznego wizerunku, potrafi wykrzesać z nas empatię dla zmysłowej i pogubionej w swoich namiętnościach kobiety, która, podobnie jak Carol, Tár, Jasmine, ostatecznie musi przyjąć odpowiedzialność za siebie.

Głos

Swoją drogą, te obyczajowe skandale, z jakimi mierzą się (zasłużenie czy nie) jej postacie, nijak się mają do biografii Blanchett, prawie nieobecnej w tabloidach. Chyba że w związku z kolejną kreacją na czerwonym dywanie, jednakowoż aktorka występująca niegdyś w wielu reklamach luksusowych marek coraz częściej krytykuje publicznie celebrycką rozrzutność. Nie tak dawno, orędując za zrównoważoną modą, wystąpiła w szykownym topie zrobionym... ze starych łyżek, od bardzo niszowej projektantki.

Być może w samej aparycji i sposobie bycia Blanchett jest coś, co nagminnie każe ją obsadzać w rolach kobiet pod pręgierzem. Każe wyglądać, błyszczeć, dominować, odnosić sukcesy, po czym obarcza ją winą, wyprowadza z równowagi, rzuca na kolana i odziera ze wszystkiego.

Pewnie też ze względu na głęboki, niski głos angażuje się ją w trybie domyślnym, zapominając o jej rozległych możliwościach. Dubbingowała zresztą i postacie z kreskówek (w sequelach „Jak wytresować smoka"), i tajemniczą kobietę w scenie orgii z „Oczu szeroko zamkniętych". Obok tego zaś stworzyła całą kolekcję ról niejako na autopilocie: ekscentrycznej i ambitnej designerki zaginionej w „Gdzie jesteś, Bernadette?", Phyllis Schlafly, czyli *tradwife*, która stała się konserwatywną aktywistką polityczną w serialu „Mrs. America" (2020), lub drapieżnej dziennikarki telewizyjnej w „Nie patrz w górę" (2021).

Kreacje Blanchett

MATERIAŁY PRASOWE X3

GALADRIELA
Dziś trudno wyobrazić sobie ekranizację „Władcy Pierścieni" i „Hobbita" J.R.R. Tolkiena bez Cate Blanchett w roli czarodziejki z królewskiego rodu elfów. Jako jedyna zagrała we wszystkich sześciu częściach sagi. Choć pierwsza z trylogii, sfilmowana w latach 2001-2003, zarobiła w sumie trzy miliardy dolarów, aktorka skarżyła się niedawno w jednym z programów telewizyjnych, że – podobnie jak wielu innych aktorów – nie partycypowała w konsumpcji tego tortu.

JASMINE/ JEANETTE
Po „Blue Jasmine" (2013) Woody'ego Allena otrzymała drugiego w swojej karierze Oscara, za rolę pierwszoplanową. Żeby zagrać zdegradowaną żonę finansowego oszusta, aktorka naśladowała sposób ekspresji małżonki prawdziwego „wilka z Wall Street".
Po części było to również współczesne wcielenie Blanche DuBois z „Tramwaju zwanego pożądaniem" Tennesse'ego Williamsa, czyli postaci, którą Blanchett grywała wcześniej na scenie.

LYDIA TÁR/ LINDA TARR
Wcielając się w pionierską dyrygentkę, Blanchett zajmuje niemal sto procent czasu ekranowego.
Zarys scenariusza, a pewnie też i wiarygodność roli sprawiły, że doszukiwano się podobieństw do realnych postaci. Krytykowano też fakt, iż to kobieta dopuszcza się w filmie nadużyć władzy. Ze strony twórców było w tym jednak prowokacyjne zaproszenie do dyskusji – zwłaszcza że sama Blanchett znana jest z zaangażowania w politykę równościową i akcję #metoo. ©

Wybitna aktorka ostatnio gra zdecydowanie za dużo i zbyt rzadko wyłamuje się ze schematów. Dlatego wydaje się, że sztuczna inteligencja nie miałaby żadnego problemu, by wygenerować modelową rolę dla Cate Blanchett.

Płotka

Przynajmniej, gdyby AI poszła kluczem wyłącznie oscarowym, bowiem po drodze są jeszcze przepyszne komercyjne ekscesy w rodzaju królowej elfów czy Heli z komiksowego „Thora: Ragnaroka" (2017) Taiki Waititiego. Jednakże flirty z kulturą popularną nie zawsze służą boskiej Cate, a było ich całkiem sporo, od horrorów i westernów po przygody Indiany Jonesa czy ewidentne obsadowe nieporozumienie w niedawnym „Borderlands", opartym na znanej grze komputerowej.

Zanim rozpoczęła naukę aktorstwa, studiowała w Australii sztuki piękne oraz ekonomię. Dlatego gwiazda, która w swej filmografii potrafi zmieścić obok siebie wysokoartystyczną „Tár" i superbohaterskiego „Thora" z prawie dziesięciocyfrowym wynikiem kasowym, a na dodatek publicznie zabiera głos na temat płacowych nierówności na planach filmowych, powinna dbać nie tylko o rachunek ekonomiczny, ale także o ekonomikę własnej aktywności.

Chciałoby się więcej Cate Blanchett w wydaniu mniej oczywistym, niekoniecznie tej większej niż życie czy bawiącej się takowym wizerunkiem niczym w „Zaułku koszmarów" Guillerma del Toro. Odnajdziemy ją na przykład u Jima Jarmuscha w czarno-białej nowelce „Kuzynki" z filmu „Kawa i papierosy" (2005).

Oto w hotelowym lobby siedzą naprzeciw siebie dwie kobiety, sławna i szykowna blondynka oraz wyluzowana rockandrollowa brunetka. Tak naprawdę przy dymku i podwójnym espresso spotykają się po latach dwa różne światy, warstwy społeczne, temperamenty. Tudzież dwa modele aktorstwa. I mimo że scenka trwa zaledwie kilkanaście minut, łatwo zapomnieć, że w kadrze pojawia się ta sama aktorka.

Choć przecież wcale nie potrzebuje ona ciemnej peruki, by przeistoczyć się w kogoś całkiem innego, czemu Blanchett dała dowód w mało znanym australijskim dramacie „Płotka" Rowana Woodsa, z tego samego roku. W zwyczajnych ↦

trampkach, z przekłutym nosem, gdzieś pomiędzy hollywoodzkim „Aviatorem” a „Babel” Alejandra González Iñárritu, gra dziewczynę pracującą w wypożyczalni kaset wideo, która chciałaby otworzyć własny biznes, ale ciągnie się za nią heroinowa przeszłość. Ta nieheroiczna rola w bardzo średnim filmie także mówi coś o aktorskim potencjale. Ze świecą szukać innych takich zapadających w pamięć filmowych płotek.

Spojrzenie

Tymczasem w ekranowej karierze rozpiętej między trzema kontynentami, pomiędzy rolami nieustraszonych dziennikarek, umierających staruszek, wrednych macoch, twardogłowych zakonnic i zawodowych przestępczyń, Blanchett znajduje czas, by występować na scenie (w ojczyźnie czy na Broadwayu), angażować się społecznie i robić o tym filmy (miniserial „Bezpaństwowcy”, 2020).

Z mężem Andrew Uptonem w latach 2008–2013 pełniła szefostwo artystyczne w Sydney Theatre Company, współprowadzi niezależne studio produkcyjne Dirty Films i traktowana jest w Australii jak dobro narodowe. Kiedy ogląda się dziś „Oscara i Lucindę” Gillian Armstrong, nakręcone zanim jeszcze Blanchett założyła koronę i ruszyła na podbój świata, w roli zamożnej XIX-wiecznej awanturnicy o miedzianych włosach czuje się zapowiedź późniejszych przepysznych wcieleń.

Oprócz warsztatu uwagę zwraca niespokojny ognik w jej spojrzeniu – oby nigdy nie zgasł ani nie stał się własną podróbką w następnych filmowych odsłonach. A że będzie to za chwilę ponowny występ u Jarmuscha („Father, Mother, Sister, Brother”), miejmy nadzieję, że wszechstronna maestra wyłączy na moment swojego autopilota.

© ANITA PIOTROWSKA

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

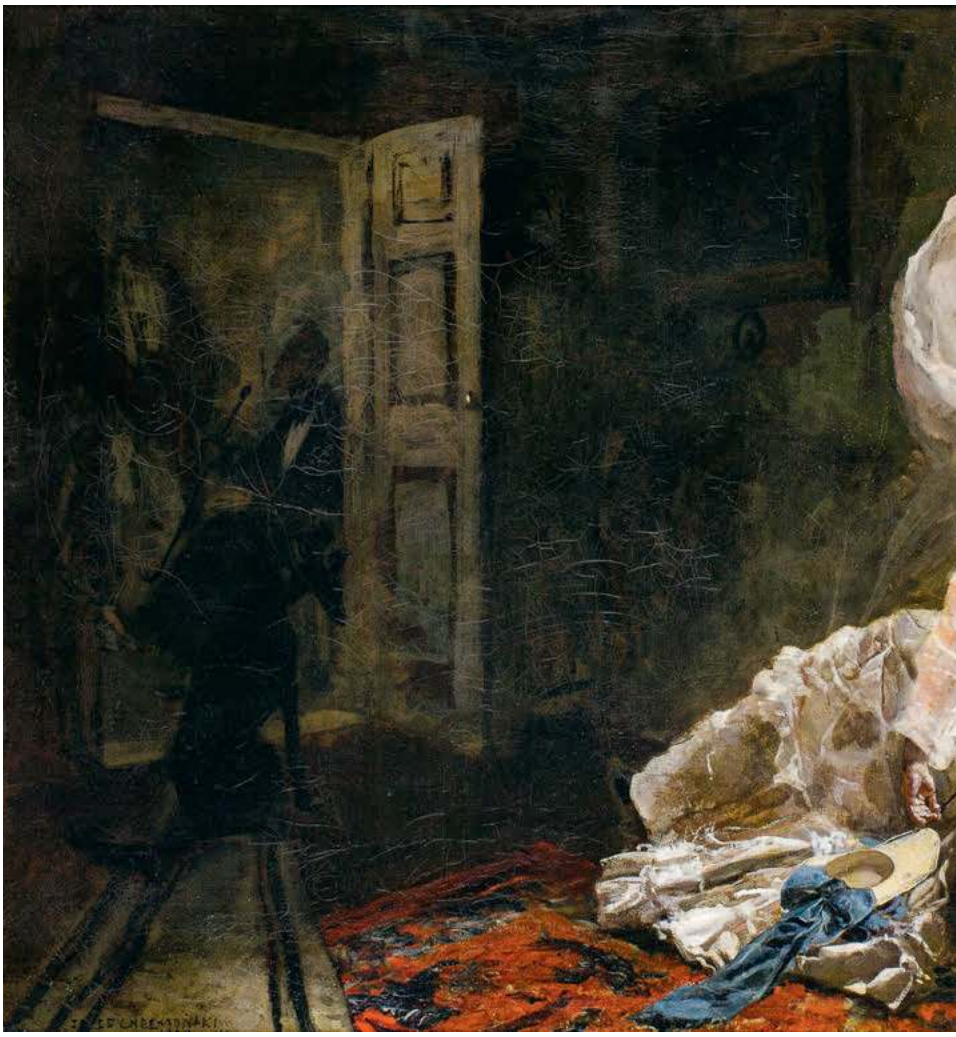

W każdym polskim domu

PIOTR KOSIEWSKI

Nigdy nie uznawano go za nowatora, ale jego stosunek do natury bliski jest naszym dzisiejszym poszukiwaniom relacji ze światem.

W Muzeum Narodowym w Warszawie trwa pierwsza od lat wielka wystawa prac Józefa Chełmońskiego. Znalazły się na niej zarówno kanoniczne, jak i nieznane lub od lat publicznie niewystawiane prace. Są także rzadko pokazywane rysunki, świadczące o tym, jak uważnym Chełmoński był obserwatorem. A jednocześnie, jak podkreślają kuratorzy Wojciech Głowacki i Ewa Micke-Broniarek, wystawa daje „okazję do nowego, krytycznego spojrzenia na malarstwo” artysty.

Samowola bez granic

W 1875 r. Józef Chełmoński pokazuje w warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych obraz „Babie lato”. Ma 26 lat. Zaledwie przed kilkoma miesiącami wrócił ze studiów z Mona-

MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Józef Chełmoński, Wieczór letni, 1875 r.

chium. Do spółki z Adamem Chmielowskim, Antonim Piotrowskim i Stanisławem Witkiewiczem wynajmuje pracownię w Hotelu Europejskim, która staje się kluczowym miejscem wprowadzenia realizmu do polskiej sztuki.

Jak wspominała zaprzyjaźniona z Chełmońskim Helena Modrzejewska, był to duży pokój, goły i nieprzytulny, „ale za to z miękkim, północnym oświetleniem, bardzo korzystnym do malowania". I dodawała: „Posłanie ze stołem, dwoma krzesłami i szafą stanowiło całe urządzenie. I gdyby nie mnóstwo rysunków porozpinanych na ścianach, widok tego pustego, zimnego pokoju byłby po prostu nie do zniesienia. Obraz doprowadził mnie do przeświadczenia – i nie mogłam się co do tego mylić – że ci młodzi ludzie żyją w skrajnym ubóstwie".

W Monachium Chełmoński został doceniony. W 1872 r. w liście do matki pisał: „Niemcy tutaj chwalą mnie obficie w gazetach", i dodawał: „żal, że nie u nas". Przekona się o tym dobitnie po powrocie do kraju. „Babie lato" nie zostaje tu dobrze przyjęte. Wiceprezes Zachęty Aleksander Lesser kwituje krótko: „My takich geniuszów nie protegujemy!". A filozof i estetyk Henryk Struve, doceniając zalety Chełmońskiego, podkreśla, że popada on „w przesadę, w samowolę bez granic, w lekceważenie najprostszych wymagań piękna".

„Babie lato" to dziś najbardziej znany obraz Chełmońskiego, a jednocześnie, po niemalże 150 latach od jego wystawienia, trudno dostrzec jego nowatorstwo, wręcz rewolucyjny charakter. A przełamywał on przecież ówczesne normy i gusty. Jego znaczny format (1,2 na 1,6 m.) w 2. połowie XIX w. był stosowany do wzniosłych i poważnych tematów: historycznych, religijnych, mitologicznych. Tymczasem malarz bohaterką obrazu czyni wiejską dziewczynę, która leży na łące w świetle powoli zachodzącego słońca. Odpoczywa po pracy, o czym przypominają ubiór i brudne nogi. Bawi się nitkami babiego lata.

Obraz jest utrzymany w stonowanej tonacji, z dominacją ugrów, elementami brązów i zieleni. Jedynym akcentem barwnym są jaskrawożółta chustka i czuwający pies.

Jak konie w galopie

Dziesięć lat wcześniej Jan Matejko pokazuje pierwszy wielkoformatowy obraz „Kazanie Skargi". Ma wtedy 26 lat, tyle samo, co Chełmoński wystawiający „Babie lato". Obraz Matejki uznano za dzieło przełomowe w polskiej sztuce, na nowo definiujące malarstwo historyczne w naszym kraju. „Babie lato" i inne płótna stworzone w tym czasie przez Chełmońskiego udowadniały, że współczesność jest nie tylko ważnym, ale równoprawnym tematem sztuki.

Sześć lat później artysta maluje „Czwórkę", obraz o iście Matejkowskich rozmiarach (2,75 na 6,60 m), będący wyzwaniem rzuconym malarstwu historycznemu, powoli odchodzącemu w przeszłość. Konny pędzący zaprzęg stał się nie gorszym tematem niż słynne bitwy czy inne wydarzenia z przeszłości.

W 1875 r. powstaje „Wieczór letni – wspomnienie Ukrainy". Tym razem Chełmoński przedstawia młodą kobietę we wnętrzu dworu. Ubrana w elegancką suknię, siedzi przy otwartym oknie. Z ręki wypada jej kapelusz ozdobiony niebieską wstążką. Poza wskazuje na zmęczenie, smutek, może rezygnację. Płótno to, przez lata zaginione, trafiło na aukcję w 2023 r. Jego odnalezienie uznano za sensację roku. Sprzedane za 4,3 mln zł, stało się własnością Muzeum Narodowego w Poznaniu. Teraz na wystawie zawisło obok „Babiego lata".

Bohaterkami obu obrazów są młode kobiety. Malarz nie tylko odwrócił się od historii – jednym z nielicznych wyjątków czyniąc powstanie styczniowe – ale z wielką konsekwencją skupił się przede wszystkim na wsi, jej życiu i mieszkańcach. To właśnie chłopów i chłopki, ich codzienność, czyniąc jednym z głównych tematów swojej twórczości. U Chełmońskiego – i to go czyni wyjątkowym w polskim malarstwie tego czasu – to nie dwór i jego mieszkańcy są centrum świata. Fascynowała go też natura, w której z upływem lat coraz wyraźniej dostrzegał duchowy, religijno-mistyczny wymiar.

Ameryka, rynek i cło

Po chłodnym przyjęciu prac w Warszawie Chełmoński ponownie decyduje się na wyjazd – tym razem wybiera Paryż. Pod koniec grudnia 1875 r. wyrusza w drogę, a niedługo później wystawia już na Salonie paryskim. Zwracają uwagę jego „Odwilż na Ukrainie" i „Sprawa u wójta". We Francji malarz pozostaje wierny nie tylko dotychczasowej tematyce – mazowieckiej i ukraińskiej wsi, ale też wypracowanej wcześniej stylistyce, z żywiołowym kładzeniem farby oraz dominacją brunatnych tonów: ugrów, szarości i brązów, ożywianych jedynie jednym czy dwoma elementami barwnymi. Maluje sceny odbywające się w pochmurne, zimowe dni, przed zmierzchem, narzucając kolejnym pokoleniom standardowe wizje polskiego krajobrazu.

Na paryskich Salonach wystawia regularnie do 1886 r. Poznaje tam marszanda Adolphe'a Goupila, którego firma Goupil & Cie (z filiami m.in. Berlinie, Londynie i Nowym Jorku) była jednym z najważniejszych graczy na ówczesnym rynku sztuki. To ona będzie od tej pory reprezentowała artystę. Obrazy Chełmońskiego dobrze się sprzedają, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, gdzie trafia – jak wyliczył Wojciech Głowacki ↦

MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Józef Chełmoński, Babie lato, 1875 r.

↦ – 52 proc. sprzedanych prac (22 proc. zostaje we Francji). Malarz może sobie pozwolić na wynajęcie dużego, wygodnego mieszkania.

Niestety, niedługo później zaczynają zmieniać się gusta. W 1881 r. Chełmoński zmienia też galerzystę, zaczyna współpracować z firmą Arnold & Tripp, cieszącą się już znacznie mniejszym prestiżem. Dwa lata później sytuację pogarsza decyzja USA o wprowadzeniu wyższych ceł na towary, w tym także na dzieła sztuki.

Chełmoński jako jedyny polski artysta w XIX w. w tak krótkim czasie osiągnął znaczący międzynarodowy sukces rynkowy. Jednocześnie jego przypadek pokazuje, jak szybko następowały zmiany w sztuce w ostatnich dekadach XIX w., do których artysta nie chciał się dostosowywać. Zaledwie rok przed jego przyjazdem do Paryża ma miejsce pierwsza wystawa impresjonistów. Są wtedy wyśmiewani i odrzucani przez oficjalne kręgi artystyczne. Jednak w kolejnej dekadzie to oni stają się istotnym punktem odniesienia dla młodego pokolenia, a ich prace zyskują coraz większe, także rynkowe, uznanie.

Droga do nowoczesności

W 1888 r. Chełmoński postanawia przenieść się z rodziną do kraju. Nie jest to łatwy powrót. Na Wystawę Jesienną w Zachęcie przyjęto jeden jego obraz. Już wcześniej zarzucano mu, że się powiela. Antoni Sygietyński, który uważnie przyglądał się twórczości malarza, pisał: „Cała jego działalność dzisiejsza to jedno wielkie pędzenie ruchem nabytym w przepaść, jaka otwiera się pod nogami każdego artysty, który techniką zastępuje uczucie, przypomnieniem obserwację. I dziś wprawdzie jeszcze jego konie grzmią przez step (...). Ale cóż z tego. Kiedy w nich nie ma charakteru".

Nadal jest jednak doceniany za granicą. W 1889 r. zostaje zaproszony do jury wystawy sztuk pięknych na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu. Dwa lata później otrzymuje dyplom honorowy na Międzynarodowej Wystawie w Berlinie, a w 1894 r. złoty medal na Wystawie Powszechnej w San Francisco.

Dopiero w 1890 r. Zachęta urządza zbiorową wystawę jego prac. W 1897 r. zostaje honorowym prezesem założonego w Krakowie Towarzystwa Artystów Polskich „Sztuka". Dwa lata później Muzeum Narodowe w Krakowie nabywa monumentalną „Czwórkę". Zostaje ona umieszczona w Sali Jana Matejki obok obrazów mistrza. Wreszcie w 1907 r. w Warszawie, Krakowie i Lwowie zostają zorganizowane duże monograficzne wystawy Chełmońskiego.

Artysta kupuje majątek w Kuklówce na Mazowszu – z obszernym domem,

RADIO 357

Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika"
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

polami, łąkami i sadem. Tam wraca do malowania natury. W 1890 r. rozstaje się z żoną, która sama wychowuje córkę Wandę, w przyszłości malarkę. Coraz ważniejsza dla niego staje się religia. Powstaje wizyjne płótno „Pod Twoją obronę" (1906), przestawiające Matkę Boską Częstochowską ukazującą się w chmurach. Samą naturę nasyca Chełmoński metafizycznymi treściami. Obrazy są czasami malowane bardzo swobodnie, szerokimi pociągnięciami pędzla, pełne kolorystycznych elektów nieobecnych w jego wcześniejszych pracach. Malarz związany z przełomem realistycznym zostaje coraz silniej utożsamiany z polskim symbolizmem. Umiera 6 kwietnia 1914 r. Za niespełna trzy miesiące wybuchnie pierwsza wojna światowa, która ostatecznie zakończy długi wiek XIX.

„Twórczość Józefa Chełmońskiego wyznacza początek drogi, która prowadziła do nowoczesności" – podkreślają twórcy wystawy. Jednak to nie on, lecz zaledwie o rok młodszy Aleksander Gierymski jest dziś uznawany za jednego z fundatorów nowej sztuki w Polsce.

Jako jedyny polski artysta w XIX w. osiągnął znaczący międzynarodowy sukces rynkowy. Jednocześnie jego przypadek pokazuje, **jak szybko następowały zmiany, do których nie chciał się dostosować.**

Powrót do korzeni

Przez kolejne dekady twórczość Chełmońskiego była nieustannie powielana. Jego obrazy nie tylko ilustrowały książki poświęcone sztuce, ale też podręczniki szkolne, a ich reprodukcje wisiały w wielu polskich domach. I powiedzmy szczerze: były tam bardziej na miejscu niż reprodukcje Kossaków. To one, obok książek Marii Konopnickiej i Władysława Reymonta, tworzyły obiegowy obraz polskiej wsi XIX i początku XX w. Do dziś widzimy wiejski pejzaż przede wszystkim oczami Chełmońskiego.

Nieprzypadkowo DK Welchman i Hugh Welchman, tworząc animowany film „Chłopi", sięgnęli właśnie po obrazy Chełmońskiego. Jego sposób obrazowania wsi: chłopskich kobiet i dzieci oraz dziadów proszalnych był próbą „upodmiotowienia chłopskiego świata". I paradoksalnie, ten pełen banałów film – na zasadzie kontrastu z oryginalnymi obrazami – jeszcze dobitniej pokazał siłę malarstwa Chełmońskiego i jego aktualność w czasach, w których po dekadach opowiadania o szlacheckim pochodzeniu współczesnych Polek i Polaków zaczęto pytać, kim rzeczywiście byli ich przodkowie.

© PIOTR KOSIEWSKI

JÓZEF CHEŁMOŃSKI, *Muzeum Narodowe w Warszawie, wystawa czynna do 26 stycznia 2025, Muzeum Narodowe w Poznaniu, 6 marca-29 czerwca 2025, Muzeum Narodowe w Krakowie, 8 sierpnia-30 listopada 2025. Kuratorzy: Ewa Micke-Broniarek, Wojciech Głowacki.*

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 21 października 2024 roku zmarł w Turynie w wieku 91 lat

Ś.† P.

prof. Piotr J. Chełkowski

światowej sławy orientalista, iranista, absolwent filologii orientalnej UJ,
londyńskiej School of Oriental and African Studies i Uniwersytetu Teherańskiego,
wybitny uczony i charyzmatyczny wykładowca,
profesor emeritus w dziedzinie Middle Eastern and Islamic Studies w New York University,
dyrektor Center for Near Eastern Studies, uhonorowany m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP
oraz medalem Plus Ratio Quam Vis Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W swojej międzynarodowej karierze Profesor Piotr Chełkowski nigdy nie zapominał
o krakowskiej Alma Mater, podkreślając przy wielu okazjach swój akademicki rodowód.
Ofiarował też krakowskiej iranistyce swój niezwykle cenny, liczący kilkaset woluminów księgozbiór.

Pozostanie na zawsze we wdzięcznej pamięci krakowskich orientalistów
jako wzór badacza-humanisty, który za najważniejszy cel stawiał sobie budowanie dialogu między kulturami.

PRACOWNICY ZAKŁADU IRANISTYKI UJ

Na ślepym torze

PIOTR PAZIŃSKI

Stefan Grabiński był największym twórcą opowieści niesamowitej w XX-wiecznej literaturze polskiej. Groza rodzi się w głowie? Może tak być, ale naprawdę nie czujecie, jak napiera na was z zewnątrz?

Są ludzie stworzeni do pisania opowieści niesamowitych. Potrafią układać fabuły osadzone w bardziej i mniej typowych dekoracjach grozy, posiadają intuicję psychologiczną potrzebną dla opisu różnych stanów psychicznych, umieją wywołać nastrój, zasiać w czytelnikach niepokój, odmalować zaświaty lub sugerować, że takowe istnieją. Ale przede wszystkim mają pewien rodzaj nadwrażliwości – nazwijmy ją wyobraźnią albo zmysłem metafizycznym – nastrojonej na dziwność. Dziwność wszechświata, rzeczywistości wokoło, własnego jestestwa. Jakby sami nie dowierzali, że to, co nam się jawi, wyczerpuje całość bytu. Albo widzieli, słyszeli i czuli więcej.

Dziwna dusza

Stefan Grabiński (1887-1936) był kimś takim. Mówił o sobie, że od zarania towarzyszyły mu „zdumienie i lęk". Urodził się w rodzinie urzędniczej w Kamionce Strumiłowej i w Galicji spędził większą część niespełna pięćdziesięcioletniego życia. We Lwowie studiował polonistykę i filologię klasyczną, ożenił się (małżeństwo przetrwało cztery lata) i podjął pracę nauczyciela gimnazjalnego, od której już się nie uwolnił. Nieśmiały, słabowity samotnik, gorąco religijny ze skłonnościami do mistycznych uniesień, przewrażliwiony i chyba niezbyt gotowy do życia w społeczeństwie, byłby dawno roztopił się w nicości, gdyby nie wcześnie ujawniona pasja literacka. To ona stała się siłą napędową jego życia, nad którym okrutny los rozpostarł „żałobne całuny" dziedzicznej gruźlicy, zabierając kolejno ojca i obie siostry, a Stefana skazując, jak Franza Kafkę, na kosztowne pobyty w sanatoriach i wyczekiwanie przedwczesnej śmierci.

Pisać Grabiński zaczął wcześnie, jeszcze w gimnazjum. Pierwszą czytelniczką była matka, powierniczka i opiekunka. Debiut, jeszcze przed I wojną, nie był udany i szczęśliwie uległ zapomnieniu. Kolejne książki były wyraźnie lepsze. Na progu niepodległości Grabiński w parę lat ogłosił kilka zbiorów opowiadań: „Na wzgórzu róż" (1918), „Demon ruchu" (1919), „Szalony pątnik" (1920), „Księga ognia" (1922), „Niesamowita opowieść" (1922). Każdy stanowił odrębny cykl, utrzymany w innym rejestrze niesamowitości. Znalazło się tu miejsce na demoniczny erotyzm, mediumizm, flirty z paranauką, sobowtórstwo i obłęd, wampiryzm i rozdwojenie jaźni. Popularność przyniósł Grabińskiemu zwłaszcza „Demon ruchu", może najoryginalniejszy, osnuty wokół motywu pociągu i stacji kolejowej.

„Popularność" to duże słowo. Grabińskiego, lekceważonego, jak to często z dziwakami bywa, przez literacki mainstream, cenili ludzie osobni, o samodzielnej wyobraźni, za to wybitni. Admiratorem i wnikliwym krytykiem jego pisarstwa był Karol Irzykowski. Pochwał nie szczędził mu Stanisław Ignacy Witkiewicz, który jako pierwszy, w 1923 r., zestawił go z Edgarem A. Poem, podziwiając sposób, w jaki autor „Demona" wyraża w prozie dziwność i tajemniczość istnienia.

Zachęcony wyrazami uznania, zmęczony pracą nauczyciela, Grabiński próbował sił jako dramaturg (próby wypadły źle), pozwolił przenieść na ekran wampiryczną nowelę „W domu Sary" (z rezultatów nie był zadowolony), a potem wpadł na pomysł, że może żyć z literatury i zaczął pisać powieści. Niestety, żadna nie powtórzyła efemerycznego sukcesu „Demona ruchu". „Salamandra", „Cień Bafometa", „Wyspa Itongo", przegadane, nasycone okultyzmem i nużącą ezoteryką, odrzuciły nawet życzliwych czytelników.

Tymczasem gruźlica czyniła postępy. Schorowany i sfrustrowany, pogrążający się w nędzy i zapomnieniu, Grabiński gasł. W ostatnich latach – wspominał Artur Hutnikiewicz, historyk literatury i edytor jego pism, niegdyś uczeń Grabińskiego – „sprawiał wrażenie samotnika, oddzielonego od świata grubą taflą szklaną i pogrążonego bez reszty w swoim własnym doświadczeniu wewnętrznym. (...) Chorobliwie wyszczuplony przez zjadającą go chorobę, zawsze czarno ubrany, o twarzy bladej, przeźroczystej, z której słabość jakby wyssała i wyciągnęła wszystkie barwy życia, zdawał się spoglądać na świat swymi niebieskimi oczyma od jakiejś całkiem innej strony niż wszyscy". Upodabniał się do swoich postaci i wraz z nimi znikał po tamtej stronie. Ilu uczniów wiedziało, że gasnące ciało ich nauczyciela skrywa tak dziwną duszę?

Niezwyczajna zwyczajność

Wiele lat po wojnie autora „Szalonego pątnika" z odmętów niepamięci wydobył Stanisław Lem. Znał jego nowele z lwowskiego dzieciństwa, i to i owo tamtym lekturom, jak w ogóle literaturze grozy, zawdzięczał (np. „Terminusa", a może nawet „Solaris"). Grabińskiego rzecz jasna

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA DWIE SIOSTRY

Ilustracje Rity Kaczmarskiej pochodzą z książki Stefana Grabińskiego „Demon ruchu", Wydawnictwo Dwie Siostry, 2024 r.

interpretował naturalistycznie, w duchu nauk przyrodniczych. Doceniał pogłębioną psychologię postaci: chorobliwych marzycieli, maniaków seksualnych, piromanów, ludzi z rozdwojoną jaźnią. Spirytyzm, całą tę „mediumistyczną, pozagrobową paradygmatykę", nie wspominając o okultystycznych dziwactwach, Lem odrzucał.

Sęk w tym, że Grabiński, żyjący w epoce, gdy przyrodoznawstwo swobodnie koegzystowało z irracjonalizmem, tak jak wielu mu współczesnych naprawdę wierzył w telepatię i hipnozę, podobnie jak interesował się postępami w psychologii i nowymi systemami filozoficznymi. Czytał Poego i polskich romantyków, zgłębiał stare traktaty demonologiczne, a jednocześnie studiował psychoanalizę i logikę, swobodnie kształtując swój światopogląd.

Za Williamem Jamesem uznawał pluralizm ontologiczny, za Henri Bergsonem – skłaniał się ku dynamicznej koncepcji bytu, za Juliuszem Słowackim wierzył w prymat ducha nad materią i w to, że świat nie tylko od myśli pochodzi, ale wprost daje się kształtować myślą. Takie poglądy, poparte własnymi intuicjami metafizycznymi i bogatą wyobraźnią, dały niezwykle oryginalny obraz rzeczywistości.

Składa się ona podług Grabińskiego z równoległych, autonomicznych wymiarów, przestrzeni i odcinków czasu, które niekiedy zachodzą na siebie i przenikają, wywołując w człowieku lęk i zdumienie, albo poczucie powrotu do czegoś, co dobrze znajome. Niekiedy w uregulowany bieg spraw wdziera się niewytłumaczalny czynnik albo fałd innej rzeczywistości, wywołując zaburzenie. Na liniach kolei państwowych pojawia się nadliczbowy pociąg, „intruz bez patentu i aprobaty" („Błędny pociąg"), czyjaś energia psychiczna nagromadzona w jakimś miejscu uwalnia się w przyszłości („Szary pokój"), intensywny sen okazuje się projekcją prawdziwych wydarzeń („Nocleg"), zjawiają się sobowtóry („Problemat Czelawy"), umarli spotykają się z żywymi („Zez"), udzielają im wskazówek („Znak"), a nawet spędzają z nimi miłosne noce („Kochanka Szamoty").

Jak widać, był to światopogląd optymalny dla autora opowiadań grozy, ale Grabiński dodał do niego coś jeszcze. Już Witkacy zauważył, że to, co u Grabińskiego niezwykłe, szalone albo po prostu tajemnicze, osadzone zostaje w codzienności, w pejzażu programowo zwyczajnym. „Oświetlenie pozostaje stosunkowo realistyczne, obiektywne, w związku z czym język nie odbiega od normalnego, jest czysto opisowy". Zmarli, trochę jak u Leśmiana, bytują za lasem, w dworku, w chłopskiej chałupie, duchy zjawiają się w budkach dróżników przy nieważnych liniach kolejowych albo w ciemnej uliczce na przedmieściu. Postacie, za wyjątkiem kilku demonicznych kobiet, noszą przeważnie plebejskie nazwiska i wykonują rutynowe zajęcia: prowadzą pociągi, gaszą pożary. Ewentualnie zajmują się myśleniem i pisaniem.

Dopiero nagromadzenie tych elementów: nazwisk, miejscowości, profesji, jakby wyjętych z noweli pozytywistycznej, daje niepokojący efekt, ni to śnienia na jawie, ni to gorączkowych omamów czy wrażenia nieostrości i polimorfizmu bytu. Razem składają się na dziwność istnienia.

Demon ruchu

Wszelakie zagadnienia ontologiczne i psychofizyczne chyba najlepiej uchwycił Grabiński w swoim najgłośniejszym zbiorku, „Demonie ruchu", który w poszerzonej wersji i nowej szacie graficznej ukazuje się właśnie nakładem Wydawnictwa Dwie Siostry. Wbrew obiegowej opinii nie wynalazł tego nurtu opowieści niesamowitej. Pół wieku wcześniej nowelę kolejową napisał Charles Dickens. Czy Grabiński czytał jego „Dróżnika", czy nie, nie ma większego znaczenia. Nawet jeśli nie znał, dokonał tego samego w literaturze polskiej: przejścia od gotycyzmu (w Polsce zdecydowanie uboższego niż w Anglii i z krótszą tradycją) do grozy technologiczno-katastroficznej. I tak jak Dickens uczynił to, zachowując przynajmniej część gatunkowego sztafażu. W gruncie rzeczy budki dróżników na posępnym odludziu, stacje, na których wydarzają się niewytłumaczalne katastrofy, czy klaustrofobiczne wnętrza wagonów niewiele się różnią od zamczysk i nawiedzonych dworów.

Kolej była dla Grabińskiego ikoną nowoczesności, wynalazkiem techniki ↦

↦ (skądinąd nie tak nowym, nawet w prowincjonalnej Galicji) tak zuchwałym, że aż demonicznym. Groźna, nieprzewidywalna, co i rusz wymykająca się spod kontroli człowieka, nierzadko niosąca śmierć – miała w sobie coś z potwora Frankensteina. Paradoksalnie nie służyła podróżnym, a przynajmniej nie została stworzona dla ich wygody. Będąc czystym ruchem, ucieleśniała dynamiczny charakter bytu, stąd ideałem podróży (w opowiadaniu tytułowym) była jazda w nieznane, bez celu i bez kresu, najlepiej prosto w zaświaty (czy też, jak kto woli, w świat halucynacji).

Na pasażerów przemieszczających się na krótkich dystansach, między małymi stacjami – gdy idzie o ich nazwy, takie jak Dąbrowa, Głaszów, Czerniawa, Podwyże, Bylicz, zwyczajne i niezwyczajne zarazem, inwencja pisarza zdaje się nie mieć końca – czyhały rozmaite niebezpieczeństwa. Mogli zginąć w karambolu („Fałszywy alarm"), utknąć na bocznicy („Ślepy tor"), albo wylądować w przyszłości („Dziwna stacja").

Nie dziwne, że na kolejowych liniach Grabińskiego, zwłaszcza tych dawno wyłączonych z eksploatacji, tak często i chętnie zjawiają się pociągi widma wiozące donikąd nieistniejących pasażerów („Głucha przestrzeń"), a zmarli kolejarze wysyłają kolegom wiadomości zza grobu („Ultima Thule"), martwi telegrafiści kierują ruchem pociągów („Sygnały"). Jednak ten ostentacyjny spirytyzm, który tak drażnił Lema, otrzymuje w „Demonie ruchu" przeciwwagę w postaci czynnika sprowadzającego opowieści na ziemię, choć jednocześnie wzmagającego niesamowitość. Idzie o szarą rutynę kolejarskiego fachu, nieodległą od tej, której u Lema doświadcza podczas lotów kosmicznych pilot Pirx. Chwalono autora za precyzję i fachowe słownictwo kolejarskie oraz – brzmi to cokolwiek paradoksalnie – trzymanie się realiów. Te zaś wcale nie są aż tak ekscytujące.

Grabiński, jak pisarze przed nim i po nim, romantyzował kolej. Swoje pociągi zaludniał, jeśli wolno się tak wyrazić, tajemniczymi indywiduami, jak zwiastujący katastrofę Smoluch albo garbaty konduktor zabawiający pasażerów legendami o wagonie śmiechu. Równocześnie odsłaniał mroczny rewers, związany nie tylko z szalonym pędem. Kolejnictwo to owszem, demonizm, ale też niezwyczajna zwyczajność – precyzja i niepokojąca systematyczność, ujęte w karby techniki, procedur i rozkładów jazdy. To także monotonny stukot kół, posapywanie lokomotywy, hipnotyzująco długa wstęga torów, a w wypadku dróżników czy zawiadowców stacji – czekanie na nadjeżdżający pociąg. Szwankująca maszyna i wielce zawodny czynnik ludzki. Zjawisko tyleż techniczne, co psychiczne.

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA X2

Ślepy tor

Skąd biorą się wypadki na kolei? Z niedbałości personelu, z fatalnej pogody, chwilowego zaćmienia kolejarskiego rozumu czy wskutek wtargnięcia czynnika nadprzyrodzonego? Grabiński, uczeń i wielbiciel Poego, świetnie wiedział, że to, co niesamowite, niekoniecznie jest znakiem jakiejś rzeczywistości duchowej. Przeciwnie, może skrywać się w wyobraźni i wyłaniać z mroków udręczonej psychiki. Dobry pisarz powinien umiejętnie zacierać granice między wewnętrznym a zewnętrznym wymiarem rzeczywistości, bardziej sugerować niż rozstrzygać, gdzie rodzi się groza.

Można przeczytać „Demona ruchu" – jak czyni to Eliza Kącka w posłowiu do nowej edycji – jako cykl opowieści o ludziach dotkniętych obłędem. Bo rzeczywiście, opowieści kolejowe Grabińskiego to prawdziwe historie maniaków. Emerytowany konduktor Wawera, któremu przełożeni z litości powierzyli do pilnowana nieczynną stacyjkę na zamkniętym odcinku torów, słyszy odgłosy jadącego pociągu („Głucha przestrzeń"). Bytomski, naczelnik stacji w Trenczynie, jest do tego stopnia maniakiem probabilistyki, trafnie przewidującym wypadki, że powoduje katastrofę, by potwierdzić swe obliczenia („Fałszywy alarm"). Maszynista Grot nienawidzi dworców i w ogóle bezruchu, toteż każdorazowo, w akcie sabotażu, zatrzymuje swój skład w przypadkowym miejscu, byle tylko wysadzić pasażerów i dalej pędzić przed siebie. Niejaki Szygoń („Demon ruchu") pociągów wprawdzie nie prowadzi, ale nigdy ich

nie opuszcza, podróżuje bez przerwy, popadając w trans.

Cóż, samotnicy podatni są na obłęd albo niszczącą siłę autosugestii. Tyle że u Grabińskiego, jak u H.P. Lovecrafta, z którym autor „Księgi ognia” bywa u nas trochę na siłę porównywany, groza rodzi się w głowie, ale także napiera z zewnątrz. Odonicz, bohater noweli „Spojrzenie” (z tomiku „Niesamowita opowieść”) czuje na sobie ciężar tego, co kryje się za jego plecami. Czym to jest, Odonicz nie wie, wie tylko, że wpędza go w szaleństwo. Podobnie dzieje się na kolei. „Zielone ślepia maszyny roztrącają ciemność upiornym spojrzeniem, potężne tłoki obracają się z bajeczną, opętaną sprawnością”. Nadliczbowy ekspres, gnany nieznaną siłą, nie uznaje dróżników ani semaforów, bezkolizyjnie przenika przez inne pociągi, przyprawiając podróżnych o zbiorowe szaleństwo. Ktoś nadchodzi, coś się zbliża, sygnały idą.

Miał rację Hutnikiewicz, gdy pisał, że symbolem pluralizmu istnienia, przenikania światów prawdziwych i urojonych, rzeczywistości widzialnych i niewidzialnych, jest u Grabińskiego ślepy tor. Co to takiego? Podług garbatego konduktora Wióra – „uboczna, wzgardzona odrośl szyn, samotne odgałęzienie toru, rozciągnięte na przestrzeni 50-100 m, bez wyjścia, bez wylotu, zamknięte sztucznym wzgórzem i rampą kresową. (...) Wokół zaniedbanie. Zielska przerastają zardzewiałe szyny: bujne, polne trawy, łoboda, rumian dziki i oset”. Już sam opis sprawia, że robi się nieprzyjemnie. Nie chciałoby się tam trafić, prawda? A może jednak?

Ślepy tor to jakby kieszeń, boczna odnoga czasu o mocno zaburzonej, niejasnej ontologii. Tak właśnie: odnoga czasu. Kto nie wierzy, niechaj zajrzy do „Genialnej epoki” Brunona Schulza, czytelnika Grabińskiego, i porówna oba opisy, a potem obejrzy, koniecznie w tej kolejności, „Ślepy tor” Ryszarda Bera (1967) i „Sanatorium pod Klepsydrą” Wojciecha J. Hasa (1973).

Ślepy tor to wprawdzie miejsce trwogi, może kraina umarłych, ale też, jak uspokaja słuchaczy Wiór, również dziedzina poezji. „Rodzą się tu utajone siły, gromadzą od lat nie ziszczone moce”. Co tu jest realnością, a co wspomnieniem, co snem, a co zapętleniem psychicznym lub kacerską manipulacją czasem – nie bardzo wiadomo. Ale to dobrze. W literaturze grozy, tak jak w życiu, są to ze swej istoty rzeczy niewiadome.

© PIOTR PAZIŃSKI

Stefan Grabiński
DEMON RUCHU
zilustrowała Rita Kaczmarska, posłowie Eliza Kącka, Wydawnictwo Dwie Siostry Warszawa 2024

DOMENA PUBLICZNA / NAC.GOV.PL

Stefan Grabiński, lata 30. XX wieku.

Lektor:

Jest poeta

Tomasz Różycki
HULANKI & SWAWOLE
Wydawnictwo a5, Kraków 2024, ss. 78, Biblioteka Poetycka pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 124.

Każdy kolejny tom wierszy Tomasza Różyckiego, ubiegłorocznego laureata Nagrody Szymborskiej, najpierw onieśmiela mnie wirtuozerią i swobodą oddechu. Potem jednak skłania do poszukiwań własnej ścieżki lektury.

„Hulanki & Swawole”? Tak mógłby się nazywać modny lokal, w którym przygrywa orkiestra ze zreprodukowanego na okładce obrazu Mireli Bukały „Body and Soul”. Odwiedzamy ten lokal kilkakrotnie, ale nazwa pobrzmiewa coraz bardziej ironicznie. I gorzka to jest ironia – bo w świat naszych hulanek i swawoli wkroczyła wojna, wielkie serio, którego nie da się oswoić. Wojna, śmierć ludzi bliskich, którzy jeszcze niedawno byli przyjaciółmi na wyciągnięcie ręki, bo cóż znaczy jakaś granica... A teraz? „W kolejce na granicy tłum uchodźców: / dzieci z Charkowa, Żydzi w szarych płaszczach, / szytych z zapomnienia. Żarzą się włosy, / tlą się wciąż ubrania. Straż chce papierów, // więc z kieszeni wyjmują węgiel, popiół, / stopione w gwiazdę koraliki matki”.

„Jak zawsze śmierć robi sobie zdjęcia z najpiękniejszymi. / Jej samej nie widać, jest za mała (...)”. To z wiersza „Szeregowy »Seneka«”, dedykowanego pamięci Romana Ratusznego. Dwudziestoczteroletni kijowski aktywista, piękny chłopiec, poległ na froncie latem pierwszego roku rosyjskiej agresji. Tytuł książki staje się wręcz wyrzutem sumienia – czy nie traktowaliśmy naszego losu zbyt lekko? Czy potrzebne nam było dopiero takie otrzeźwienie? I te kryptocytaty... „Niech mnie nie proszą o wiersz przyjaciele, / musiałbym znaleźć atrament tak czarny, / żeby w noktowizorze widział snajper / jedynie noc (...)”.

Może – na pewno nawet! – czytam tę książkę zbyt jednostronnie. Przecież wiele tu Grecji, o której nie wspomniałem, podobnie jak o pojawiającej się kilkakrotnie nimfie Kalipso, tej od Odyseusza. Nic nie napisałem o Bogu, który w otwierającym tom wierszu trochę nieodpowiedzialnie obchodzi się ze stwarzanym światem. Dla mnie jednak lektura Różyckiego stanowiła impuls także do indywidualnego rozrachunku. Wybrałem, co wybrałem, kto zechce, wybierze co innego – jak z każdej prawdziwej poezji. Zamyka książkę „List”, w którym nie wszystkie słowa da się odczytać. „Jeżeli znajdziesz list, być może język, w którym pisałem słowa, będzie martwy”. Mam nadzieję, że nie będzie. ©℗

OLGA

Drenda:
Koniec przygody

Jak to jest: żyć w świecie, w którym nie ma już tajemnic? Z tym wyzwaniem będą musieli radzić sobie, przynajmniej na razie, miłośnicy „lostwave" – tajemniczych nagrań, o których bardzo niewiele wiadomo, ich twórcy często pozostają nieznani, a odkryto je przypadkiem, powiedzmy na niepodpisanej taśmie magnetofonowej.

Bieżący rok przyniósł sporo odkryć co do takich anonimowych do tej pory znalezisk. Udało się zidentyfikować idealnie bezosobową przestrzeń zwaną The Backrooms, która swoją pustką pobudzała wyobraźnię użytkowników 4chana i Reddita do tworzenia niepokojących opowieści; okazało się, że to niemiejsce, do którego trafia się przypadkiem opuszczając rzeczywistość, to remontowany sklep meblowy w Oshkosh w stanie Wisconsin. Teraz tajemnicą przestała być, po 20 latach, „najbardziej zagadkowa piosenka w internecie". Na początku lat 80. pewien nastolatek z RFN nagrywał na kasetę piosenki z radia, lecz nie wszystkie opisał; wiele lat później, wraz ze starszą siostrą, starali się je identyfikować na swojej stronie internetowej. Jedna z nich uporczywie nie dawała się zidentyfikować, choć poszukiwania angażowały coraz szersze kręgi użytkowników sieci na wszystkich kontynentach. Dyskusje w serwisie Reddit trwały latami, a piosenka – typowy dla lat 80., niezbyt mroczny nowofalowy pop śpiewany po angielsku przez wokalistę o kanciastym, „kontynentalnym" akcencie, inspirowały do snucia wspólnych fantazji.

Zimna fala, zimna wojna – to podsuwa filmowe obrazy. Może to uciekinier z ZSRR, z NRD, pytali niektórzy. Inni sugerowali, że akcent przypomina im południowoafrykański i że to jakiś zapomniany zespół z RPA. Etatowi konfabulanci wymyślali niestworzone historie o tym, jakoby to oni sami siedzieli w studio podczas nagrania. Wokół piosenki zbudowała się zupełnie solidna społeczność poszukiwaczy. Kilka dni temu okazało się, że w archiwach radiowego konkursu talentów udało się namierzyć prawdopodobny tytuł i wykonawcę: to krótko istniejący zespół FEX z Kilonii. Przygoda skończona.

Niestety w środku nie znalazłam żadnej tajemniczej kasety

OLGA DRENDA

Wyobrażam sobie podobny scenariusz w Polsce: grupa kumpli-amatorów, fanów Depeche Mode (jak to w Polsce), nagrywa demówkę w miejscowym domu kultury i wysyła np. do Radia Kielce. Trzy dekady później debatują o niej detektywi amatorzy na całym świecie – choć sami muzycy nie mają pojęcia o tajnym życiu epizodu z młodości, zajęci płaceniem rachunków i odwożeniem dzieci do szkoły. W pewnym sensie precedens już mieliśmy, w postaci „Białego Misia"; po latach wiemy, że piosenka powstała w Gdańsku i nie brzmiała wcale weselnie, a w stylu The Shadows.

W przypadku *lost media* internet często przysparza sławy znaleziskom z poprzedniej, analogowej epoki. Nie wychodzę z podziwu nad kolosalną pracą wykonywaną przy digitalizacji archiwów bibliotecznych. Niestety, łatwo by przepadła, wystarczy przestać opłacać hosting. Powiedzenie, że „w internecie nic nie ginie" dawno przestało być aktualne – mogą co najwyżej gorzko zaśmiać się z niego użytkownicy takich niegdyś sławnych platform jak Grono, MySpace, Nasza Klasa czy Blog.pl, nie mówiąc o czymkolwiek stworzonym w technologii Flash.

Dane cyfrowe można zdumiewająco łatwo ewaporować. Internet Archive, biblioteka online, w której można odnaleźć fragmenty niedziałających już stron internetowych, a zarazem wspomnienie po pionierskich czasach sieci, gdy ludzie wierzyli powszechnie w moc wolontaryjnie tworzonych projektów – dopiero niedawno podniosła się po ataku hakerskim. Stare porzekadło warto byłoby zaktualizować, że w internecie nic nie ginie, o ile zrobimy sobie kilka backupów, a może wręcz – tu żart staje się rzeczywistością – „wydrukujemy sobie internet".

Zapewne wielu następców FEX nagrywało równie niezłe piosenki, ale mieli pecha opublikować je tylko w jakimś nieistniejącym już miejscu w sieci i może nikt nie znajdzie ich nawet przez przypadek. Tu piosenka miała szczęście przetrwać na kasecie do momentu, gdy upowszechnił się już internet, ale nadal łatwo było o działający magnetofon.

Jeszcze bardziej ciekawi mnie to, co stanie się ze społecznością, którą połączyła tajemnicza piosenka. W kreskówkach mawiają: „Prawdziwym skarbem była przyjaźń, która połączyła nas podczas wyprawy". Ale trochę smutno jest żyć bez zagadki, w melancholii spełnionej baśni. W końcu uśmiech Mony Lisy jest fascynujący dla kolejnych pokoleń dlatego, że najprawdopodobniej nie dowiemy się nigdy, co za nim stoi – tajemnica modelki, żart wielkiego Leonarda czy niekompletne uzębienie. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo: *Solę fasolę*

Dwa miesiące z górką to nie jest wcale tak dużo czasu, żeby napisać poprawny formalnie wniosek o wotum zaufania, puścić w obieg – faksem – wedle rozdzielnika z prośbą o sprawdzenie literówek, poćwiczyć efektowny podpis, w końcu to chyba ostatni raz, gdy Olaf Scholz sygnuje dokument w jakiejkolwiek roli państwowej. Po czym posłać po znaczek, zaksięgować fakturę za jego zakup, wreszcie zalepić i wrzucić do szpary, co wymagać będzie od gońca wyznaczenia ołówkiem na mapie trasy do najbliższej skrzynki. Nie zepnie się to przed połową stycznia, a tu niecierpliwi koledzy z opozycji żądają, żeby zaraz procedować, bo w niestabilnym czasie Europa nie może mieć niesprawnego ośrodka decyzyjnego. Mądry kanclerz wie, że pośpiech nie jest dobrym doradcą. Macron, popatrzcie, chciał być taki *dirigiste* i co mu przyszło z wyborów rozpisanych w czerwcu z nagła na za trzy tygodnie? Tak źle, i tak niedobrze.

Cofnijmy zatem wałek maszyny i zacznijmy od innej liczby. Dziesięć tysięcy dolarów w roku 1812 to była fortuna, ale zgromadzenie ogólne Karoliny Północnej wydało je mądrze i pięknie – za tę kwotę geniusz klasycyzmu, Antonio Canova, sporządził posąg Jerzego Waszyngtona w przebraniu rzymskiego wodza. Znamienne, co Canovie kazano wyryć na tablicy, którą jego nowy Cezar trzyma w dłoni: początek listu Waszyngtona do rodaków, w którym żegna się z urzędem po dwóch kadencjach. Ówczesne prawo go do tego nie zmuszało, ale w liście wylicza ważne powody, dla których władza jest po to, by ją kiedyś oddać. Na razie jeszcze to aktualne...

Zimna, ale przy tym sugestywna solenność, której Canova był mistrzem (obok ślicznie mdłego erotyzmu, który znamy z replik „Trzech gracji" z tysięcy drobnomieszczańskich etażerek), była wizualnym wyrazem sakralizacji ustroju demokratycznego. Utrudniającej nam dziś pojęcie nieświętego spektaklu, w którym mimo woli bierzemy udział. Ale czy na nadmiar bardzo niemądrych złudzeń lekarstwem jest zupełny cynizm? Tak źle, i tak niedobrze.

Canova, zanim wykuł coś w marmurze, tworzył liczne modele z gliny, a potem z gipsu. Mimo kruchości, ogromna ich liczba jest do dziś zachowana w małym muzeum w jego rodzinnej wiosce nieopodal Asolo, które to miasteczko kojarzy dziś każdy Polak pijący prosecco. Jego lepsza – jedyna godna picia – wersja powstaje właśnie między tym miasteczkiem a drugim, Valdobiaddene – i tych nazw zawsze warto szukać na etykiecie. Zasłużyliśmy na kieliszek lub dwa dobrego wina, który pomoże zachować cierpliwość i zagłuszyć głód zrozumienia rzeczy niedających się na razie objąć umysłem. Ani profesorskim, ani kuchennym.

Ten drugi w mojej czaszce doznał ostatnio szoku, którym się z wami podzielę – zupełnie nieironicznie – by chociaż na moment poczuć grunt stabilnej i pewnej wiedzy o rzeczach równie ważnych, co termin wyborów w Niemczech i koniec drugiej kadencji Trumpa. Od kiedy jako pacholę byłem dopuszczany do prac kuchennych, zawsze mi tłumaczono, że fasolę gotuje się w nieosolonej wodzie – inaczej będzie twarda. Otóż bzdura. Fasolę należy po pierwsze moczyć w solance, po drugie dodawać soli od razu do gotowania. Cząsteczki pektyny w cienkiej skórce fasoli są wiązane przez jony wapnia i magnezu. Podczas moczenia i gotowania z dodatkiem soli zostają częściowo wyparte przez jony sodu o mniejszym ładunku, co osłabia wiązanie i pozwala wodzie lepiej, równomiernie przeniknąć ziarenko. Ma ono wtedy także mniejszą skłonność do pękania na sam koniec, co jest przykre szczególnie kiedy gotujemy fasolę na sałatkę, a nie na zupę. Skąd się wzięła ta ponadpokoleniowa, fałszywa zasada? Spisek babć gorszy od spisku elit.

HCAST / STOCK.ADOBE.COM

Fasolka z musztardą

Dowiedziałem się równie niedawno, że inna święta zasada każąca solić wodę, gdy blanszujemy zielone warzywa, np. brokuł i fasolkę, bo inaczej stracą żywy kolor – jest równie bez sensu. Sól nie ma tu nic do rzeczy! Opowiem wam to kiedy indziej, bo ileż pewników naraz można podważyć? Tymczasem zostawiam wam przepis na smaczną fasolkę – nawet taką już mocno zmęczoną, ze szklarni.

250 g drobnej fasolki szparagowej
5 łyżek masła 2 szalotki
1 ząbek czosnku 50 ml śmietanki
1 łyżeczka musztardy ziarnistej

Wrzucamy fasolkę na wrzątek małymi porcjami, ważne, żeby woda non stop wrzała. Przykrywamy, by woda szybko wróciła do stu stopni. Odcedzamy, kiedy fasolka jest jeszcze mocno krucha, studzimy. Przekładamy na patelnię, na której poddusiliśmy na 2 łyżkach masła drobno posiekaną szalotkę i czosnek w całości. Dodajemy śmietankę, 2 łyżki masła, ok. 100 ml wody, solimy i podgrzewamy mocno, aż sos zgęstnieje. Na sam koniec jeszcze łyżka masła. Dodajemy musztardę, mieszamy i podajemy. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

MOTYLE I ŻABKI

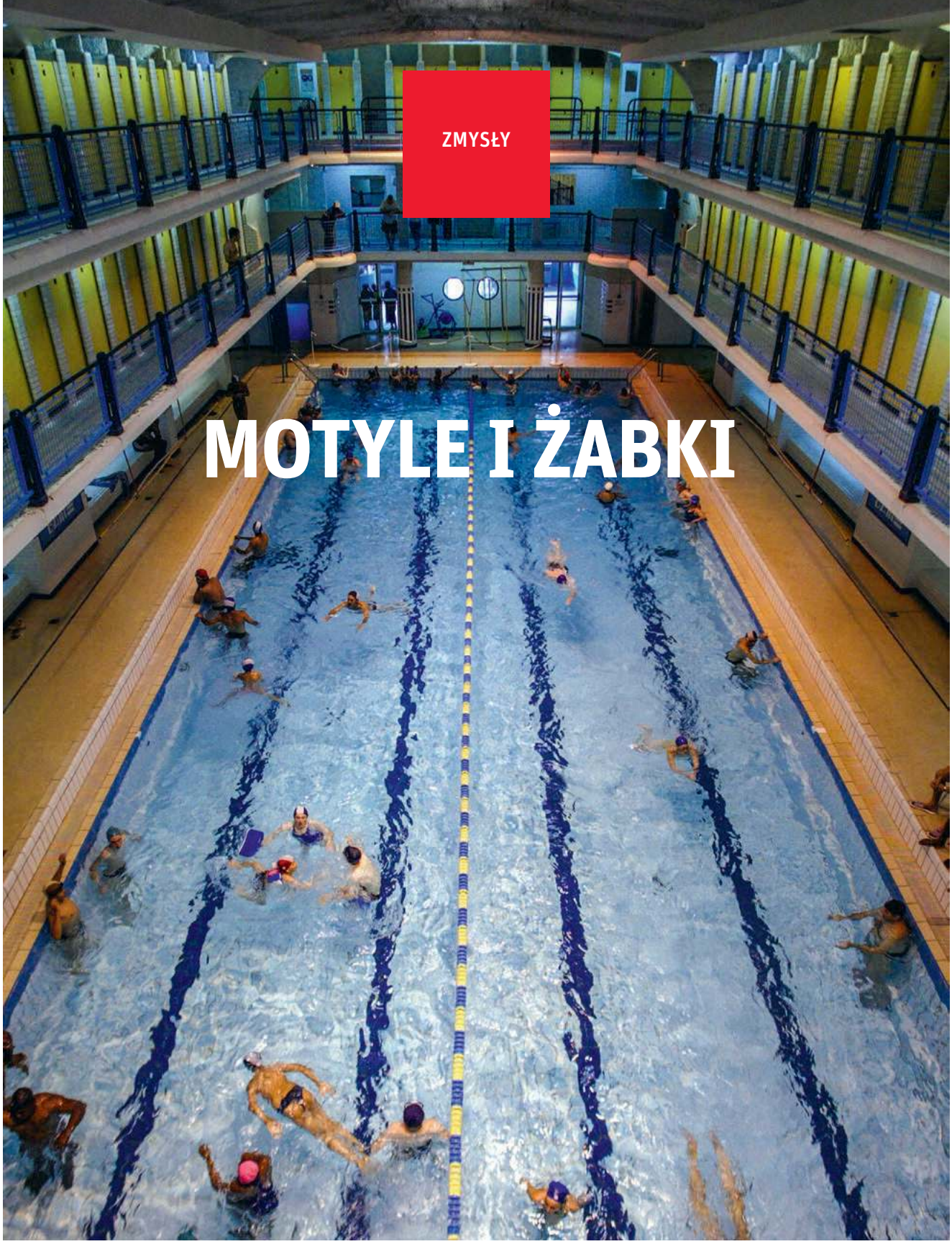

JEAN-PIERRE MULLER / AFP / EAST NEWS

Niestraszny nam deszcz ani śnieg. Nawet w środku zimy zrywamy się przed świtem, chwytamy przygotowane przy łóżku torby i spieszymy przez ciemne miasto, żeby rozpocząć dzień w chłodnej, chlorowanej wodzie.

DOROTA MALINA Z PARYŻA

Zdanie „J'peux pas, j'ai piscine" (dosłownie: nie mogę, idę na basen) to po francusku synonim kiepskiej wymówki. Odpowiednik angielskiego „*I can't. I'm washing my hair*", czyli czarna polewka bezceremonialnie zaserwowana nachalnemu adoratorowi albo uciążliwej koleżance. W moim przypadku to jednak czysta, mocno chlorowana prawda – od piętnastu lat codziennie zaczynam dzień od czterdziestu minut żabki w miejskim basenie.

Pływam tak, jak śpiewam – bardzo źle, ale z wielką przyjemnością. Każdego dnia tygodnia. Ta nieszkodliwa, a raczej dobroczynna obsesja przekłada się na moje życiowe wybory. Szukając mieszkania do wynajęcia sprawdzam, czy w pobliżu na pewno jest basen, na wakacje staram się jeździć tylko tam, gdzie mogę dopełnić rytuału, a zaproszenia na wczesnoporanne kawy czy śniadania odrzucam z automatu. Nie mogę, idę na basen.

Stali bywalcy

Słowo „basen" znam zresztą nawet w językach, w których ledwie umiem się przywitać. Przydaje się podczas podróży. Pływanie w morzu czy w hotelowym baseniku jest jakimś surogatem, do pełni szczęścia potrzeba mi bezpiecznej, nadzorowanej przez ratownika niecki o wymiarach od 25 do 50 metrów i temperaturze 27-28 stopni. Bez zjeżdżalni, jacuzzi i trampolin.

Każdy kto pływa wie, że powtarzalne ruchy i dziwny podwodny zielonkawo-niebieski świat szybko uzależniają. Są jak medytacja, czy – jak pisał Adam Zagajewski – religijny rytuał: „Pływanie jest jak modlitwa / dłonie łączą się i rozdzielają, / łączą i rozdzielają, / nieomal bez końca". Nie zdarzyło mi się chodzić na pływalnię, która nie miałaby swojej małej społeczności wiernych wyznawców zielonkawego bóstwa. Garstki basenoholików, którym niestraszny śnieg, deszcz czy problemy w metrze, tak że nawet w środku zimy zrywają się przed świtem, chwytają przygotowaną przy łóżku torbę i spieszą przez ciemne jeszcze miasto, żeby rozpocząć dzień w chłodnej, chlorowanej wodzie.

Tak zwanym normalnym ludziom perspektywa wymiany ciepłej kołderki na zimny basen wydaje się równie kusząca, co leczenie kanałowe. I dobrze – ktoś śpi, żeby pływać mógł ktoś. Stali bywalcy nie lubią na torach intruzów nieznających basenowej etykiety.

Szuwarek i seniorki

Kiedy mieszkałam w Krakowie, do wyboru miałam pływalnię Korona ze skomplikowanym grafikiem i zjawiskowo piękną recepcjonistką, staroświecką, przegrzaną Imkę (YMCA) przy Krowoderskiej, gdzie ratownik w plastikowych sandałach słuchał walkmana i kroił sobie jabłuszko nożem, basen Uniwersytetu Pedagogicznego za Jagiellonką, gdzie w szatni regularnie zdarzało mi się pogawędzić z utytułowaną filmoznawczynią, oraz wielgachny kompleks pływacki AGH, który traktowałam jako ostatnią deskę ratunku, bo był mi bardzo nie po drodze, a umięśnione delfiny i motyle robiły zdecydowanie za dużo fal.

Podczas odwiedzin w Warszawie uczęszczałam na praską pływalnię Szuwarek, skąd pamiętam bardzo ciepłą wodę i seniorki w dużych kolorowych czepkach gimnastykujące się w małym basenie. W Luksemburgu, gdzie przemieszkałam parę lat, miałam abonament do ogromnego centrum sportowego LeCoque, gdzie wszystko było trochę za duże i zbyt nowoczesne. Z Londynu pamiętam baseny bez ratowników, a z Amsterdamu piękną pływalnię art déco tuż za Rijksmuseum.

Jak się człowiek uprze, basen można znaleźć wszędzie, może z wyjątkiem nadmorskich kurortów, gdzie jedyną opcją jest nocleg w pięciogwiazdkowym hotelu. Niełatwo też na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie publiczna infrastruktura nie istnieje, bo prawie każdy ma basen w ogródku.

Czasem trzeba jechać na drugi koniec miasta, wpasować się w grafik zajęć szkolnych i wykroić trochę miejsca w „tabeli zajętości torów". Basenoholik nie szuka jednak problemów, tylko rozwiązań. Trzeba mieć czepek z gumy? Naciąga na głowę czepek z gumy, choćby miał zostawić w nim połowę włosów. Wymagane skierowanie lekarskie? Załatwia skierowanie. Żądają szczepień? Szczepi się pierwszy. W obliczu tych wyzwań konieczność wczesnego wstawania, noszenia przez cały dzień torby z mokrymi ręcznikami i delikatny zapach chloru, który nieodmiennie wydziela skóra pływaka, to błahostki.

Francuska specjalność

Jako się rzekło, są miejsca, w których o basen trudniej niż w innych i basenoholik usycha jak wyrzucona na brzeg ryba. Ale są też miasta przyjazne pływakom, z infrastrukturą rozbudowaną, ogólnodostępną i tanią. W pierwszym odruchu na myśl przychodzą zasobne skandynawskie stolice albo racjonalny Berlin, gdzie *Freikörperkultur* i logika prewencyjnej promocji ruchu (w niemieckim na pewno jest na to jeden rzeczownik) przekładają się na wysoki wskaźnik basenów na mieszkańca.

Otóż nie. Na podstawie własnych wieloletnich badań oraz zebranych w szatniach świadectw współuzależnionych mogę stwierdzić, że rajem pływaków jest Paryż. I nie, nie chodzi o obiecywane oczyszczanie Sekwany (do której skaczą wyłącznie samobójcy, ewentualnie politycy w szczelnych skafandrach), tylko o znakomitą sieć miejskich pływalni.

Paryż jest mokrym snem basenoholika. Stolica mody, perfum i gastronomii, miasto elegantek i pykających fajeczki dandysów, maślanych croissantów i eterycznych poetek jest też enklawą uzależnionych od sportowych endorfin pływaków. Jak pisze badacz sportu i wybitny basenolog Emmanuel Auvray, Francja znajduje się w europejskiej czołówce pod względem liczby basenów na mieszkańca (trudno o twarde dane, bo basen basenowi nierówny, a definicja słowa „publiczny" to temat na co najmniej doktorat), pływanie to – po chodzeniu – ulubiony sport Francuzów i co najmniej 13 milionów dorosłych regularnie zażywa ruchu w wodzie.

W Paryżu basenów miejskich jest ponad czterdzieści, minimum dwa na dzielnicę. Bilet wstępu kosztuje 3,50 euro, 2 euro ze zniżką (studenci, emeryci, kombatanci, rodziny wielodzietne). Bezrobotni i przewlekle chorzy oraz małe dzieci wchodzą za darmo. Tanio, ale może być jeszcze taniej, bo każdy szanujący się pływak posiada karnet i za bagatelną jak na Paryż kwotę 43 euro (dwa skromne obiady) przez trzy miesiące ma nieograniczony wstęp na wszystkie miejskie pływalnie. I nie zawaha się go użyć.

↦

Piscine Les Amiraux – zabytkowa pływalnia z lat 20. XX w. na Montmartrze, Paryż, 2003 r.

KEYSTONE / GETTY IMAGE

Pod prysznicem

↦ Choć karnet jest biletem *passe-partout* i teoretycznie można by codziennie zmieniać miejsce kąpieli, w praktyce pływacy są wierni lokalnej pływalni, tej najbliżej domu albo pracy. Zwycięża wygoda, zwłaszcza w roku szkolnym, kiedy baseny otwarte są dla klienteli nieszkolnej od 7 do 8 (przed lekcjami) i od 11.30 do 13 (kiedy dzieci mają przerwę na obiad). Nie ma co się zżymać – każdy basen ma też jeden *nocturne* (otwarcie wieczorne), no a weekendy, święta i wakacje szkolne (a te wypadają mniej więcej co sześć tygodni) to szerokie plaże pełnej dostępności.

Prawdziwy basenoholik nie jeździ turystycznie do innych dzielnic, nie zmienia pływalni i przyzwyczajeń. Piątek, świątek czy niedziela stawia się przed znajomymi drzwiami tuż przed otwarciem, żeby dobrze przywitać dzień. W gronie znajomych. Owszem, zdarzają się intruzi, nowi goście, którzy nie wiedzą, że szafka działa na żeton, a nieckę basenu należy opuścić o 8, ale *gros* społeczności to ludzie, którzy od lat codziennie o tej samej porze kąpią się razem w jednej wielkiej wannie. A to zbliża.

Mogłabym długo opisywać pogawędki w szatni i pod prysznicem. Niesamowitą wielopokoleniową przyjaźń, jaka wytwarza się między kobietami, kiedy gawędząc, wcierają balsamy w gołe ciała i oglądają się nawzajem bez makijażu, fryzury, a nawet odzieży. Rytuał szybkiej kawy „po" i wspólnych wyjść „pomiędzy". Troskę o nieobecnych (obowiązkowy esemes „*Ça va?* Czemu Cię nie ma?") i solidarne pożyczanie szamponu, ręcznika, a nawet szczotki ludziom, których czasem nie zna się nawet z imienia. Albo nie rozpoznaje na ulicy, bo w ubraniu i z zaaferowaną „lądową" miną wyglądają zupełnie inaczej.

Ratownik państwowy

Dużo lepiej tę specyficzną sytuację opisała Julie Otsuka w książce „The Swimmers", która, miejmy nadzieję, kiedyś ukaże się w Polsce. Autorka powieści pisze o pływalni kalifornijskiej, ale mechanizmy są te same – seledynowa podziemna kraina pozwala zapomnieć o kłopotach, więc przyciąga poharatanych przez los wrażliwców. Z którymi dobrze się rozmawia.

Sama w ten sposób nawiązałam pierwsze przyjaźnie, kiedy w 2020 r., tuż przed pandemią, przyjechałam do Paryża. To na basenie dowiedziałam się, gdzie zapisać się do lekarza rodzinnego (który wystawi niezbędne zaświadczenie), jak nie przepłacać za kino, które muzea warto zwiedzić i gdzie kupić najsmaczniejszą bagietkę. Zostałam zaproszona do grupy anonimowych basenoholików, którzy wymieniają się dobrymi adresami w dzielnicy i plotkują co nie miara.

Informują się też o przerwach technicznych i strajkach, bo owszem, we Francji nawet ratownicy mają status urzędników państwowych. Jak przystało na *fonctionnaires* też strajkują, choć ze względu na „trudne warunki" mają krótkie dniówki i, szczerze mówiąc, niewiele do roboty.

Premiera bikini

Oczywiście zamiast podążać koleinami rutyny mogłabym się otworzyć na przygodę i – przynajmniej w weekendy – wypłynąć na nieznane wody. A jest w czym wybierać. Czterdzieści trzy pływalnie miejskie, w tym perełki dawnej architektury i nowoczesnego dizajnu, często kultowe i wielokrotnie filmowane, a do tego prywatne baseny z saunami, infrastruktura sezonowa i ta na bliskich przedmieściach.

Miałam nawet pomysł, że w 2024 r. zaliczę wszystkie paryskie baseny, co tydzień inny. Jak zwykle okazało się, że ktoś już tam był – znany i szeroko omawiany w naszej społeczności profil „Nageuse Parisienne" (paryska pływaczka) na Instagramie zbiera obserwacje i rekomendacje ze wszystkich stołecznych pływalni.

Autorka ma talent literacki, dobry aparat i szczodrych przyjaciół, którzy na urodziny zafundowali jej nawet noc w pięciogwiazdkowym hotelu Molitor, bo to jedyny sposób, by wykąpać się w kultowym basenie z lat dwudziestych. Przez ponad pół wieku był pływalnią miejską i to tam światową premierę miało bikini – 5 lipca 1946 r. wystąpiła w nim Micheline Bernardini. Podobnie jednak jak pobliski basen w klubie Lagardère Paris Racing, teraz jest to sezam dla bogaczy otwierany tylko złotą visą.

Już z karnetem za czterdzieści euro można mieć jednak używanie. Poniżej trzy propozycje, które sprawdziłam na własnej skórze. Warto z nich skorzystać podczas turystycznych wypadów do Paryża – trzeba tylko wcześniej sprawdzić godziny otwarcia w internecie, zaopatrzyć się w czepek oraz 1 euro na kaucję do szafki. No i wkuć przydatne frazy z samouczka („Gdzie są prysznice? Czy można skakać na główkę? Klapki zostawiamy w szatni"), bo na pytanie „*Do you speak English*?" zwykle usłyszymy bezceremonialne „*Non*".

JARRY & TRIPELON / ANZENBERGER / FORUM

Przebieralnie na basenie w pięciogwiazdkowym hotelu Molitor (z lat 20. XX w.), Paryż, marzec 2019 r.

Na sąsiedniej stronie: Micheline Bernardini, 19-letnia tancerka z Casino de Paris, podczas jednej z pierwszych sesji fotograficznych reklamujących kostium kąpielowy „bikini" (wraz z niewielkim opakowaniem, do którego można go włożyć), Paryż, 1949 r.

Piscine Les Amiraux

Wspominany pieniążek do szafki tutaj akurat nie będzie potrzebny. Basen Les Amiraux w mniej turystycznej części Montmartre'u to bowiem zabytkowa pływalnia z lat dwudziestych, w której kąpielowicz ma do dyspozycji całą drewnianą kabinę. Rzędy seledynowych przymierzalni na trzech kondygnacjach okalają nieckę basenu. Należy wybrać sobie jedną (i koniecznie zapamiętać numer!), wejść, przebrać się, zostawić rzeczy, a następnie zatrzasnąć za sobą drzwi i zażyć kąpieli.

Po sporcie i ablucjach wrócić, grzecznie stanąć przed właściwą kabiną i czekać, aż pracownik pływalni (*agent de la piscine*) wyposażony w klucz uniwersalny przyjdzie nam otworzyć. System jest uroczo staroświecki i bardzo kosztowny, bo konserwacja drewnianych kabin oraz opłacanie biegających po piętrach „kluczników" to niebagatelny wydatek.

Francja pielęgnuje jednak swoje dziedzictwo i wpisane na listę zabytków dzieło architekta Henriego Sauvage'a (tego samego, który zaprojektował słynny dom handlowy La Samaritaine) trwa w niezmienionym stanie. O jego potencjale nostalgicznym świadczy fakt, że to tam Jean-Pierre Jeunet nakręcił scenę „Amelii" – tę, w której ojciec bohaterki pokazuje, jak to „nie lubi", kiedy kąpielówki przylepiają mu się do ciała.

Piscine Butte aux Cailles

Amatorom kąpieli pod gołym niebem warto polecić pływalnię w dawnej dzielnicy robotniczej Butte aux Cailles. Kiedy pod koniec wieku XIX odkryto tam źródła termalne, najpierw powstała łaźnia miejska, a potem basen, trzeci najstarszy w stolicy (1924). Zabytkowy budynek z czerwonej cegły kryje dwie niecki, małą i dużą, a na zewnątrz czynny cały rok tak zwany basen nordycki.

Po przepłynięciu kilkunastu długości (uwaga, Butte aux Cailles, tak jak Les Amiraux, mierzy 33, a nie standardowe 25 metrów, więc długości może być mniej) warto pospacerować po okolicy, przenosząc się na senną prowincję małych domków i brukowanych uliczek. Wielbiciele kina na pewno rozpoznają basen z filmów „O co chodzi w seksie" Arnauda Desplechina i „Niezatapialni" Gillesa Lellouche'a.

Piscine Les Halles

Tych, którzy od staroci wolą nowoczesność i wygodę, warto wysłać na basen Susane Berlioux w dzielnicy Les Halles. Półprywatny, więc nieco droższy (5 euro, zniżki nadal obowiązują), ma mnóstwo zalet: długie godziny otwarcia (od 6 do 22, bez grup szkolnych), wymiary olimpijskie i dogodne położenie w samym centrum miasta.

Na dawnym brzuchu Paryża, dzielnicy Les Halles, powstało wielkie centrum handlowe i węzłowa stacja metra. I w podziemiach przykrytego pofalowanym dachem forum, między multikinem a Starbucksem, można popływać, planując rozrywki i zakupy. Sama zdecydowanie wolę bardziej staroświeckie klimaty i lepiej czuję się wśród rekreacyjnych żabek niż energicznych motyli, ale, jak mawiają Francuzi, o gustach i kolorach się nie dyskutuje.

Paryż wpław

Jak niemal każdy aspekt paryskiej rzeczywistości, również baseny były nie tylko wielokrotnie filmowane (patrz wyżej), ale doczekały się także własnej literatury przedmiotu: oprócz peanów na cześć paryskich kawiarni, zabytkowych drzwi czy toalet, istnieją też przewodniki po stołecznych basenach. Panią paryskich pływalni zdecydowanie jest pisarka Colombe Schneck, która razem z siostrą Mariną wydała poradnik „Paris à la nage – Guide des piscines parisiennes" (Paryż wpław, przewodnik po paryskich basenach).

Siostry opisują nie tylko praktyczne aspekty infrastruktury (wymiary, temperatura wody, dostępność sprzętu) – oceniają też aspekty estetyczne, gawędzą ze stałymi bywalcami, proponują okoliczne kawiarnie i restauracje na uzupełnienie spalonych kalorii. Uwaga – żeby skorzystać z cennych rad sióstr Schneck, trzeba znać francuski. Tłumaczona na angielski książka Colombe „Swimming in Paris" to zupełnie inna para kaloszy (zbiorek trzech opowiadań).

Sporo o pływaniu, tyle że głównie w morzu, pisze Chantal Thomas. O medytacyjnych i relaksującym potencjale paryskich pływalni często rozprawia zbuntowana Constance Debré. Jest też, jak to we Francji, komiks Bastiena Vivèsa „Le goût du chlore" (Smak chloru). Moja osobista teoria jest taka, że książki piszą pisarze, których (od siedzenia i pisania) często bolą plecy. A na ból pleców – i wszelkie inne bolączki – basen doskonale robi (jest też frakcja biegaczy, ale to nie moja bajka). Literaci pływają więc i opisują, jak to dobrze jest pływać. A ja tymczasem kończę.

J'peux pas, j'ai piscine!

© DOROTA MALINA

STANISŁAW

Mancewicz: *Naprawimy wszystko*

Pociemniało. Naszym skromnym zdaniem, można by jednak trochę odpuścić, jeśli idzie o czarne wizje po wygranej D. Trumpa. Nie chcemy się tu za bardzo narażać proponując kwadrans z uśmiechem, wiadomo bowiem, że dystans jest dziś ogromnie źle widziany. No więc powszechna skłonność do pozowania na skrzywdzone dziecko z jednej strony i niczym niehamowana egzaltacja polskiej prawicy z drugiej, są emocjami – jak dla nas tu ponuro siedzących – krępującymi. W sferze tych zachowań mamy do czynienia z powszechnym zdziecinnieniem, a określenie to w ogóle nie ma na celu dokuczania dzieciom.

Rzecz jasna, poza decyzjami o zasięgu globalnym i ich efektami w znaczeniu planetarnym, wygrana D. Trumpa zmienia też warunki we wszystkich mikrokosmosach, w tym w mikrokosmosie polskim. Zastanawialiśmy się przez ostatnie miesiące, jak zwycięstwo tego Amerykanina zmieni Polskę. Mieliśmy wrażenie, że jego stosunek do Rosjanina będzie nieco tonować zachowania naszych, zarówno rządzących, jak i nierządzących. Że oni jednak kojarzą, ile jest jeden dodać jeden. Były to jednak i wciąż są oczekiwania tzw. ściętej głowy. Nie ma w zasadzie wątpliwości, że nasi nie potrafią wykonać żadnego zadania umysłowego, w którym suma działań Rosjanina i Amerykanina może stwarzać pewne – użyjmy eufemizmu – problemy w funkcjonowaniu niepodległego państwa polskiego.

Zajawką tego, co nas czeka, która do nas dotarła po ogłoszeniu wyników, była informacja, że podczas sesji tutejszego parlamentu posłowie PiS-u, poniesieni wiadomościami zza oceanu, skandowali imię i nazwisko zwycięzcy amerykańskich wyborów. Sięgnąwszy zaś do tygodnia sprzed wyborów – warto przypomnieć coś *à propos*. M. Błaszczak, potencjalny kandydat PiS-u w wyborach prezydenckich, zaproponował, by po wygranej D. Trumpa premier Polski podał się wraz z całym rządem do dymisji. Oto prawdopodobnie w głowach tych ludzi granica pomiędzy naiwną demonstracją radości a hołdem wasalnym jest całkowicie zatarta.

Drugą ciekawostką, a jest to na razie plotka, choć z dużym potencjałem prawdopodobieństwa, jest wieść gminna, że mianowicie wygrana wyborcza D. Trumpa napawa A. Dudę i jego najbliższe otoczenie nadzieją na załatwienie sobie zagranicznych posad po zakończeniu ich pracy w Polsce. Trzeba powiedzieć, że pierwszy raz w życiu usłyszeliśmy, by prezydent jakiegoś kraju i jego urzędnicy snuli plany życiowe w tym guście i w takiej manierze, w oparciu o wyniki wyborów w innym państwie. Najpewniej skłonność do ostrego kombinowania jest jednak stemplem wytłoczonym w tutejszym genotypie. Jako się rzekło, jest to na razie plotka i byłoby to może i pocieszenie, gdyby nie fakt, że z plotek składa się nasza rzeczywistość.

Spróbujemy wypowiedzieć się teraz trochę szerzej, choć w zaledwie tylko jednej sprawie, a jest to ogólna zapowiedź prezydenta-elekta. Otóż w swym pierwszym wystąpieniu D. Trump powiedział krótko: „Naprawimy wszystko". Jest to – popatrzmy – synteza rzeczywiście wszystkiego, co najpotrzebniejsze. Ze świecą szukać lepszej obietnicy. „Naprawimy wszystko" to wzór zdania idealnego. Zapewne jest ono już drukowane we wszystkich językach świata i umieszczane w każdym poradniku każdego populisty – lewicowego, prawicowego i centrowego. Jesteśmy szczerze nim zachwyceni. Gdyśmy się zastanawiali, z kim D. Trump będzie „naprawiać wszystko", że być może będzie to Rosjanin, a może i p. Czarnek jako prezydent RP, to straciliśmy wątek i musieliśmy skończyć pisanie na dziś, z myślą o jutrze. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

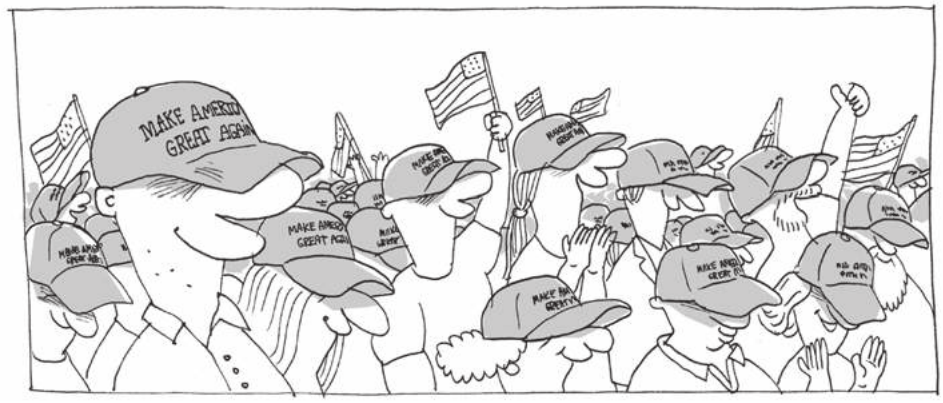

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

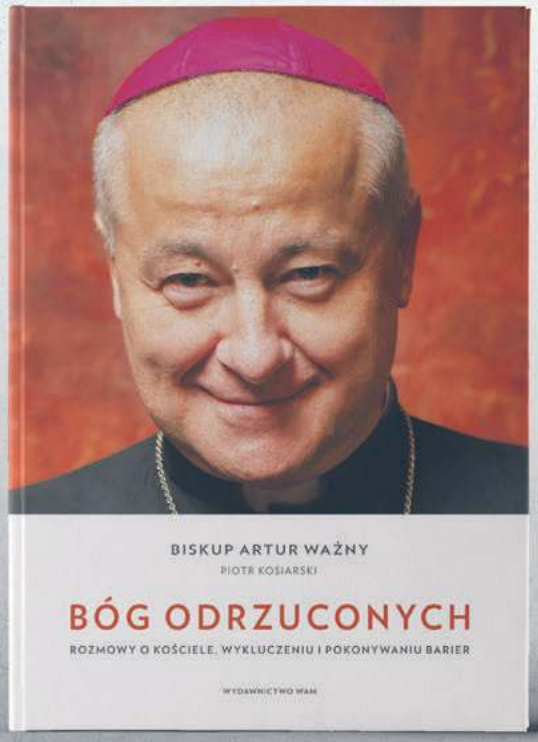

CZY W KOŚCIELE JEST MIEJSCE DLA KAŻDEGO?

Jak kochać Boga, który „daje życie, a potem je zabiera"? Dlaczego tyle czasu zajęło Kościołowi zmierzenie się z tematem wykorzystywania seksualnego? O kim Kościół pamięta, a o kim zapomina? Dlaczego tak wielu ludzi nie zgadza się z kościelnym punktem widzenia na kwestię aborcji? Jak prowadzić dialog ze środowiskami LGBTQ+?

Biskup Artur Ważny otwarcie odpowiada na najtrudniejsze pytania dotyczące przyszłości Kościoła i osób, które czują się z niego wykluczone.

wydawnictwowam.pl **wydawnictwo**

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

MAŁOPOLSKIE CENTRUM NAUKI COGITEON
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

„Tygodnik Powszechny" i Małopolskie Centrum Nauki Cogiteon zapraszają na spotkanie:

SZTUCZNA INTELIGENCJA

- **Jak działa?**
- **Czym grozi?**
- **Co daje?**
- **Czy zbawia?**

W dyskusji wokół wydania specjalnego o jednym z największych wyzwań technologicznych naszych czasów wezmą udział:

- **Jarosław Królewski**, Synerise, prezes TS Wisła Kraków SA
- **Dr Katarzyna Nicholson,** Sano–Centrum Medycyny Obliczeniowej
- **Łukasz Ostruszka,** duchowny ewangelicki, publicysta „Newsweek Polska"

Rozmowę poprowadzi **Wojciech Brzeziński** („Tygodnik Powszechny").

22 listopada 2024, piątek, godz. 18:00
Cogiteon ul. Stefana Steca 1, Kraków

Wstęp wolny, ilość miejsc **ograniczona**
Bezpłatne wejściówki na **bilety.cogiteon.pl**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH X6 // JACEK TARAN

My, dziennikarki „Tygodnika Powszechnego”:

Żeby naprawiać świat, wpierw trzeba spróbować go zrozumieć. Dlatego właśnie piszemy.

Dla kogo to robimy?
Dla ludzi otwartych na to, co trudne i nieoczywiste.
Dla zmęczonych jałowymi sporami politycznymi.
Dla wrażliwych na ludzką krzywdę – bo wierzymy, że tylko takie dziennikarstwo ma sens.

Na zdjęciu;
Anna Łabuszewska,
Ewelina Burda,
Anna Golus, Urszula Honek,
Anna Goc,
Katarzyna Kubisiowska
i Monika Ochędowska

t/

Twoje wsparcie dla Fundacji Tygodnika Powszechnego pozwala zmieniać świat. Naprawdę

powszech.net/dar

» **KRS 0000 125 605**

OPP